MIESIĘCZNIK fantastyka

4(67) KWIECIEŃ 1988 CENA 200 ZŁ

PL ISSN 0209-1631

NR INDEKSU 35839



WOJTEK SIUDMAK





Z PLANETY PARYŻ

Kiedy w pobliżu Łuku Triumfalnego Wojtek Siudmak wręczał mi swój pierwszy album, na tytułowej karcie napisał dedykację z pozdrowieniami z planety Paryż. Czy było to wówczas jakieś dystansowanie się od naszej sytuacji i sztuki, czy też po prostu manifestowała się w tej dedykacji niepewność jak w takim piśmie jak „Fantastyka" zostanie przez polską publiczność przyjęta jego twórczość.

Zwłaszcza iż w tym kraju rodzą się znakomici artyści, ale zrozumienie ich dzieł jakoś nie bardzo pozostaje w racjonalnych proporcjach do wartości i sławy owych artystów. Tym większe okazało się moje, nasze, redaktorów „Fantastyki", zaskoczenie pochwalnymi listami i opiniami Czytelników, a Wojtek bardzo szybko zawędrował do czołówki najulubieńszych autorów naszego czasopisma. I ciągle jego prace, zarówno kolorowe afisze, o zbudowanych surrealistycznie, dość katastroficznych na ogół, obrazach, jak i nade wszystko precyzyjne i delikatne kreski – budzą zachwyty.

Niektórych naszych kolegów (typowo to polskie) drażni już Wojtkowa maniera perfekcyjności rysunków i malowideł, wszystko podług niej doskonale skomponowane, dokładnie wykonane, ciała ukazywanych istot – piękne, gibkie i smukłe, smuklejsze w proporcjach od rzeczywistych. Twarze gwiazdorskie, bez skaz. Jest to, jakieś bardzo starogreckie – ktoś to kiedyś u nas powiedział – kolorowe i klasyczne w liniach, toż to raczej świat bogów, to raczej Olimp, niż zwykła ziemia. A katastrofy przedstawiane są tak, aby nie uronić uroków rujnowanego starego świata, czy prastarego Olimpu.

Wojtek zdobył rozgłos światowy, ale i polskiemu miłośnikowi fantastyczności

Siudmak •004•

dlatego, że jego sztuka jest zaprzeczeniem do niedawna, jeszcze i do teraz zresztą, szalejącej mody na drastyczność i brzydotę. Polscy turpiści znani są także na świecie i wysoko cenieni, ale publiczność naszego kraju woli piękno, nawet jeśli ono mu się aż nazbyt narzuca, jeśli staje się regułą powszechną, jak to się dzieje z tym co właśnie ukazuje Siudmak. On „zachwyca do piękna", jakby to powiedział Norwid, że przypomnę tu fragment poematu tego artysty nad artystami, w całości zapewne ogółowi znanego. Z planety Paryż, z jednego z satelitów tej planety, miasteczka małego, acz bliziutko stolicy światowej sztuki położonego, wędruje do dalekiej Ojczyzny optymizm Wojtkowy i jak w dziesiątkę trafia w gusty szerokiej publiczności.

Ja osobiście szczególnie gustuję w jego kreskach, których finezyjność jest wprost nadzwyczajna, ujawnia bogactwo treści, nie jest to programowość w ścisłym tego słowa znaczeniu, nie jakieś historyjki czy nawet sny dla zadziwienia lub ubarwienia mieszczuchów, są to rysunki, powiązane dziesiątkami linii – nici z obiektem malowanym przez artystę, po to, aby wydobyć na jaw cechy charakterologicz-

I te „rysowane podteksty", tak to sobie pozwalam nazwać, ogromnie pogłębiają wymowę utworów.

Na życzenie Czytelników pokazujemy dziś właśnie te prace Wojtka Siudmaka, które tak bardzo frapują jego miłośników: serię dotychczas nie publikowaną w naszej „Galerii". Pragniemy również przypomnieć, że Wojtek, cieszący się sławą i powodzeniem w całej Europie, a także i w Ameryce, wykonujący ilustracje i okładki dla najbardziej znanych firm wydawniczych Zachodu, nie zaniedbuje i nie lekceważy widzów kraju, z którego pochodzi, szczególnie fantastów. Redaktor „Fantastyki" ma pozwolenie na publikacje jego utworów za złotówki i to nie tylko na terenie Polski. Wojtek Siudmak pozwolił na przykład na opublikowanie niektórych prac za forinty, na Węgrzech, gdzie ma się w bieżącym roku odbyć międzynarodowy kongres Światowej Organizacji Profesjonalistów SF (WSF) oraz Europejskiego Stowarzyszenia Science Fiction.

A więc dzisiaj nowa „Galeria", jakże zadomowionego już u nas, gościa z planety Paryż. Są w tej „Galerii" (to niespodzianka) i rzeźby!





Gdyby nie Freud

Wielu uczonych (mogę zresztą bez żadnej przesady stwierdzić, że zapewne przytłaczająca ich większość) uważa, że z ich naukowych powołań i uwarunkowań wypływa pełna szansa bezwzględnego – całkowitego "poznania wszystkiego, co nas otacza, a także i nas samych. Tak, jakby nasze życie oraz jego otoczenie było czymś (nie chcę tu powiedzieć zabawką mechaniczną czy mechanicznym tworem), co można rozebrać do najmniejszej cząski, więcej – do nicości, to znaczy przebadać na wskroś, na durch, bez reszty.

Kto wie, czy pod tym względem najmniej pewności siebie nie wykazują najściślejsi przecież uczeni – fizycy, ludzie dobierający się do samej istoty materii, ale oni się już nie raz i nie dwa popiekli na swoich pewnych czy prawie pewnych modelach atomu i wszechświata, na swoich teoriach podstawowych cząsteczek materii. Oni zdają się więc lepiej widzieć złożoność samych badań, ich relatywizm i to podwójny, tkwiący w samej materii, jak i w tych, którzy tę materię badają, a także dostrzegają przecież rzecz niezwykle ważną: że badania wykonuje ciągle jeszcze nie zbadana i ciągle nieobliczalna jednostka ludzka, bardziej omylna i niepewna swych działań i swego intelektualnego filtru, niż niezawodności wykonanych przez nią instrumentów. W dodatku, snując dumne prognozy czy orzeczenia, należałoby także brać mocno pod uwagę emocjonalne stany podmiotów podejmujących badania naukowe, one przecież także ważą na wynikach. A wszystko razem przyszło mi na myśl, gdy przeczytałem wstęp profesora Włodzimierza Szewczuka do dwóch podstawowych dzieł Zygmunta Freuda: „Psychopatologii życia codziennego" i „Marzeń sennych", wydanych właśnie w jednym tomie przez Państwowe Wydawnictwo Naukowe (chwała wydawcy). Doceniając kompetencje uczonego, którego w dodatku mam zaszczyt znać osobiście, zostałem zbulwersowany stanowczością, czy nawet wręcz apodyktycznością jego sądów w stosunku do człowieka, którego rola, mimo dziesiątków mniej lub więcej dociekliwych badań i krytyk, i nie została chyba w pełni oceniona i doceniona. Dotyczy to zwłaszcza wpływu Freuda na współczesną kulturę, w gruncie rzeczy trudną niezmiernie do zrozumienia bez wzięcia pod uwagę jego dzieła.

Jeśli nasz Kopernik (a tego „nasz" używam także w znaczeniu europejskim) przez swoje tezy naukowe stworzył nowy światopogląd humanistyczny, to *toutes proportions gardées*, Freud rozwijając teorię osobowości i budując teorię snów, niezmiernie wzbogacił zarówno obszar badań psychologii, jak i sam wgląd w psychikę ludzką. A ileż zawdzięcza sztuka freudowskim metodom poznania, freudowskim inspiracjom. Na przykład tak ważny dziś, chociażby w plastyce, ale także i w literaturze, surrealizm, nie mówiąc już o pisarstwie psychologizującym. Zbyt mało chyba pomników postawiono Freudowi i jego następcom, którzy stali się całą szkołą naukową, mimo że jak to określa profesor Szewczuk „libidalna koncepcja człowieka" Freuda nie potwierdziła się.

Ona właściwie częściowo tylko się nie potwierdziła, na co dowodem może być ciąg zjawisk obyczajowych, a zwłaszcza historia ostatnich czasów. Myślę, że w ogóle historia jako zbiór konkretnych faktów stanowi w stosunku do freudyzmu i nie tylko to dość konkretny i wiarygodny przewód dowodowy, który trudno zanegować, podważyć, biorąc na pomoc oparty na procesach rozwoju historycznego darwinizm.

Współczesny darwinizm bowiem nie jest teorią naukową w jakiś sposób przeciwstawną koncepcjom Freuda, tym które dotyczą negatywnych, agresywnych pierwiastków także i w człowieku. Nasz Stanisław Lem przedstawia między innymi i te sprawy w swoich książkach o charakterze naukowym, przytaczając zresztą wiele dowodów i wybitnych nazwisk. Ostatnio napisano o tym także w Beresia „Rozmowach z Lemem".

Badania zarówno ewolucji biologicznej, jak i historycznej wskazują na duże prawdopodobieństwo istnienia i przewagi w naturze ludzkiej cech agresywnych, co artykułował przecież Freud i jego następcy. Agresja zresztą pomaga człowiekowi w jego zmaganiach z naturą i wszechświatem. Ludzkość od zarania swych dziejów walczyła najpierw z przyrodą o panowanie nad nią, a potem także między sobą – prawie bez przerwy (czy to przypadek?), do naszych czasów włącznie. Już sama proporcja wymogów jednostkowego bytu w stosunku do wymogów bytu społeczeństw, złożonych z indywidualnie percypujących jednostek, zakłada podstawy konfliktu, egoizm nakłada się więc na egoizm, agresja na agresję, jeśli teraz to się zacznie zmieniać, w obawie przed zagrożeniami ostatecznymi, będzie to istotnie triumf rozsądku nad nie w pełni uświadomionymi emocjami. Jednakże to tylko pierwszy przypadek w historii – a w nauce *eins ist keins*, jak wiadomo, więc wszystko się dopiero okaże. Na razie w stosunku do losów ludzkości trudno być zbyt optymistycznie nastawionym. Naturę ludzką kształtuje wiele negatywów świata – już samo wejście w życie zaczyna się od krzyku przerażenia (noworodka), od horroru, którym jest zetknięcie się człowieka przyzwyczajonego do życia w cudownym salonie wnętrza organizmu ludzkiego, oddzielonego od reszty świata systemem szczelnej homeostazy, z otoczeniem tę homeostazę nieustannie atakującym.

Nie są więc przypadkiem ciągłe nawroty romantyczności i romantyzmu w dziejach kultury ludzkiej. Wiążą się one ściśle właśnie ze zjawiskami negatywnymi natury człowieka, z agresją, z kryzysami zaufania, z uciążliwościami egzystencji społecznej.

Freud żył w okresie neoromantyzmu, swoją twórczością współtworzył i podbudowywał go naukowo.

My także żyjemy w czasach bogatych w ruchy romantyczne, poczynające obecnie brać górę nad pozytywizmem, tym bardziej freudowskie koncepcje są bliskie współczesnemu człowiekowi, człowiekowi wchodzącemu wkrótce w nowe stulecie, z balastem zagrożeń i agresji, kto wie czy nie znacznie większych i drastyczniejszych niż te z czasów Zygmunta Freuda.

10–9–8–7–6–5–4–3–2–1–0

Adam Hollanek

MIESIĘCZNIK LITERACKI
fantastyka

Adres redakcji:
00-640 WARSZAWA,
ul. Mokotowska 5/6

Telefony: 25-34-75 (red. nacz., sekretariat, działy: techn., graf., literatury polskiej), 25-50-51 (z-ca red. nacz., sekretariat, działy: zagr., krytyki)

Redaktor naczelny: Adam Hollanek.
Zespół redakcyjny: Andrzej Brzezicki (kier. działu graf.), Leszek Bugajski, Anna Gładka, Lech Jęczmyk (kier. działu zagr.), Sławomir Kędzierski (z-ca sekr. red.), Zbigniew Latała (fotoreporter), Maciej Makowski (kier. działu techn.), Dorota Malinowska, Andrzej Niewiadowski (z-ca red. nacz.), Maciej Parowski (kier. działu literatury polskiej), Jacek Rodek (z-ca red. nacz.), Krzysztof Szolginia (sekr. red.), Darosław J. Toruń, Marek K. Zalejski, Rafał A. Ziemkiewicz.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych, w publikowanych tekstach zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów.

Wydawca: Krajowe Wydawnictwo Czasopism RSW „Prasa-Książka-Ruch", ul. Noakowskiego 14, 00-666 Warszawa, tel. centr. 25-72-91 do 93. Ogłoszenia przyjmuje Biuro Reklam i Propagandy tel. 25-35-36. Skład: Zakłady Wklęsłodrukowe RSW „Prasa-Książka-Ruch", Warszawa, ul. Okopowa 58/72. Druk i oprawa: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch", Łódź, ul. Armii Czerwonej 28. Zam. 751/88. U-54
Nakład 200 000 egz.

NR INDEKSU 35839 PL ISSN 0209-1631

Oddano do składu 27 stycznia 1988 r.

Lądowanie LXII

Wiele osób pisze do nas z obawą, że wykluczyliśmy komiks z numerów „dużej" „Fantastyki", lub pyta dlaczego takie przerwy między naszymi komiksami. Najwięcej zaś Czytelników wyraża zainteresowanie dalszymi losami Funky'ego Kovala. Dla wszystkich najpierw generalne wyjaśnienie. Nie mamy wcale zamiaru zrezygnować z komiksu na łamach macierzystego miesięcznika, mimo że magazyn specjalnie poświęcony komiksowi już rozpoczął na dobre swój żywot. Dobrą także wiadomość pragnę przekazać przyjaciołom Kovala: autorzy wcale nie chcą opuścić swego bohatera. Przeciwnie, zaczynają przygotowywanie nowego serialu z jego życia.

Zanim jednak rysownik zdąży z przelaniem pomysłów autorów na karton, oceńcie Państwo komiks inny – ten, który właśnie zakończyliśmy. Wydaje nam się on ciekawy, mimo że to kilka zaledwie odcinków. Zobaczymy jak Państwo nań zareagują.

Nawiązaliśmy ostatnio kontakt z przedstawicielami (byli w gościnie u nas) miasta szwajcarskiego w górach – Sierre, gdzie zostanie zorganizowany doroczny festiwal komiksu dla dorosłych. Polscy twórcy mają szansę uczestniczenia w nim, a nasza redakcja pragnie wykorzystać ten Kongres do nawiązania współpracy z czołowymi rysownikami Europy. A oto porcja listów:

Nudziarze się nudzą

Jestem czytelnikiem Waszego pisma od czasu powstania tego wspaniałego miesięcznika, zaczynałem czytać „Fantastykę" w wieku 16 lat, więc nie mogę przejść obok nad stanem Waszego pisma.

Uważam, że poziom w 1987 r. był naprawdę słaby. Co stało się z powieściami? Gdzie podziały się tego typu utwory jak „Zapomnij o Ziemi", „Czas jest najprostszą rzeczą", „Gwiazdy – moje przeznaczenie", „Aleja Potępienia", „Formy Chaosu". Proszę zauważyć – w każdym roku ukazywała się choćby jedna dobra powieść. Co się stało?

Tomasz Gnieliński *z Katowic*

Mam wszystkie numery i z przykrością stwierdzam, że „Fantastyka" staje się z numeru na numer nudniejsza, powieści i opowiadania są bez akcji, rozwlekłe, ambitne, ale nudne. Gdzie te czasy, gdy drukowaliście „Świat czarownic", „Aleję Potępienia" – to były hity.

B. Bobrowski

Mieszkam w województwie toruńskim i już od kilku lat jestem miłośnikiem fantastyki i „Fantastyki". Najbardziej sobie cenię utwory gatunku science fiction i SF-horror; na temat pożółkłych kartek nie wypowiadam się ze względów zdrowotnych. (...) Nie chcę Was martwić, ale dobrej fantastyki jest coraz mniej... Poszukuję „Fantastyki" nr 1/82. Borunia i Manczarskiego „Parapsychologii" oraz innych książek o tej tematyce.

Tomasz Nowacki
GRUDZIĄDZ
Korczaka 7/32

Poszukiwacze UFO, czyli NOL

Świętokrzyska Grupa Inspirująco-Twórcza „Gołoborze" z Kielc informuje, iż dysponuje własnym oryginalnym systemem świetlno-chromo-muzycznym – zwłaszcza do Kontaktów z NOL, który to system, jako nowe pismo, 3 XII ubiegłego roku został wstępnie przyjęty przez komórkę wynalazczości Przedsiębiorstwa Eksportu Usług Technicznych EXBUD w Kielcach...

Za grupę
Sławomir K. Zyguła *z Kielc*

Mam 16 lat, chodzę do ZSZ nr 3 w Mławie, specjalność: kierowca-mechanik... Wasze pismo jest fantastyczne, ale nie znaczy to, że są w nim zawsze same hity, za bardzo skąpicie autorów amerykańskich. Bardzo dobre są artykuły p. Iłowieckiego, trochę więcej miejsca proszę udostępnić p. Mostowiczowi – ufologowi. Jeśli chodzi o pisarzy polskich, to świadczą oni, że polska fantastyka jest naprawdę bardzo dobra.

Robert Grabowski *z Mławy*

Konkurs i grafomani

Zdecydowałem się napisać ten list chyba dla spokoju własnego sumienia. Jestem studentem IV rok medycyny i jednym z nawiedzonych młodzików, którzy brali udział w II Konkursie „Fantastyki". Nie odniosłem sukcesu i między innymi do mnie był adresowany artykuł „Konkurs i grafomani" pióra bardzo przeze mnie cenionego Macieja Parowskiego. Duży kubeł zimnej wody na głowę. Myślę jednak, że nie od rzeczy byłoby przedstawienie powodów, które skłoniły mnie do pisania. Każdy człowiek posiada własną wizję świata, mam na myśli krainę, która stanowiłaby odskocznię od codziennych problemów. Podróż, po której z ochotą można by wrócić do zwykłego życia. Właśnie fantastyka przy swoim braku ograniczeń stwarza taką szansę. Nie będę ukrywał, że ideałem w tym względzie jest dla mnie J.R.R. Tolkien. Mój świat jest bardziej brutalny, dużo w nim krwi, magii i jarzących się w mroku źrenic. Kłopot polega na tym, że myślę obrazami. Mam trudności z przelaniem swoich wizji na papier. Trochę rysuję, ale to dopiero początki. Myślę, że jeżeli choć jedna osoba zagłębi się w mój świat, to warto pisać. Na zakończenie składam serdeczne życzenia dalszego kursu w obranym kierunku i lepszego papieru dla „Galerii".

Krzysztof Czernicki
z Mikołowa

Podziękowania za życzenia

Istotnie, choćby dla jednej osoby, która nas rozumie, warto pisać. Miło nam także było, że dostaliśmy mnóstwo życzeń, związanych z okresem świątecznym i noworocznym, na które teraz, w styczniu, kiedy to piszę, odpowiadam równie serdecznie. Niestety, tekst ten dojdzie do Państwa dopiero w kwietniu, może w maju, gdy już będzie nawet po Wielkanocy, a nie tylko po Bożym Narodzeniu i Nowym Roku. Niemniej życzenia w imieniu Redakcji i moim są dla wszystkich Państwa jak najszczersze i najlepsze. Dziękuję za życzenia i życzę pomyślności: **Krzysztofowi Czernickiemu, Januszowi Mirce, Ryszardowi Cabanowi,** który napisał, *żebyśmy byli pierwszym państwem, którego sława obiegła cały wszechświat i byśmy mogli powitać w przyszłości u siebie braci kosmitów,* **Alicji Nielsen** z Aalborga, **Mirosławie Kuleszy** z Zabrza, **Arturowi Janeczkowi** z Bytomia, **Januszowi Czechowi** z Częstochowy, **Robertowi, Piotrowi Sekorskiemu** z Grójca, **księdzu Wiesławowi Niewęgłowskiemu** z Duszpasterstwa Środowisk Twórczych w Warszawie, **Jerzemu Mesce** z Bielska Białej, **Bronisławie Niemiec** z Baranówki, **Anastasisovi Kamburelisowi** z Heraclionu (Kreta, Grecja), którego równocześnie informujemy, że postaramy się mu pomóc w otrzymaniu pozycji przez niego wymienionych, proszę tylko podać adres przyjaciół we Wrocławiu, **Markowi Świtniewskiemu** z Krakowa, **Jerzemu Godlewskiemu** z Lublina, **Michalovi Prokopowi** z Českiej Lipy (do pisarzy polskich można pisać via naszą miesięcznik!) i dziesiątkom innych naszych Czytelników, których nazwisk już nie jesteśmy w stanie pomieścić. Piszcie do nas, listy zawsze czytamy, co mozemy pomóc – to pomagamy. Rzetelna realizacja prenumeraty nie od nas jednak zależy.

Redaktor

Konkurs na słuchowisko – wyniki

W listopadzie 1987 r. rozstrzygnięto konkurs na słuchowisko o tematyce fantastyczno-naukowej i popularnonaukowej, ogłoszony przez Program IV Polskiego Radia. Jury postanowiło przyznać:

- I nagrodę (30 000 zł) **Piotrowi Szwedowskiemu** (godło „Kontakt") za pracę „Pułapka zwierciadlana",
- II nagrodę (25 000 zł) **Andrzejowi Śleszyńskiemu** (godło „Kwark") za pracę „Zbrodnia prawie doskonała",
- III nagrodę (20 000 zł) **Róży Holzman** (godło „Ada") za pracę „Inna",
- trzy wyróżnienia (po 8 000 zł); **Witoldowi Banachowi** za pracę „Powitanie", **Bogdanowi Wiśniewskiemu** (godło „Smok") za pracę „Inwigilacja" oraz **Adamowi Żarnowskiemu** (godło „Cis") za pracę „Klatka".

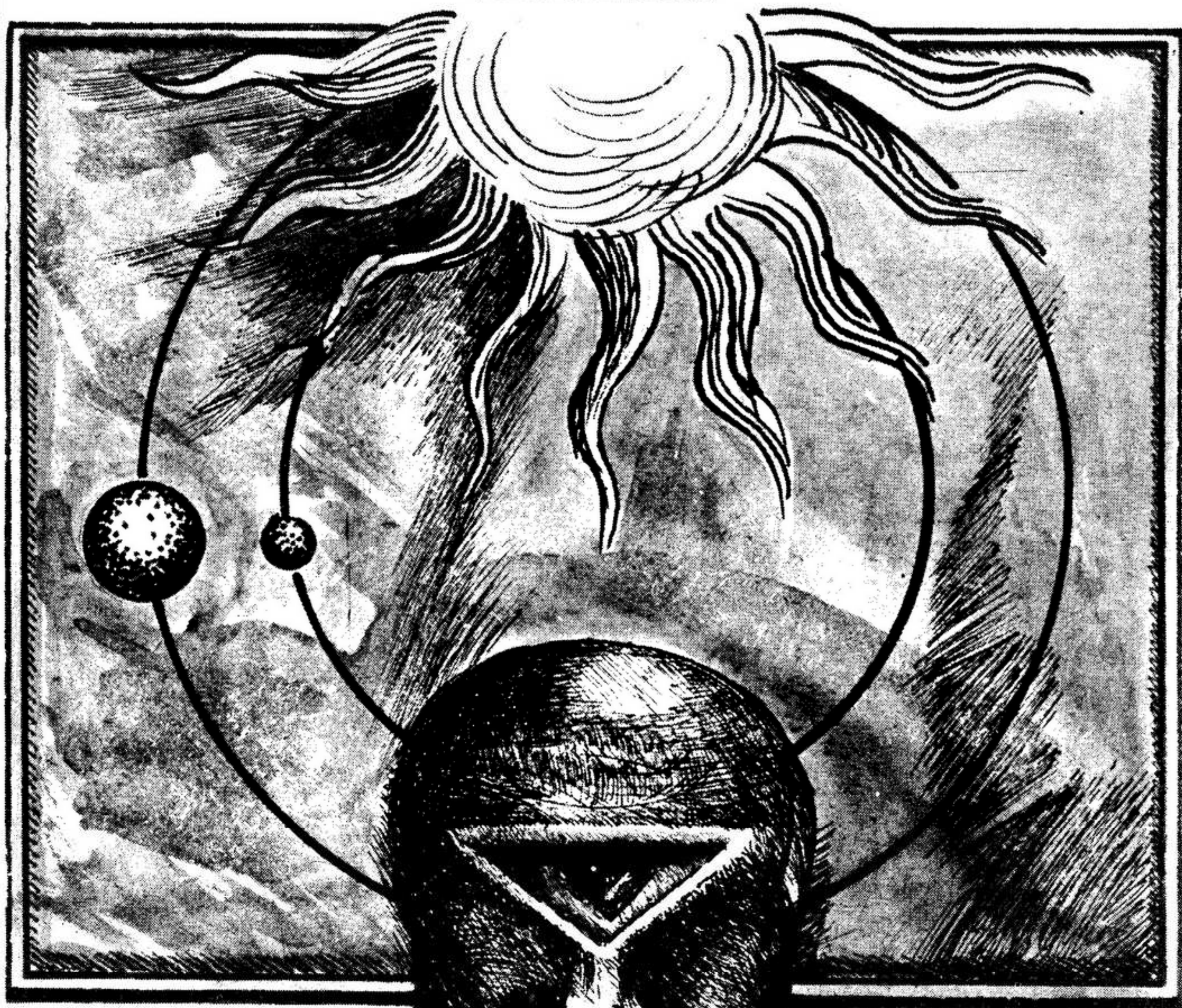
Jednocześnie informujemy pozostałych uczestników konkursu, że wyróżniające się tematyką i formą słuchowiska, które nie zostały nagrodzone, będą zakupione i nadane w Programie IV Polskiego Radia.

Niektóre z najlepszych prac nadesłanych na konkurs wydrukujemy w „Fantastyce". To nasza forma nagrody, to rezultat naszej współpracy z Programem IV PR.

Jack Williamson

UMYSŁOWIEC

(Mental Man)



Michał Jędrczek

Jack Williamson urodził się w roku 1908, jak łatwo więc obliczyć ma lat 80, z tego przez ostatnie 60 był autorem SF. Niezwykła to kariera pisarska – obejmująca całą właściwie historię SF w Ameryce. Jack Williamson nigdy nie pretendował do pierwszego miejsca w gronie jej twórców, ale od 60 lat jest w czołówce! Doceniając jego długą i owocną pracę na polu fantastyki nagrodzono go w roku 1976 nagrodą Nebuli w specjalnej kategorii Grand Master, którą przed nim otrzymał tylko Robert Heinlein. Williamson zmieniał się wraz z czasami, zmieniał tematykę i styl zbierając po drodze niemałą garść entuzjastów, na przykład w ubiegłym roku ukazała się kompletna bibliografia utworów Williamsona ze streszczeniami i omówieniami wszystkich utworów (za jedne 90 dolarów).

Jack Williamson odniósł się bardziej niż życzliwie do propozycji druku w naszym piśmie („Może nawet uda mi się przyjechać do Polski i zainwestować te złotówki!") i przysłał nam opowiadanie „Umysłowiec" (The Mental Man), które „Amazing Stories" zamieszcza w 60 rocznicę debiutu Williamsona.

Przypomnijmy, że tamto debiutanckie opowiadanie z roku 1928 nosiło tytuł „The Metal Man" i zestawienie tych dwóch tytułów jest wielce symboliczne.

Z przyjemnością przedstawiamy również szkic o Williamsonie pióra jego przyjaciela i współautora, znanego dobrze naszym czytelnikom Frederika Pohla.

L.J.

— Tatusiu? Czy będzie koniec świata? – Mała Amy wyślizgnęła się z łóżeczka, żeby wysłuchać ostatnich wiadomości. Obejrzał się i ujrzał ją szlochającą w korytarzu. – Czy nas obronisz?

– Nie płacz, kotku. – Wziął dziewczynkę na ręce i przytulił drżącą do piersi. – Ci dziennikarze... wciąż usiłują nas straszyć, ale światu nic się nie stanie.

Odniósł córeczkę do sypialni i trzymał ją za rączkę, aż nie usłyszał, że zasnęła. W godzinę później zadzwonił Rhymer wzywając go do instytutu. Beth wyszła za nim do samochodu.

– Co się sta... – urwała uświadamiając sobie, że i tak nic jej nie może powiedzieć. Czuł na twarzy jej łzy, gdy całowała go na pożegnanie. – Boże, jeśli istniejesz – wyszeptała – miej nas w swojej opiece!

Zdarzyło się to trzy noce temu; a może cztery? Jego pamięć spowijała teraz mgła, wstrętna mgła zamazująca wspomnienie napięcia i bólu, ale czas nie miał znaczenia. Liczyły się tylko ciche bomby, czerwony deszcz, projekt BenTech i krzemowe mikroukłady uwierające go pod sklepieniem czaszki.

– Ben? Doktorze Gale? – ocknął się tarmoszony za ramię przez Duvica. – Podczas twojej drzemki nadeszły dalsze złe wieści. Jest rozkaz przetestowania sprzęgacza. Masz się przygotować.

Usiadł na leżance znajdującej się w skąpo oświetlonej rozdzielni i sięgnął po buty. Ogolony wierzch głowy swędział pod bandażami, a każdy ruch wrażał zimne, stalowe ostrze w jego czaszkę. Zgrzytając zębami z bólu myślał o Beth i o dzieciach. Uwięziony w tych starych ceglanych murach skrywających BenTech, oszołomiony środkami znieczulającymi Klebolda, nie mógł nawet zatelefonować.

Złe dni i jeszcze gorsze noce, mniejsza z tym, ile ich było. Wielogodzinna operacja mikrochirurgiczna u Klebolda. Dni i noce bólu wzniecanego przez mikroukłady, chociaż Klebold utrzymywał, że nie zostały podłączone do ośrodków zmysłów w mózgu. Nieustanna praca z Duvicem nad wykończeniem oprogramowania, co pociągało za sobą konieczność sprzęgania się umysłem z komputerem głównym. Symulacje warunków rzeczywistych, które wciąż nie dawały zadowalających rezultatów i które trzeba było wielokrotnie powtarzać.

– Co? – czuł po przebudzeniu suchość i niesmak w ustach. – Kiedy?

– Natychmiast. Czekają na ciebie w laboratorium.

Nie zawiązując butów pośpieszył za Duvicem. Duvic był jego najstarszym i najbliższym przyjacielem, ale jeśli doświadczenia, jakie prowadził kiedyś w Los Alamos zaowocowały wreszcie tymi bombami i zabójczym deszczem, połowa odpowiedzialności za to spadnie właśnie na Duvica.

– Uwielbiałem tę robotę nad opracowywaniem nowych broni – wyznał kiedyś Duvic. – Dawno temu, kiedy sądziłem, że mój kraj ich potrzebuje. Ale to, na co się natknąłem, przeraziło mnie. Dlatego właśnie tu jestem. To nadzieja, że BenTech może w jakiś sposób przeciw...

Urwał wzruszając ze smutkiem ramionami.

Gale wczłapał za nim teraz do laboratorium. Blask poraził mu oczy i musiał patrzeć na maszynę spod przymrużonych powiek. Przycupnęła pośrodku długiej sali niczym zakuty w stal dinozaur. Duvic nazywał go sprzęgaczem. Ale dla niego robot pozostawał zawsze bestią. Dziś wieczór ta bestia go pożre.

Trzech mężczyzn stojących w sali przypatrywało się w zadumie maszynie. Generał Janssen o pociągłej twarzy i bladożółtej cerze, żujący niedopałek wygasłego cygara. Klebold, wyższy od generała, o łysej okrągłej głowie, która nadawała mu wygląd bardziej żołnierza niż chirurga. Rhymer, naczelny inżynier projektu, roztrzęsiony teraz i przygryzający nerwowo koniuszek żółtego wąsika. Cała trójka ożywiła się na jego widok.

– Ben? – Generał zmierzył go krytycznym spojrzeniem. – Dobrze się czujesz?

– Powiedzmy – głos miał schrypnięty i piskliwy. – Jest coś nowego?

– Nic dobrego. – Generał spojrzał na niego groźnie, jakby to on był wszystkiemu winny. – Wszędzie szaleje piekło. Jesteśmy teraz odcięci od świata, ale zanim to nastąpiło, otrzymałem stosowne rozkazy. Atakujemy natychmiast.

– Atakujemy? – wzdrygnął się, co spowodowało gwałtowny ból w nafaszerowanej krzemem głowie. – Niewłaściwe słowo, sir. BenTech nie jest bronią. Nie potrafi zabijać. Liczyć możemy co najwyżej na nowe urządzenie wywiadowcze. Zawsze to panu mówiłem i usiłowałem przekonać o tym Pentagon. To przyrząd doświadczalny, jeszcze nie przetestowany.

– Dlaczego nie?

– Jeszcze nie skończyliśmy. – To był tylko jeden z powodów. Nie chciał ryzykować spalenia mikroukładów wszczepionych w jego mózg, jeśli coś się nie uda. Ani mocy, jaką mogą dać jakiemuś innemu mózgowi, jeśli wszystko pójdzie dobrze. – Nie jesteśmy jeszcze gotowi...

– Gotowi czy nie... – w głosie generała słychać było chrzęst kruszonej tafli lodu. – Jeśli nikt panu jeszcze o tym nie mówił, to ja pana poinformuję. Nacieramy na Armageddon.

W jego udręczonej głowie odbił się echem szept Amy: ... Tatusiu? Czy będzie koniec świata?...

Odwrócił się i spojrzał na Duvica. Był to wątły, nerwowy człowieczek o pociągłej, ogorzałej twarzy i ciemnych matowych oczach. Czarna, szpiczasta bródka nadawała mu wygląd niewyrośniętego Szatana. Teraz pełnego skruchy, być może za późno.

– To nie moja wina, Ben! – Duvic chwycił go za ramię. – Nie wiemy, kto nas zaatakował ani czym nas zaatakowano. Przypomina to śmiercionośny środek, nad którym pracowałem tam, w Los Alamos. Może był przeciek i tajemnica dostała się w ręce Bóg wie kogo. Ale nic nie wiemy. – Wzruszył bezradnie ramionami. – Nikt nic nie wie.

Pomimo jego starań, z wyschniętego gardła nie wydobyło się żadne słowo.

– Waszyngton... – podenerwowanie przytłumiało głos generała i odmalowywało się grymasem na jego surowej twarzy. – Teraz Waszyngton. Przestał istnieć dziś po południu. Nie przeprowadziliśmy kontruderzenia, bo nie jesteśmy w stanie zidentyfikować celu. Doktor Duvic twierdzi, że pan to potrafi.

Wszyscy czterej mężczyźni patrzyli nań wyczekująco.

– Niczego nigdy nie obiecywałem... – Chciał potrząsnąć głową i krzem eksplodował mu w czaszce. – Eksperyment planowano z myślą o stwierdzeniu, czy moc komputera potrafi wzmocnić wydajność mózgu. Trudno nawet odgadnąć, co z tego może wyniknąć.

– Nie zawracaj pan, do cholery, głowy! – Rhymer zbliżył się o krok, żeby spojrzeć mu w twarz przekrwionymi, zapuchniętymi oczyma. Rhymer był alergikiem. Brązowy wąsik pociemniał mu pod nosem od wilgoci, a na jego nierównych krawędziach połyskiwały jasne kropelki. Ścierał je różowym, wężowatym językiem. – Umieramy jak ślepcy. Skoro istnieje taka możliwość, chcemy wiedzieć, gdzie uderzyć. Jeśli pan nas wprowadzał w błąd...

Duvic chwycił Rhymera za ramię, żeby go odciągnąć od Bena.

– Margie... – napięta twarz generała zadrgała nerwowo. – Moja żona... była właśnie w Waszyngtonie. O ile wiem, już nie żyje. Wszyscy jesteśmy martwi, Ben. Chyba że powie nam pan, co się dzieje.

Wzruszył ramionami i wyszeptał: – Czy mogę porozumieć się telefonicznie z moją rodziną?

– To niemożliwe. – Uciął stanowczo generał, ale zaraz potem dodał nieco łagodniejszym tonem. – Przykro mi, Gale, ale telefony... nic nie działa.

Przez jego pulsujący bólem mózg przemknęło znowu echo zdyszanych słów Amy.

– Do dzieła – generał zwracał się teraz do Rhymera. – Jaki jest obecny stan zaawansowania projektu?

– Skończyliśmy, sir. Trwa test wszystkich systemów. Wyniki są pozytywne. Żadnych usterek nie stwierdzono. Za pół godziny powinniśmy osiągnąć pełną gotowość.

– No to do roboty.

Generał odmaszerował.

Rhymer odwrócił się do maszyny i przystąpił do sprawdzania przełączników i połączeń kablowych, zerkając od czasu do czasu na ekrany oscyloskopów i skale mierników oraz odfajkowując skontrolowane pozycje na schemacie w notatniku; jego niestrudzony język wysuwał się co chwila szybkim ruchem z ust, aby dotknąć wilgotnego wąsika.

– Wszystko w porządku, Ben? – Chirurg pochylił się, żeby ze skupionym wyrazem twarzy zajrzeć mu w oczy. – Sprawdźmy tętno. – Podał mu nadgarstek. – Nawet niezłe, ale chciałbym, żebyś sobie teraz trochę odpoczął, jeśli możesz. Umyj sobie twarz. Napij się kawy. Wyrzuć z głowy wszystkie złe myśli. Potrzebny ci będzie trzeźwy umysł.

Opiekuńczy jak pielęgniarka Duvic odprowadził go do łazienki, zaczekał, aż skończy myć twarz, wyciągnął mu krzesło spod kulawego stolika w wąskiej alkowie, którą nazywali świetlicą, odgarnął stos brudnych filiżanek, niedojedzonych pączków i pomiętych gazet, po czym nalał mu kawy. Kawa podrażniła żołądek. Przez tych kilka ostatnich ponurych dni pił jej stanowczo za dużo, nie biorąc od ust właściwie niczego więcej, ale opróżnił filiżankę do dna.

– Jeśli Bóg istnieje... – Duvic urwał napełniając ponownie filiżankę – ...to nas opuścił.

– Nie wiń za to Boga – odsunął od siebie kawę – ani siebie. Stało się. To moja osobista filozofia... nazwijmy ją stochastyczną. Nigdy nie wierzyłem ani w Boga, ani w przeznaczenie, ani nawet w szczęście. Szukając dowodu stwierdzałem zawsze, że światem rządzi przypadek.

Wykonując szarpane ruchy, jak jakaś mała, przeciążona maszyna, Duvic nasypał cukru i sproszkowanej śmietanki do drugiej filiżanki i nie dolewając kawy wrócił z nią do stolika.

– Będziesz miał teraz okazję poznać prawdę. – Z nieznacznym wzruszeniem ramion Duvic postawił na blacie swoją pustą filiżankę. – Zaprzestałem pracować nad nowymi środkami zniszczenia, kiedy zrodziło się we mnie przypuszczenie, że znalazłem więź istniejącą pomiędzy naturą a tym, co wciąż nazywamy światem nadprzyrodzonym. Nazwałem tę więź Efektem Delta Psi. Dlatego właśnie tu jestem. Chcę wiedzieć.

– Pentagon nie płaci nam za szukanie Boga. – Przypomniał sobie w porę, że nie wolno mu potrząsać głową. – Sprzęgacz miał być wojskową maszyną szpiegowską.

Duvic chrząknął i oddalił się, żeby nalać sobie kawy.

– W całym wszechświecie... – podniósł swój skrzekliwy głos. – W całym wszechświecie widzę tylko przypadki. Weźmy sam projekt – to przecież długi łańcuch losowych zdarzeń. Na skutek wypadku samochodowego, jakiemu uległem, wyleciałem ze szkoły medycznej. Tak się złożyło, że w szpitalu opiekowała się mną pielęgniarka, której ojciec zajmował się poszukiwaniem analogii pomiędzy komputerami a ludzkim mózgiem. Tak się też złożyło, że poślubiłem tę pielęgniarkę i pod wpływem jej ojca wybrałem drogę naukowo-badawczą, która doprowadziła mnie do BenTech.

– Czysty ślepy los...

Duvic wrócił do stolika z pełną filiżanką. Kawa przelewała się przez jej obrzeże. Postawił filiżankę na rozłożonej gazecie i wzrok Gale'a spoczął na nagłówkach. Pochylił się, żeby odcyfrować tytuł wydrukowany tłustą, czarną czcionką.

KLĘSKA PRZYBIERA CORAZ WIĘKSZE ROZMIARY! WASZYNGTON ZAATAKOWANY!

Fragmentaryczne biuletyny napływające ze stolicy kraju potwierdzają wcześniejsze pogłoski powstające na podstawie przecieków ze źródeł wojskowych, jakoby miasto zostało „zniszczone". W rozmowach telefonicznych, zanim łączność uległa przerwaniu, opisywano „ciche bomby" wybuchające wczoraj po południu nad Waszyngtonem i jego przedmieściami, oraz wspominano o opadach „czerwonego deszczu". Osoby oficjalne, z którymi zdołano się skontaktować odmówiły dodatkowych komentarzy, ale całkowity zanik łączności międzynarodowej, a teraz nawet międzystanowej zdaje się potwierdzać wcześniejsze doniesienia o nie mającej precedensu, ogólnoświatowej katastrofie.

Czuł żar w żołądku.

...Tatusiu? Czy będzie koniec świata?

Zobaczył ich teraz oczyma duszy, Beth i dzieci, cała trójka przytulona do siebie w bezsilnym przerażeniu. Beth... w swej sukni ślubnej, taka jak na jego ulubionej fotografii, którą zawsze nosił w portfelu, śmiertelnie poważna i wciąż niemal jeszcze dziecko. Roger w swojej czapeczce z napisem Little League; jego piegowaty uśmiech spełza z wolna z twarzy i przechodzi w wyraz oszołomionej dezorientacji. Amy, błagająca go, aby ich bronił.

– Jeśli Bóg istnieje – mruknął znowu Duvic – to chyba go opuściliśmy.

Poszukał w kieszeni rolki pokruszonych Tumsów i włożył do ust dwa na raz. Duvic pośpieszył w milczeniu, żeby przynieść mu wody do popicia.

– Doktorze Gale? – W drzwiach stanął nagle Rhymer. – Kontrola systemów zakończona, sir. Możemy zaczynać.

Obok sprzęgacza czekał Klebold z dwiema pielęgniarkami. Odwinęli mu głowę z bandaży. Musiał się rozebrać i położyć twarzą ku górze na zimnym, metalowym łóżku. Wiatrak wentylatora dmuchał lodowatym powietrzem na nagi wierzch jego głowy i Gale nie mógł opanować drżenia na całym ciele.

– Szczęśliwej podróży, doktorze. – Duvic pochylił się nad nim siląc się na beztroskę. – Trzymaj się. Ściągniemy cię z powrotem za kilka godzin. Staraj się rejestrować i zapamiętywać każde spostrzeżenie, każde odczucie, każde wrażenie...

Klebold mruknął coś do pielęgniarek i te odsunęły Duvica od łóżka. Leżąc w bezruchu przymknął powieki, żeby nie patrzeć na blask nad głową. Usta miał spieczone, w gardle czuł wciąż cierpki smak tamtej zwietrzałej kawy. Za późno, żeby poprosić o łyk wody. Czuł jak pielęgniarki rozciągają wokół niego swoją sieć wężowych kabli, smarują go klejem, przykładają do jego nagiego ciała czujniki telemetryczne. Ich zwinne palce gładziły obolały wierzch głowy. Poczuł ukłucia, gdy ciągnęły przewody, łącząc jego mózg z komputerem głównym.

Odniósł wrażenie, że łóżko się porusza. Efekt Delta Psi wymagał stosowania ekranowania przed promieniowaniem, a przynajmniej Duvic twierdził, że wymaga, a więc wsuwano go wraz z łóżkiem pod ekran. W paszczę nigdy nie nażartej bestii. Mroczna, wąska skrzynia w kształcie trumny o ściankach wyłożonych grubym ołowiem.

– W porządku? – rozległ się podniecony głos Duvica. – W porządku, Ben?

Otworzył oczy. Wszyscy pochylali się z napięciem na twarzach nad jadącym wolno łóżkiem. Ogorzała, jastrzębia twarz Janssena stężała. Różowy język Rhymera przemykał co chwila jak język węża po połyskujących kropelkach. Pielęgniarki patrzyły w dół ze ściągniętymi brwiami. Jedna spojrzała mu w oczy i próbowała się uśmiechnąć. Duvic uniósł drżącą rękę, jakby chciał pomachać mu na pożegnanie.

– Nie ruszaj się! – nakazał mu Klebold. – Kalibrujemy.

Frederik Pohl

JACK WILLIAMSON: PIONIER

Kiedy Artura Clarka spytano, dlaczego pisze science fiction, odpowiedział: „Ponieważ jest to jedyny gatunek literacki zajmujący się rzeczywistością". Stwierdzenie tego rodzaju ściąga czasami na nas, pisarzy uprawiających science fiction, gromy ze strony statecznych przedstawicieli kół uniwersyteckich i literackich: „Rzeczywistość?" W bajkach rojących się od miotaczy promieni, Marsjan i maszyn czasu?

Ale Arthur Clarke ma rację, ponieważ najnowszą i największą rzeczywistością, wobec której wszyscy stoimy, jest zmiana. Przemiany społeczne. Przemiany technologiczne. Przemiany środowiskowe. Nawet przemiany zachodzące w najskrytszych zakamarkach naszych osobowości pod wpływem stosowania środków farmakologicznych i metod modyfikacji zachowań, nie wspominając już o rysujących się na horyzoncie jeszcze straszniejszych możliwościach. Science fiction jest literaturą przemian i najlepszym sposobem na przygotowanie większości z nas do radości i niebezpieczeństw, jakie niosą nadchodzące lata.

Jeśli żyje wśród nas niezawodny przewodnik po nieprzetartych ścieżkach zmian, to jest nim na pewno Jack Williamson – Jack Williamson w swojej pracy, w swoich myślach, a nawet w historii swego życia.

Pierwsze wspomnienia Jacka sięgają długiej wędrówki krytym wozem – krytymi wozami! – do dziewiczych terenów wschodniego Nowego Meksyku. Były to czasy, kiedy nie istniała jeszcze bezpośrednia łączność ani szybki transport lotniczy. Nie było jeszcze wtedy nawet ani dobrych dróg, ani elektryfikacji, a pierwsi osadnicy, pomiędzy którymi wyrósł, wiedli życie samotne, wypełnione niebezpieczeństwami i ciężką pracą. Trzeba było być twardym, żeby utrzymać się przy życiu uprawiając wysuszone pola i wypasając bydło na wielkich piaszczystych równinach – na czterdziestu akrach mogła wyżywić się tylko jedna sztuka, tak rzadko rosła tam szałwia i niska trawa. Wielu osadników zrezygnowało. Niektórzy zmarli. Ci, którzy przetrwali, patrzyli zazwyczaj na świat ze sporą dozą pewności siebie, bo wiedzieli, że potrafią pokonać niemal wszystkie przeszkody, jakie ześle im los.

Pierwszych lat życia Jacka nie można nazwać łatwymi. Gdy był jeszcze niemowlęciem, omal nie zabiła go jedna z tych nie w pełni zbadanych chorób zwana

Ruch ustał. Bestia połknęła go. Coś grzmotnęło. To zatrzasnęły się z hukiem ciężkie ołowiane szczęki. Całkowita ciemność. Idealna cisza, dopóki nie usłyszał cichutkiego poszumu powietrza z wentylatora. Czuł kłucie w wierzch głowy, tam, gdzie przymocowane były do niej przewody. Powietrze było zimne. Zadrżał i nawet ten niewielki ruch wzniecił ból pod sklepieniem czaszki.

Czekał.

Nic. W polu widzenia, tam, gdzie paliły się lampy, zanikały ospale purpurowe plamy. Wyczuł lekką wibrację całej maszyny, jakby bestia beknęła. Nic więcej nie czuł, ale wiedział, co się dzieje.

Klebold bardzo dokładnie mierzy napięcie zasilające wszczepy. Sprawdza sygnał na wejściu i wskazanie miernika. Kontroluje pracę mikroprocesorów i krzemowej pamięci. Sonduje reakcje synaptyczne. Ostrożnie, delikatnie zazębia oprogramowanie komputera z miękką, żywą tkanką przyśpieszając w ten sposób powolność skomplikowanych reakcji chemicznych zachodzących w miliardach neuronów do szybkości światła, z jaką działają krzemowe mikroukłady przetwarzające miliony kilobajtów.

Szukając w ciemnościach, po omacku, jakiegokolwiek dowodu istnienia maszyny, jakiegokolwiek sygnału obecności tej ogromnej komputerowej mocy przyłączonej do jego mózgu, czuje tylko powolne, miarowe łupanie ciężkich jak cegły mikroukładów. Wierzch czaszki swędzi go i piecze, ale nie może go dotknąć. Nagle zaczyna się pocić; gorące krople ściekające z czoła do oczu łaskoczą, ale wszędzie, na całym ciele, rozmieszczone są czujniki. Nie wolno mu się poruszyć.

Znowu szuka światła, ale zniknęły już nawet purpurowe mroczki. W ołowianej skrzyni zalegają idealne ciemności. Skrzynia ma kształt trumny, jest ciemna i nieodparcie kojarzy się z grobem. Wsłuchując się w niezmąconą ciszę zaczyna słyszeć swój puls. ...Szszsz łup, szszsz łup... Jest bardzo słaby, bardzo powolny. Ale to przynajmniej dowodzi, że wciąż jeszcze żyje.

Na zewnątrz, pielęgniarki trwają teraz na swych stanowiskach przy maszynie wpatrując się w ekrany oscyloskopów i rejestrując jego oznaki życia. Rhymer miota się po sali nadzorując pielęgniarki, kontrolując pracę maszyny i rozstawionych wokół niej, bezgłośnych komputerów, odfajkowując punkty w swoim notatniku, a jego ruchliwy jezyk jest niestrudzony.

Inni zgromadzili się na pewno w swojej małej, zbitej z dykty klitce zwanej szumnie sterownią. Klebold wystukuje coś i pokręca na swoich ustawionych w półkole klawiaturach i obawiając się błędów w oprogramowaniu denerwuje się tak samo jak Rhymer. Duvic i generał stoją za jego plecami; generał milczący i sztywny, jakby kij połknął, zaciska porośniętą szarą szczeciną szczękę na wciąż tym samym wygasłym niedopałku cygara, a Duvic kręci się naokoło niego szepcząc mu natarczywie do ucha coś, co generał ignoruje.

Sprzęganie. Czyżby już?

Nie wiedzą więcej niż on.

Głowa znowu go łupie w rytm tego powolnego ...szszsz-łup, szszsz-łup... Aby od tego uciec, zaczyna znów myśleć o Beth i dzieciach. Trzy długie dni. A może cztery. Okrutne dni dla Amy, jeśli myślała, że świat się kończy. Co się z nimi stało?

Ujrzał w myślach mały biały domek, który kupił, kiedy się tu przenieśli, kupił za zbyt wygórowaną cenę, bo zajęty sprawami organizacyjnymi związanymi z uruchomieniem prac nad projektem, nie miał czasu się targować. Dom podupadł teraz – trawnik zaniedbany, piękny stary wiąz chory i usychający. Stolarka domagała się na gwałt farby. Beth znalazła kolejny przeciek, tym razem w szafce w sypialni. Zagrzebany po uszy w projekcie nie był w porządku w stosunku do Beth wywożąc ją na tysiąc mil od rodziców i od morza, które tak kochała i od jej pracy w szpitalu.

Teraz już za późno, żeby to naprawić.

Właśnie świtało, miasto wciąż pogrążone było we śnie. Jej stary, wysłużony kombi stał zaparkowany na podjeździe. Dziewięćdziesiąt tysięcy mil i wgięty prawy błotnik, ale przynajmniej oszczędzał, żeby kupić coś nowego. Niespodzianka na jej urodziny...

Nagły pisk opon. Zza rogu wypadł wóz policyjny i z wyciem syreny pomknął przed siebie. Na całej ulicy zapaliły się światła w oknach. Paliło się w oknie Beth, w oknie Amy i w oknie Rogera. Budziło się całe miasto, na wpół ubrani ludzie wybiegali z domów i zadzierali głowy wpatrując się w błyskające na niebie światła.

Małe, jasne, unoszące się wysoko punkciki jaskrawo błękitnego ognia. Nie wydawały żadnego słyszalnego dźwięku, ale pozostawiały za sobą małe, jarzące się czerwono obłoczki, blednące powoli i wtapiające się w mrok. Czyżby to te same ciche bomby, które zniszczyły Waszyngton? Czy po nich spadnie czerwony deszcz?

Otworzyły się drzwi frontowe. Z domu wybiegła Beth wciąż jeszcze w piżamie i w czerwonym, jedwabnym szlafroku, który podarował jej na Gwiazdkę. Pędziła w kierunku samochodu z naręczem płaszczy i koców. Za nią, potykając się co chwila, biegł Roger w czapeczce z napisem Little League, przyciskając do chudej piersi rękawicę i kij basebolowy. Przystanął, żeby spojrzeć na niebo. Za nim truchtała Amy szlochając i potrząsając główką. Chciała zaczekać na powrót tatusia.

W miasteczku pociemniało. Pogasły światła w domach i uliczne latarnie. Chwila nocnych ciemności i już zaczynają się zapalać światła samochodowych reflektorów. Beth krzyknęła ponaglająco na Rogera i wciągnęła Amy do wozu. Zawarczał starter. Stary Chevy zadygotał, ryknął silnikiem i wypadł na ulicę ciągnąc za sobą smugę gryzącego dymu. Znikł z oczu w chaosie nadciągającym od Armageddon.

W laboratorium zgasło światło, ale po chwili, krztusząc się z

---

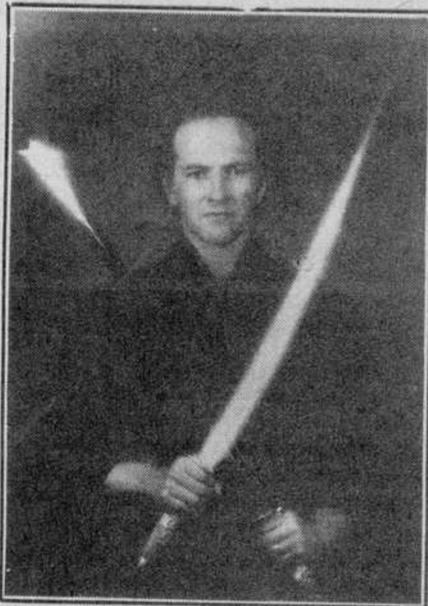
cholera infantum. Jego ojciec był pracowity i mądry; tylko szczęście mu nie sprzyjało. Gdy wytyczył działkę, okazało się, że nie ma pod nią wody. Gdy znalazł nową szansę po drugiej stronie granicy, w Meksyku, wypędziła go stamtąd rewolucja. Kiedy Jack był już na tyle dorosły, aby przejąć na swe barki część odpowiedzialności za byt rodziny, udało mu się zgromadzić stado złożone z pół tuzina młodych byczków. Ale pech go nie opuszczał. Większość stada padła po zjedzeniu liści trującego dębu, a jedyną ocalałą sztukę zabił piorun.

Trudno było przewidzieć, że dziecko wychowujące się w takich warunkach, zbierające wyschnięte krowie łajna na opał, żeby nie zamarznąć i mieszkające trzy dni drogi od najbliższego miasteczka, dorośnie, aby wieść wybitny żywot w świecie wyobraźni i wiedzy. Trzeba tu podkreślić, że jeżeli chodzi o naukę i zdobywanie wiedzy, to Jack od najmłodszych lat zdany był wyłącznie na siebie. Zachętę znalazł w ten sam sposób, w jaki odnalazło ją wielu innych pisarzy science fiction – przez lekturę (bezkrytyczne i zachłanne czytanie wszystkiego, co mu wpadło w ręce) oraz przez puszczanie wodzy swej wyobraźni, która rozszerzała jeszcze to, co przeczytał. W wieku lat osiemnastu, na łamach nowego magazynu wychodzącego od niespełna roku i noszącego nazwę „Amazing Stories" odkrył fantastykę naukową. Stykał się już wcześniej z tego rodzaju opowiadaniami – nauczyciel pożyczył mu kiedyś „Jankesa na dworze króla Artura" Marka Twaina. Ale „Amazing Stories" były dowodem, że SF jest nie tylko dziwacznym, doraźnym zboczeniem z wytyczonego szlaku, ale całym nowym obszarem literackich poszukiwań. Jack z miejsca postanowił, że i on zostanie pisarzem SF. Napisał trzy opowiadania i wysłał je pod adresem magazynu; zostały odrzucone. Napisał czwarte, opatrzył je tytułem „Metal Man", wysłał znowu na ten sam adres „Amazing Stories"...i dni mijały, a on nie otrzymywał żadnej odpowiedzi, ani o przyjęciu, ani o odrzuceniu pracy, aż przechodząc zimą 1928 roku obok teksaskiej trafiki zobaczył na wystawie nowy numer „Amazing". Było w nim jego opowiadanie.

Miał wtedy dwadzieścia lat.

Do szkoły Jack chodził w Teksasie. Niewielki uśmiech losu przyniósł jego rodzinie trochę pieniędzy, których wystarczyło na opłacanie jego nauki w szkole średniej przez co najmniej rok, albo nawet i dwa lata, tak więc zapisał się na pierwszy rok do West Texas State. Kiedy skończyły się pieniądze, Jack musiał przerwać naukę nie kończąc szkoły, ale wtedy już wiedział, że jest pisarzem, i to pisarzem science fiction, i od tego czasu pracował w tym fachu. Rynek rozszerzał się, Gernsback odszedł z „Amazing Stories" i założył konkurencyjne „Wonder Stories". Pojawił się pierwszy numer „Astounding". W kilka lat później nastąpiła eksplozja nowych tytułów – „Marvel", „Planet", „Startling", „Cosmic", „Future" i tuzin innych, włącznie z dwoma moimi magazynami „Astonishing" oraz „Super Science", które zaczęło wychodzić w roku 1940. Jack pisał dla nich dużo i dobrze: „The Stone from the Green Star", „The Legion of Space", „The Legion of Time", „Darker Than You Think" oraz niezliczoną mnogość innych powieści, nowel i krótkich opowiadań. Niemal od samego początku był gwiazdą nowej, rozwijającej się gałęzi literatury – science fiction – co potwierdzały reakcje fanów, próby naśladownictwa ze strony młodszych pisarzy oraz gorliwość, z jaką wydawcy zabiegali o wszystko, co wyszło spod jego pióra.

Siudmak •004•





Sukces Jacka nie znajdował jednak swego odbicia w jego koncie bankowym. Pisanie SF nie było w latach trzydziestych zajęciem zbyt intratnym. Opowiadania takie jak „Dead Star Station", „Breakdown" czy „Crucible of Power" są nadal żywe i dobre. Od tamtego czasu były wielokrotnie wznawiane i zasłużyły sobie tym na miano w pewien sposób nieśmiertelnych; ale wtedy, kiedy Jack je pisał, rzadko przynosiły mu więcej niż cent za słowo. Często trudno było nawet o to. Ale takie sprawy się nie liczyły. Skromny zarobek nie zniechęcił Jacka Williamsona do kontynuowania pisania, tak jak nie zdołał zniechęcić mnie, kiedy w osiem czy dziesięć lat po Jacku zaczynałem stawiać pierwsze kroki jako pisarz science fiction. Pisze się nie dla pieniędzy – wierzcie mi, bez względu na to, co się o tym nieraz pisze. Robią to ludzie, którzy bez tego po prostu nie wyobrażają sobie życia. Zastanawiam się jednak czasem, czy byłbym tak zdecydowany zostać pisarzem science fiction, gdybym wiedział, że nawet ogromny sukces, jaki stał się udziałem Jacka Williamsona, rzadko przynosi przyrost konta bankowego większy niż tysiąc dolarów rocznie przez pierwsze dziesięć lat pracy pisarskiej, z czego połowa pochodzi z pisania science fiction.

★

Wybuchła druga wojna światowa i rozproszyła nas po całym globie.

Kiedy wysłano mnie do Chanute Field w Illinois na techniczne szkolenie obserwatorów meteorologicznych Air Force, w tej samej szkole spotkałem Jacka Williamsona. Ukończył już ten kurs, był na froncie pełniąc przez pewien czas służbę w bazie lotniczej, a teraz wrócił na kurs doskonalenia meteorologów. Poznaliśmy się przelotnie w roku 1939 i byliśmy w kontakcie, kiedy redagowałem swoje magazyny (do których Jack wniósł oczywiście znaczny wkład), ale tu po raz pierwszy znaleźliśmy się w tym samym miejscu.

Pisarze uprawiający science fiction są jako klasa czujni, dobrze poinformowani, ciekawi. Jack stoi wysoko w hierarchii tej klasy. Jego obecność w Chanute czyniła z tej ponurej bazy wojskowej miejsce o wiele bardziej przyjazne. Jack szybko myśli, ale wolno mówi i jest chyba najlepszym kompanem, jakiego w życiu spotkałem. Przez wiele lat miałem szczęście włóczyć się z Jackiem po licznych tajemniczych zakątkach świata, od Stonehenge do mekki latających talerzy w Socorro w Nowym Meksyku. Ja gadam, Jack słucha. I nagle, gdy mam wątpliwości, czy naprawdę usłyszał ostatnie dwadzieścia pięć czy trzydzieści zdań, które wypowiedziałem, on krótką uwagą podsumowuje wszystkie główne wątki moich dotychczasowych wywodów i przenosi konwersację na wyższy poziom. Jack wygląda jak ogorzały kowboj z południowego zachodu, ale za tą twarzą Johna Wayne'a kryje się szybki i głęboko myślący mózg.

Po ukończeniu kursu w Chanute nasze drogi się rozeszły. Jack wylądował na skalistej wysepce na południowym Pacyfiku, a ja w słonecznej Italii, ale gdy skończyła się wojna, obaj wróciliśmy do swojej science fiction. Dwadzieścia lat po napisaniu swojego pierwszego opowiadania, Jack rozpoczynał nową karierę pisarską na innym i bardziej wymagającym rynku SF i potrafił sprostać jego wymaganiom, czego nie można powiedzieć o zbyt wielu innych pisarzach jego pokolenia. W tym właśnie okresie, w końcu lat czterdziestych i początku pięćdziesiątych, napisał „With Folded Hands" i „The Equalizer" i „The Peddler's Nose", „And Searching Mind", kontynuacja „With Folded Hands" weszła pod tytułem „The Humanoids" do klasyki powieści science fiction i jest nadal wzorem do naśladownictwa dla każdego pisarza SF piszącego o robotach (a nawet dla każdego cybernetyka zajmującego się badaniami nad sztuczną inteligencją). Stawki były teraz wyższe. Opowiadania Jacka ukazywały się w formie książkowej, ściągając na siebie zainteresowanie ze strony krytyki. Tłumaczono je na wiele języków świata. Ale Jack nadal nie był w pełni usatysfakcjonowany. W młodości nie załatwił dwóch spraw. Teraz więc ożenił się z sympatią z lat dziecinnych, Blanche, i w kilka lat później wrócił do nauki. Ukończył szkołę średnią, potem wyższą, zrobił doktorat i jako pięćdziesięciokilkuletni mężczyzna rozpoczął pracę w nowym zawodzie profesora uniwersytetu.

Pisał, oczywiście, dalej. Ale dzięki swej pozycji jako doktor filozofii John Stewart Williamson był w stanie uczynić dla science fiction więcej niż potrafiła kiedykolwiek zdziałać większość pisarzy. Coraz bardziej poświęcał się akademickiej stronie science fiction. Prowadził

początku, podjęły pracę generatory awaryjne. Lampy zamrugały. Duvic stojący z pielęgniarkami pochylił się nad nie działającymi oscyloskopami, a potem odwrócił się i wzruszając bezradnie ramionami spojrzał na Rhymera, Klebolda i generała zbitych w gromadkę przy ciemnej maszynie.

– Nie żyje. – Niespokojne ręce Duvica rozkładały się i opadały. – Mózg przestał funkcjonować w momencie, gdy doprowadziliśmy zasilanie do wszczepów, na to przynajmniej wskazują sygnały stanu jego funkcji życiowych. O, teraz przestało bić serce. – Na jego twarzy malował się smutek. – Oszukiwaliśmy siebie samych. Wszyscy z wyjątkiem samego Bena, jeśli sobie przypominacie. Zawsze był sceptyczny. Zawsze podejrzewał, że Efekt Delta jest tylko przypadkowym kaprysem statystyki.

Na zewnątrz, w szarym przedświcie, na ogarnięte paniką, przerażone tłumy siąpił czerwony deszcz. Jego maleńkie, gorące kropelki przypalały ciało, gdy na nie padły i zwalały ludzi z nóg. Dotknąwszy chodnika zmieniały się z sykiem w gęstą, czerwoną mgłę. Ci, którzy wciągali ją w płuca, tracili oddech i umierali. Prowadzone przez nich samochody skręcały gwałtownie i rozbijały się.

Nad czerwoną mgłą i śmiertelną ciszą wschodziło czerwone słońce.

Gale szukał starego chevroleta kombi i znalazł w przydrożnym rowie jego dymiący jeszcze, spalony i pogruchotany wrak. Nie musiał zaglądać do środka. ...Tatusiu, czy nas obronisz?... Nie był z Armageddon. Nie żyli, martwy był cały świat. Jego własne ciało też – od momentu rozpoczęcia eksperymentu. Dlaczego więc wciąż jeszcze żył?

Nie miał ochoty na poruszanie się, myślenie ani przeżywanie. Stwierdził po chwili, że dryfując oddala się od spalonego samochodu, od cichego miasteczka, od umierającego kontynentu, od całej kuli ziemskiej. Zmieniał się upływ czasu. Patrzył na obracającą się pod słońcem planetę; Ameryki rozjaśniły się na chwilę i znowu pociemniały, po nich wślizgiwały się w noc Afryka, Europa i Azja. Czerwona mgiełka rozprzestrzeniła się i zgęstniała. Zieleń stref umiarkowanych krwawiła szkarłatem. Czerwień zmąciła błękit morza. Rozległe, białe zawirowania chmur przybierały z wolna barwę karmazynową, dopóki nie uwierzył, że planeta jest naprawdę martwa.

– Dlaczego? – Obserwował wirujący pod nim czerwony świat. – Dlaczego nie mogę umrzeć?

– Bo jesteś wieczny. – Ten głos przemawiał znikąd nie posługując się słowami. Ujrzał połyskującą w pobliżu jasność, ale nie było to światło. – Ponieważ twoja praca dopiero się zaczęła.

– Czy jesteś... – Chociaż się o to nie starał, przypomniał mu się Duvic. – Czy jesteś Bogiem?

– Nie bardziej niż ty. – Poczuł, jak jasność go przenika topiąc jego rozpacz. – Jesteśmy czystym umysłem, który wyewoluował z materii, chociaż później, w drodze ewolucji, znowu możemy stać się istotami przyszłości, bliższymi niż my Bogu, jakim ty Go pojmujesz.

Spróbował się tego uchwycić. Nie mając teraz czaszki ani wszczepionych w nią mikroukładów, nie czuł żadnego bólu. W końcu zdobył się na odwagę i zapytał: – Co to za praca, którą mam rozpocząć?

– Pielęgnujemy nowe życie, tak jak kiedyś nas pielęgnowano. Zastałeś nas tutaj na krawędzi porażki, znużonych drogą przebytą w wielkim pośpiechu, aby zdążyć na czas przed zagładą twojej planety. Dzięki ostatniemu wysiłkowi, który uważałeś za zwykły losowy przypadek, utrzymaliśmy przy życiu twój umysł. Masz teraz dług do spłacenia.

Czując budzącą się w nim nadzieję zapytał, jak ma spłacić ten dług.

– Słyszałeś coś o nowej supernowej? – spytała jasność. Przypomniał sobie. – Jej fala uderzeniowa zacznie niebawem formować nowe gwiazdy z otaczających ją obłoków molekularnych. Narodzą się nowe planety. Można wzniecić na nich życie. Sterując jego ewolucją tam, gdzie uznasz to za celowe, możesz stworzyć światy lepsze od tego, jakim był twój.

Dopiero teraz zaczynał rozumieć pełne udręki życie Duvica i Efekt Delta Psi i desperackie dzieje projektu. Rany, które odniósł, mogą się nigdy całkowicie nie zagoić, ale świata, który je zadał już nie ma. Nowe mógł uczynić mniej okrutnymi. Gdyby Beth, Roger i mała Amy mogli narodzić się na nowo, potrafiłby zapewnić im bezpieczeństwo. Uzmysłowiwszy to sobie, poczuł coś w rodzaju radości.

Przełożył Jacek Manicki

wykłady w Eastern New Mexico University. Gromadził i przygotowywał pierwszy kompletny wykaz programów nauczania science fiction w amerykańskich szkołach średnich. Pomagał na niezliczone sposoby w przygotowywaniu tekstów pomocniczych, w tworzeniu profesjonalnych organizacji akademickich nauczycieli science fiction oraz w zakładaniu periodyków poświęconych studiom nad science fiction. Uniwersytet Eastern New Mexico doceniał jego zasługi i nie wyrażał zgody na odejście Jacka, chociaż ten dawno już przekroczył granicę wieku uprawniającą go do przejścia na emeryturę. Ale ostatniej wiosny władze uniwersyteckie uznały, że należy mu się więcej czasu na pisanie i podróże. Wpisano go na listę Wybitnych Emerytowanych Profesorów, upamiętniając to wydarzenie pierwszym z serii odczytów na jego cześć i przeniesiono w stan spoczynku.

Jednym z mówców na tej uroczystości był James Gunn, odpowiednik Jacka z uniwersytetu Kansas, a i mnie przypadł w udziale zaszczyt zabrania głosu. Jim Gunn i ja znaliśmy Jacka od dawna jako przyjaciela, współpracownika i kolegę. Nic więc dziwnego, że powietrze gęstniało od komplementów. Co jednak najdziwniejsze, wszystkie one były szczere.

Inną dziwną rzeczą było to, że po przejściu na emeryturę Jack nie zaprzestał prowadzić aktywnego życia. Wydawałoby się, że siedemdziesięcioletni facet marzy tylko o tym, aby trochę poleniuchować. Ale nie Jack. Wraz z żoną Blanche wybrał się w miesięczną podróż po Skandynawii i Związku Radzieckim, a po powrocie podpisał umowę na serię powieści i innych prac, z której wywiązanie się nadwerężyłoby siły dwudziestolatka.

*

Kilka lat temu, bawiąc na zjeździe nauczycieli akademickich science fiction, natknąłem się, ku memu wielkiemu zadowoleniu, na Marvina Minsky'ego. Minsky jest jednym z największych niesztucznych mózgów w biznesie sztucznej inteligencji, kierownikiem laboratorium automatyki przy Massachussets Institute of Technology (MIT), pionierem w niezliczonych dziedzinach techniki komputerowej, znanym wielu z nas jako człowiek, który próbował zaprogramować komputer na działanie zgodne z Trzema Prawami Robotyki sformułowanymi przez Asimova. Minsky nie jest kimś obcym dla science fiction ani dla pisarzy science fiction; wielu z nich oprowadzał po laboratoriach komputerowych MIT. Ale na ten zjazd przybył w określonym celu. Słyszał, że jednym z gości będzie Jack Williamson i czy byłbym tak uprzejmy, żeby go mu przedstawić.

Zrobiłem to, a Jack był chyba mile zaskoczony, słysząc z ust Minsky'ego, że „The Humanoids" jest jego osobistym kandydatem do miana najlepszego nietechnicznego opisu przypuszczalnej zasady działania sztucznej inteligencji, jaki dotąd powstał.

Jest to rodzaj uhonorowania, który pisarze SF cenią sobie szczególnie, a Jackowi zdarzyło się to nie raz. (Pewien naukowiec z Los Alamos wyznał mu, że zainteresowanie naukowców technologicznymi superbroniami rozbudzone zostało na długo przed projektem Manhattan przez AKKA z „The Legion of Space").

I jest to ten rodzaj uhonorowania, na jaki Jack Williamson rzetelnie sobie zapracował i dalej zapracowuje – powieściami takimi jak „The Humanoids", „The Legion of Space" i innymi swoimi krótkimi opowiadaniami, takimi jak te ze znakomitego tomiku zatytułowanego „The Best of Jack Williamson", jak również swoimi najnowszymi pracami, które przelewa właśnie na papier. Znać Jacka Williamsona to przywilej, a czytać go to uczta duchowa.

Związek Amerykańskich Pisarzy Science Fiction przyznaje co roku Nebule za najlepsze utwory w tej dziedzinie, jakie ukazały się w roku poprzedzającym, ale dysponuje też nagrodą specjalną, nie honorującą jakiegoś konkretnego opowiadania, a pracę całego życia. Dotąd przyznano tylko trzy takie wyróżnienia. Jedno otrzymał Robert A. Heinlein, trzecie Clifford D. Simak. To środkowe, druga Nebula Wielkiego Mistrza, autoryzowana przez SFWA, przypadło w udziale Jackowi Williamsonowi.

I na nią też sobie solidnie zapracował, ponieważ nagroda ta jest nie tylko trofeum, ale i rzetelną jego charakterystyką. Jack Williamson jest Wielkim Mistrzem science fiction i przykładem dla nas wszystkich.

Red Bank, New Jersey 1977

Przełożył Jacek Manicki

Eric Simon



Lidia Popiel

Clivia Neman

(Clivia Neman).

Dobrze, że spotkaliśmy się właśnie tutaj. Przypomina pan sobie chyba jeszcze naszą niedawną dysputę? A zatem udowodnię panu, jak bardzo nie docenia pan techniki.

Owszem, mogę to zrobić. Czy widzi pan tę młodą kobietę tam przy informatorze? Tak, tę z niecodzienną fryzurą. Trudno jej nie zauważyć. Nazywa się Clivia, Clivia Neman. Staroświeckie imię, zapewne. Przychodzi tu tydzień w tydzień, już od półtora miesiąca, i siedzi godzinami przed informatorem. Je jestem w agencji informacyjnej tylko przez połowę tygodnia, ale koledzy potwierdzają: ona rzeczywiście jest tu codziennie.

Naturalnie i ja uważałem, że to niezwykłe. A więc zaczerpnąłem o niej trochę informacji: pan wie przecież, że to u nas prosta sprawa, siedzę, rzec można, u źródła. No i opłaciło się. Ona ma 30 lat. Ale urodziła się 114 lat temu. Wie pan teraz naturalnie, dokąd zmierzam – rozciągnięcie czasu, kwestia powrotu.

Ależ nie, przecież nie ona osobiście! Poleciał jej mąż. Gdybyśmy przeprowadzili tę rozmowę, powiedzmy, 50 czy 60 lat temu, zaraz wpadłby pan na to, o co chodzi; wtedy jeszcze ludzie pamiętali Edwarda Nemana. Dziś jednak, gdy nikt już nie interesuje się podróżami kosmicznymi tego rodzaju...To też jeden ze skutków naszej niekonsekwencji wobec techniki.

Wiem, mówiliśmy już o tym. Ale może ten przykład pana przekona? A więc było to tak: 86 lat temu wystartowała Ósma Ekspedycja Międzygwiezdna. Wszystkich jedenastu członków

załogi było mężczyznami, a jeden z nich, Edward Neman, był żonaty. Szczęśliwie żonaty, znaczy. Dziś chyba nikt nie pojmie, czemu Nemanowie zgodzili się na ciężar rozłąki, bądź co bądź większość ludzi uważa tak długie loty kosmiczne za bezsensowne i nieodpowiedzialne. Ale wtedy jeszcze myślano inaczej, ekspedycja była zaplanowana i Neman poleciał. Wtedy jeszcze stawiano astronautom wysokie wymagania, jeśli chodzi o kwalifikacje i kondycję, a Neman nadawał się jak nikt inny.

Już w tamtych czasach można było dość dokładnie oszacować szanse astronauty wobec niebezpieczeństw Kosmosu, oczywiście o tyle tylko, o ile były one znane. A zatem odporność na różne choroby, jak szok podświetlny, zdolność do szybkiej i właściwej reakcji w niezwykłych sytuacjach i podobne. Liczba zdolnych do lotu planetologów posiadających dostatecznie szeroki wachlarz wiadomości i tak nie była duża, a Neman jako jedyny z nich miał dobre szanse powrotu. Dlatego poleciał, w przeciwnym razie musiałby to uczynić ktoś inny, nie mający tak dobrych szans. W każdym razie znalazłby się ktoś inny – wtedy, gdy jeszcze nie myślano o zaniechaniu lotów ku gwiazdom.

Na to czekałem,: że powie pan „fetyszyzm techniki, zdegenerowana technika jako cel sam w sobie, czy jakiś podobny modny slogan, modny, nienowy. Ale w tym wypadku po prostu nie jest prawdą, że podejmowano owe ekspedycje tylko dlatego, że były one technicznie możliwe lub ponieważ istniejący aparat organizacyjny automatycznie powielał cel swego istnienia, jak to się dzisiaj mówi, czy po prostu ad maiorem gloriam scientiae. Zapewne i to mogło odgrywać pewną rolę, ale co byłoby w tym zdrożnego? Przede wszystkim jednak przerwanie serii wypraw oznaczałoby, że wcześniejsze loty i praca rozwojowa całych dziesięcioleci stałaby się nagle bezsensowna, praca ludzi, a nie jakichś tam maszyn. Tak więc pytanie nie brzmiało, czy należy latać, lecz kto powinien.

Ma pan rację: w tym wypadku zaistniał konflikt, gdyż dla Nemana, który był najbardziej predestynowany, pożegnanie z Ziemią było szczególnie trudne, jako że było ono jednocześnie pożegnaniem z kobietą, którą kochał. Ale nie, to nie miało przecież nic wspólnego z jego obiektywną przydatnością, czyli z jego szansami przeżycia. Było to najwyżej jego osobistym problemem, i widzi pan – właśnie to dało się rozwiązać dzięki konsekwentnemu, wolnemu od przesądów stosunkowi do techniki, która ponoć stwarza tylko nowe niepotrzebne problemy.

O ile się nie mylę, już w XXI czy w XX wieku próbowano wprawić ludzi w długi sen anabiotyczny poprzez wyziębienie. Te wczesne próby spełzły jednakże na niczym i później przez długi czas nie były ponawiane. Aż wreszcie odkryto niezawodną metodę budzenia hibernatów i ta kobieta, Clivia Neman, skorzystała z tego. Dwa lata po odlocie wyprawy, gdy wreszcie wszystkie połączenia ze statkiem zostały przerwane, kazała się zamrozić, by czekać na swojego męża. Zrezygnowała ze wszystkiego – zostawiła przyjaciół, znajomych i krewnych, którzy dawno poumierali, swoją pracę, do wykonywania której w dzisiejszych czasach brakuje jej wiadomości, swoje całe otoczenie, po prostu swoje czasy – dla niego.

Przed ponad rokiem poddano ją rewitalizacji i w ciągu tego czasu zdołała chociaż częściowo przystosować się do teraźniejszości. Ale nie ma nikogo naprawdę bliskiego; mimo starań psychologów pozostała dzieckiem swojej epoki, ubiegłego stulecia – właśnie taką chce być nadal, gdyż taką zna ją jej mąż. Obawia się, że straci jego miłość, jeśli się zmieni, jeśli przystosuje się do epoki, w której zmieniły się nie tylko środki, ale także cele, w której dla odwagi jej męża i jego towarzyszy ma się w najlepszym razie poważanie, ale brak z pewnością zrozumienia. Musiała poznać, jak trudno jest znaleźć się w innej epoce, teraz chce przynajmniej pozostać niezmieniona, by jej mąż mógł tu znaleźć oparcie. Przynajmniej ja tak myślę, ona mi tego oczywiście nie mówiła. Nawet gdyby chciała, nie mogłaby się prawdopodobnie przystosować do naszych czasów, ale to jej chyba tymczasem nie niepokoi: ona czeka na fragment swojej epoki, na to, co było dla niej w niej najważniejsze.

Na pozostałych dziesięciu nikt nie czekał.

Ma pan rację: statek, który niedawno zlokalizowano, to Ósma Wyprawa. Nie sądziłem, że wie pan o tym, przecież w wiadomościach była zaledwie krótka informacja. Żonę Nemana zawiadomiliśmy natychmiast; od tej pory przychodzi tutaj codziennie i wywołuje stare informacje z okresu startu. W rzeczywistości czeka jednak na to, że uzyskamy wreszcie kontakt radiowy ze statkiem. Ale statek jest jej zapewne obojętny; ona chce rozmawiać – z nim.

Przy tym wie, że statek jest jeszcze zbyt daleko; nim wyląduje, minie jeszcze przeszło rok. Sygnały nadchodzą całkiem zakłócone i są przydatne tylko do tego, by określić odległość i prędkość. Ależ tak, ona wie o tym. I jednak przychodzi. Myślę, że czeka na to, iż kiedyś meldunek będzie mniej zniekształcony. Wprawdzie przy obecnej odległości jest to całkiem nieprawdopodobne, lecz takie rachunki prawdopodobieństwa dopuszczają zawsze możliwość wyjątku. Otóż istotnie dwa dni temu dotarł do nas względnie zrozumiały komunikat, całkiem przypadkowo. Bardzo radosny komunikat, gdyż skrupulatny dobór załogi jednak się opłacił.

Ona jeszcze nie wie o tej wiadomości, na razie nie podaliśmy jej jeszcze do publicznych magazynów informacyjnych. My z agencji informacyjnej jesteśmy zdania, że nie powinniśmy się mieszać do spraw, które nas nie dotyczą. Nasze zadania są jasno sformułowane, nie jesteśmy psychologami. Ktoś przecież powinien być na tyle kompetentny, by jej to we właściwy sposób powiedzieć.

A przecież była to naprawdę bardzo radosna wiadomość. Eksperyment udał się. Bo czy ktoś z nam współczesnych odważyłby się na serio mieć nadzieję, że spośród jedenastu członków załogi wróci dziesięciu?

Tak, pana przypuszczenia są właściwe; owszem, to jest tragiczne. Ale mimo wszystko: gdy on postanowił wziąć udział w wyprawie, problem Nemanów był praktycznie rozwiązany, i to bez zarzutu. Czy głupi przypadek może coś zmienić w znaczeniu tego rozwiązania?

Przełożyła **Grażyna Werner**

Eric SIMON

Urodzony w roku 1950 autor z NRD, znany w Polsce z tomu „Pierwsze podróże w czasie" (KAW 1981). Sympatyczny pisarz, krytyk, znawca polskiej fantastyki przyjeżdżał kilkakrotnie do Polski zdobywając przyjaciół wśród naszych fanów i wydawców.

L. J.

Brian W. Aldiss

POZORY ŻYCIA

(Appearance of Life)

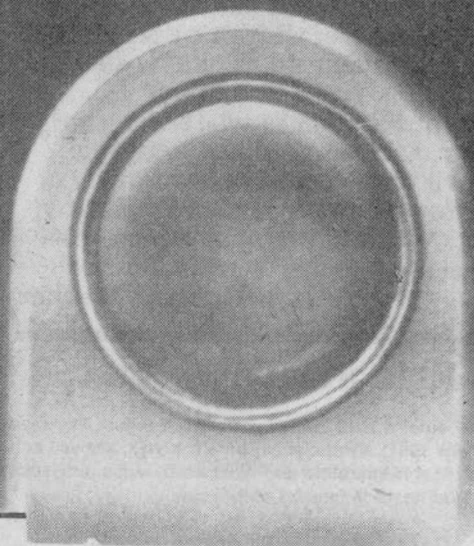
Coś ogromnego i coś bardzo małego: galaktyczne muzeum i przebrzmiała miłość. Jedno i drugie znalazło się w moim polu widzenia.

Muzeum jest gigantyczne. W promieniu tysiąca lat świetlnych od Ziemi niezliczone światy dźwigają na sobie niewyobrażalnie stare budowle o tajemniczym przeznaczeniu. Muzeum na Normie jest jedną z nich.

Przypuszczamy, że owo muzeum stworzył gatunek istot, które swego czasu uważały się za panów galaktyki. Byli to Korlewalowie. Widmo Korlewalów zadomowiło się w świadomości rodzaju ludzkiego na całej przestrzeni między układami gwiazdowymi. Czasem Korlewalowie przedstawiani są jako demony, które kryją się w jakiejś mrocznej mgławicy i czekają stosownej chwili, aby w odwecie za czelność opanowania ich terytorium spaść nagle na ludzkość i zetrzeć ją w proch. Czasem zaś jawią się jako bogowie, którzy na boski sposób przerażający i samotni wędrują wśród pustki przestworzy, a ich siła i mądrość wykraczają poza naszą zdolność pojmowania.

Obydwa przeciwstawne wyobrażenia o Korlewalach wypływają oczywiście z najgłębszych pokładów ludzkiego umysłu. W końcu i diabeł, i bóg są nadal naszymi nieodłącznymi towarzyszami.

W każdym razie Korlewalowie rzeczywiście istnieli i niektóre związane z nimi fakty są nam znane. Wiemy, że wkraczając w erę budowy galaktyk, zdążyli już zrezygnować ze słowa pisanego. Nazwa Korlewalów wywodzi się z jedynej, jaką dysponujemy, próbki ich alfabetu, a mianowicie z inskrypcji zdobiącej fasadę gmachu na Lakarii. Wiem też, że nie byli istotami ludzkimi.





Andrzej Brzezicki

Świadczą o tym nie tylko rozmiary ich budowli, ale i to, że zawsze wznosili je na planetach, na których warunki nie sprzyjają człowiekowi.

Nie wiemy natomiast, co ostatecznie stało się z Korlewalami. Z pewnością bardzo długo panowali i nikt nie zdołał ich pokonać – jedynie sam Czas.

Tam, gdzie nie staje wiedzy, wyobraźnia ma głos. Ludzie sądzą, że Korlewalowie popełnili coś w rodzaju zbiorowego samobójstwa. Lub może na skutek wewnętrznych podziałów unicestwili się wzajemnie gdzieś w przestrzeni poza Naszą Galaktyką, poza zasięgiem statków kosmicznych człowieka?

Spotykamy też bardziej metafizyczne domniemania co do losu Korlewalów. Niewykluczone, że powodowani wymogami ewolucji, wyzwolili się ze swej cielesności, a jeśli tak, kto wie, czy nie zamieszkują nadal swych prastarych budowli, tyle że niepostrzegalni dla człowieka. Inna, bardziej jeszcze niezwykła teoria kładzie nacisk na Rozum utożsamiany z Kosmosem, wysuwa bowiem przypuszczenie, że jeśli tylko gatunkiem zawładnie idea opanowania galaktyki, na pewno cel swój osiągnie, a tak właśnie stało się z ludzkością, która po prostu wyobraziła sobie, że jej znakomici przodkowie nie istnieją.

Cóż, teorii jest wiele, ja jednak zamierzałem opowiedzieć o muzeum na Normie.

Podobnie jak wszystko, także i Norma ma swoje tajemnice.

Muzeum wyznacza równik Normy. Owa budowla to jakby gigantyczny pas otaczający całą planetę, o długości około szesnastu tysięcy kilometrów. Co zastanawiające, szerokość pasa jest w różnych miejscach różna: raz wynosi dwanaście kilometrów, kiedy indziej dwadzieścia dwa.

A oto podstawowa zagadka dotycząca Normy: czy jej topografia nie zmieniła się od zarania dziejów, czy też może osobliwości Normy to robota Korlewalów? Budowla bowiem równo dzieli planetę na północną półkulę lądową i południową oceaniczną. Po jednej stronie rozciąga się nieskończona równina usiana kraterami, wśród których hulają wiatry i błękitnawy śnieg. Po przeciwnej stronie kłębi się groźny ocean amoniaku, którego nie znaczą żadne wyspy, zamieszkują natomiast ogniste ryby i inne przystosowane gatunki.

Na jednym z najszerszych odcinków budowli Korlewalów wznosi się dziwaczne skupisko gmachów. Kiedy przybywa tam ktoś z kosmosu, rad jest widokowi owego spiętrzenia. Po wylądowaniu statku kosmicznego wsiada czym prędzej do windy, wydostaje się na dach całej budowli i odczuwa prawdziwą radość, że pośrodku tego niezbadanego symetrycznego wszechświata, którego znaczącą część ukształtowali właśnie Korlewalowie, ludzkość wzniosła owo bałaganiarskie pied-à-terre.

Zatrzymałem się na chwilę obok statku, ogarniając wzrokiem bezmiar przestrzeni. Z chmury wyłaniało się wschodząc szkarłatne słońce i sprawiało, że cienie goniły po zda się nieskończonej równinie, na której stałem. Odległe morze huczało i zawodziło poza zasięgiem mojego wzroku. Miejsce było odludne, tyle że ja zdążyłem przywyknąć do samotności: na planecie, którą uważałem za swój dom, z trudem udawało mi się spotkać innego człowieka nawet w ciągu całego roku, chyba że przy okazji bytności w Centrum Rozwojowym.

Budowla wzniesiona na Normie przez człowieka góruje ponad jednym z ogromnych wejść do muzeum. W jej skład wchodzi hotel dla gości, rozmaite biurowce, urządzenia przeładunkowe oraz gigantyczne przekaźniki: ponieważ ściany muzeum nie przepuszczają widma elektromagnetycznego, wszelkie informacje z wnętrza budowli przekazywane są za pośrednictwem kabla przechodzącego przez wejście, po czym wysyła się je w podprzestrzeni do innych rejonów Galaktyki.

– Oczekujemy cię, Poszukiwaczu. Witaj w Muzeum Normy.

Słowa te wypowiedział android, który wpuścił mnie do śluzy powietrznej, a następnie zaprowadził do hotelu. Podobnie jak wszędzie, tak i tutaj wszelkie funkcje służby wypełniały androidy. W foyer zerknąłem na zegar z kalendarzem, po czym wzorem wszystkich podróżnych przybyłych na Normę puknąłem w mój naręczny komputer, ażeby się przekonać o aktualnym umiejscowieniu Ziemi w czasie.

Ukołysany łagodnie muzyką alfa, przespałem świetlne przesunięcie, a nazajutrz zjechałem do samego muzeum.

Muzeum prowadzone było przez dwudziestoosobową ekipę, wyłącznie żeńską. Pani Dyrektor udzieliła mi wszelkich wyjaśnień, które mogłyby być przydatne Poszukiwaczowi, pomogła wybrać pojazd do zwiedzania, po czym odeszła, a ja już sam miałem wjechać do obiektu.

Aczkolwiek zdołaliśmy opanować wiele sposobów otrzymywania metali jednocząsteczkowych, budowla Korlewalów na Normie wykonana została z metalu całkiem niepojętego. Na całej swej długości nie miała ani jednego złącza czy spoiny. Czy więcej, jakimś sposobem więziła w sobie czy też emanowała światło, tak że sztuczne oświetlenie nie było wewnątrz w ogóle potrzebne.

Poza tym była pusta. Na całej długości równika. To ludzkość, kiedy przejęła budowlę tysiąc lat temu, przekształciła ją w muzeum zapełniając powoli galaktycznymi rupieciami.

Siedziałem w pojeździe i posuwałem się naprzód, ale wbrew przewidywaniom wcale nie owładnęła mną myśl o nieskończoności. Przypuszczalnie dążność do nieskończoności tkwi w ludzkich umysłach od czasu, kiedy pierwsi nasi przodkowie zdołali zliczyć na palcach do dziesięciu. Zasiedlanie kosmosu jeszcze bardziej wzmogło tę tendencję. Szczęście, którego doświadczamy jako gatunek, datuje się od niedawna, od czasu osiągnięcia przez ludzkość swoistej dojrzałości; ono także sprzyja nastawieniu, aby wszelkie doraźne troski bagatelizować, skupiać się natomiast na celach odległych. Sądzę jednak – jest to oczywiście moje osobiste zdanie – że owa dążność do nieskończoności we wszystkich swych postaciach wywiera zgubny wpływ na bliskie stosunki między poszczególnymi jednostkami. Nawet kochamy tak, jak nasi planecie przypisani praszczurowie; w odróżnieniu od nich żyjemy całkiem osobno.

W lecie pewna własność światła niwelowała widome oznaki nieskończoności. Zdawałem sobie sprawę, że znajduję się wewnątrz gigantycznej, ograniczonej przestrzeni, ponieważ jednak światło uwalniało mnie od doznań klaustro- czy agorafobicznych, dam sobie spokój z opisywaniem owego bezmiaru.

Po upływie dziesięciu wieków ludzki dorobek zajął teren o powierzchni kilkunastu tysięcy hektarów. Androidy bezustannie rozmieszczały eksponaty. Zbiory znajdowały się pod stałą kontrolą elektronicznych kamer, toteż każdy mieszkaniec jakiejkolwiek cywilizowanej planety mógł poprzez podprzestrzeń, po skontaktowaniu się z muzeum, otrzymać w swoim pokoju trójwymiarowy obraz żądanego obiektu.

Kluczyłem wśród ekspozycji niemal całkiem zdając się na przypadek.

Ażeby zostać Poszukiwaczem, należało wykazać się cechami urodzonego odkrywcy. Przebywając jako dziecko w eksperymentalnej grupie do badania zachowań, objawiłem takie cechy i natychmiast skierowano mnie na specjalne szkolenie. Uczęszczałem na nadprogramowe kursy traktujące o filozofii, rytmach Alfa, pewnych aspektach tetrachotomii, synchronizacji apunktualnej, homoontogenezie i innych jeszcze zagadnieniach, co w rezultacie uprawniało do tytułu Poszukiwacza Pierwszej Kategorii. Innymi słowy, sprawdzałem, ile jest dwa plus dwa w sytuacjach, kiedy innym dodawanie nawet nie postało w głowie. Kojarzyłem. Z przypadkowych części tworzyłem całości.

W kosmosie wypełnionym rozlicznymi elementami mój fach był wprost bezcenny.

Przybyłem do muzeum z całym plikiem zamówień od różnorakich instytucji, uniwersytetów oraz osób prywatnych z całej Galaktyki. Każde z zamówień wymagało ode mnie owej szczególnej umiejętności – zdolności, wobec której holografia okazywała się bezsilna. Posłużę się przykładem. Akademia Audialna przy Uniwersytecie Paddin na planecie Rufadote pracowała nad hipotezą, że z upływem tysiącleci, stopniowo, ludzkie głosy generują

coraz mniej fonów, czyli innymi słowy stają się coraz cichsze. Każdy przyczynek do tej hipotezy, który udałoby mi się znaleźć w muzeum, byłby mile widziany. Akademia była w stanie obserwować całe muzeum za pomocą zdalnie sterowanej holografii, jednakże tylko zwiedzający, który jest fizycznie obecny, jak ja, zdolny jest uchwycić w zbiorach postać rzeczy; i jedynie dla Poszukiwacza zauważalne będą znaczące zestawienia.

Samochód obwoził mnie wolno po ekspozycji. Na terenie muzeum rozmieszczono w różnych punktach automaty żywieniowe, toteż w ogóle nie musiałem tej instytucji opuszczać. Spałem w moim pojeździe, dogodnie wyposażonym w koje.

Drugiego dnia, zanim jeszcze rozpocząłem poranną przejażdżkę, zagadałem leniwie do stojącej w pobliżu kobiety-androida.

– Lubi pani to porządkowanie eksponatów?

– Jeszcze nigdy się tym nie zmęczyłam. – Miło się do mnie uśmiechnęła.

– Panią to interesuje?

– Nieskończenie. Dążenie do ustalonego schematu to podstawowy instynkt.

– Czy zawsze pracuje pani w tym dziale?

– Nie. Ale to mój ulubiony dział. Jak pan zapewne zauważył, klasyfikujemy tutaj wygasłe choroby, a raczej choroby, które by wygasły, gdyby nie muzeum. Moim zdaniem te mikroorganizmy są po prostu piękne.

– Cały czas ma pani dużo pracy?

– Naturalnie. Co miesiąc napływają nowe eksponaty. Wszystkie, od największych do najmniejszych, da się tu umieścić. A może mogłabym coś panu pokazać?

– Nie w tej chwili. Ile czasu zajmie wypełnienie całego muzeum?

– Przy obecnej skali wpływów piętnaście i pół tysiącleci.

– Czy wchodziła pani kiedyś do pustej części muzeum?

– Zdarzyło mi się stanąć na skraju pustki. To zatrważające uczucie. Wolę być zajęta dziełami człowieka.

– I słusznie.

Odjechałem, rozmyślając o ograniczeniach w rozumowaniu androida. To ludzie narzucili przemyślnie owe ograniczenia – androidy nie były ich świadome. Dla androida jego wszechświat jest najwyraźniej nieskończony. Dzięki temu łatwiej mu osiągnąć szczęście, tak jak nam pomaga w tym nasz własny obraz wszechświata.

W miarę upływu dni napotkałem sporo zestawów i poszczególnych obiektów, które mogły być pomocne moim różnym klientom. Zanotowałem je wszystkie w naręcznym komputerze.

Piątego dnia zwiedzałem dokładnie dział poświęcony statkom kosmicznym i innym obiektom, które przetrwały od zarania galaktycznych podróży.

Wiele eksponatów wywołało we mnie pewną emocję – emocję, na którą składa się głównie nostedonia, radość wywołana powrotem do przeszłości. A to dlatego, że w niejednym z nich ujrzałem odbicie czasu, kiedy ludzkie życie było całkiem odmienne, być może mniej bezpieczne, a z pewnością mniej surowe.

Owa Pierwsza Era Galaktyczna – kiedy to mężczyźni, często w towarzystwie żon lub kochanek, by użyć archaicznych określeń na partnerki seksualne, w zupełnie prymitywnych maszynach wypuszczali się na duże odległości – stanowiła zaczątek czasów, w których rozluźnił się związek pary ludzkiej, a ludzkość wkroczyła w nowy etap na drodze ku dojrzałości.

Wszedłem do jednego z pierwszych statków kosmicznych, zbudowanego jeszcze przed odkryciem podprzestrzeni. Jego rozmiary były niewielkie. Schyliłem ramiona i krótkimi korytarzykami przedostałem się do czegoś, co było pomieszczeniem wypoczynkowym dla pięcioosobowej załogi. Metal, uszlachetniany przestarzałymi metodami, niewiele się różnił od drewna. Meble, przynajmniej tak jak ja je tam znalazłem, nie wyglądały na zaprojektowane dla ludzkich kształtów. Ówczesna moda miała na względzie jakąś zupełnie złudną funkcjonalność. Mimo wszystko w wyglądzie wnętrza przetrwały cechy według mnie bardzo człowiecze: wytrwałość, odwaga, nadzieja. Owych pięciu ludzi, którzy tu niegdyś mieszkali, było moimi pobratymcami.

Statek uległ zniszczeniu w próżni z powodu wady urządzenia wymiany powietrza; ówczesne metody nie uwzględniały wszczepiania tlenu do ciałek krwi, nie mówiąc o chirurgii genetycznej, która by uczyniła taką implantację dziedziczną. Całe wyposażenie i umeblowanie statku zachowane było w stanie sprzed wieków, od chwili gdy nastąpiła awaria.

Podczas przeglądania szafek z osobistymi rzeczami, natrafiłem na cienkie kółko z pradawnego metalu, złota. Po wewnętrznej stronie widniała mała inskrypcja, wykonana dosyć topornie pradawnym pismem. Położyłem sobie kółko na czubku kciuka i zastanawiałem się nad jego przeznaczeniem. Czyżby był to jakiś pierwotny środek antykoncepcyjny?

Na ramieniu miałem zainstalowane muzealne oko. Włączyłem je i zwróciłem się do oficjalnego katalogu o opisanie trzymanego przeze mnie obiektu.

Odpowiedź była natychmiastowa.

– Masz w ręku obrączkę wsuwaną na palec istoty ludzkiej w czasach, gdy przedstawiciele naszego gatunku charakteryzowali się mniejszą posturą niż obecnie – referował katalog. – Podobnie jak sam statek kosmiczny, obrączka datuje się z Pierwszej Ery Galaktycznej, choć przypuszcza się, że jest nieco starsza od statku. Wiek obrączki potwierdza naszą wiedzę o jej funkcji, w dużym stopniu symbolicznej. Noszono ją dla pokazania, że kobieta lub mężczyzna pozostaje w związku małżeńskim. Ta akurat obrączka mogła być własnością dziedziczoną. W owych czasach zakładano, że małżeństwo winno trwać aż do urodzenia się potomstwa, a może nawet do śmierci. Ludzka populacja była wtedy równo podzielona między osobniki męskie i żeńskie, co uderzająco kontrastuje z dziesięciokrotną przewagą kobiet w naszych gwiezdnych społeczeństwach. Stąd też idea wiązania się w pary na całe życie nie była wcale taka nielogiczna, jak to się może wydawać. W każdym razie obrączkę samą w sobie należy traktować jako niewinny przejaw nielogiczności, mający jedynie wyrażać niewolnicze podporządkowanie czy też zespolenie...

Rozłączyłem się.

Ślubna obrączka... Była przejawem komunikowania się za pomocą symboli. I w tym sensie mogła mieć znaczenie dla pewnego profesora zajmującego się przeobrażeniami w sferze awerbalnej, a korzystającego z moich usług.

Ślubna obrączka... Zamknięty krąg miłości i myśli.

Zastanawiałem się, czy ów konkretny związek małżeński zakończył się dla obojga partnerów na tym właśnie statku kosmicznym. Żaden z zachowanych rekwizytów nie dawał mi odpowiedzi. Znalazłem jednak jednowymiarowe zdjęcie w plastikowych ramkach, które przedstawiało mężczyznę z kobietą gdzieś na wolnym powietrzu. Uśmiechali się do rejestrującego ich urządzenia. Mieli płaskie oczy, co zdradzało nie wykorzystane jeszcze zasoby mózgowe, ale nie wyglądali pociągająco. Zauważyłem, że stali przysunięci do siebie o wiele bardziej, niż nam by to w ogóle przyszło do głowy.

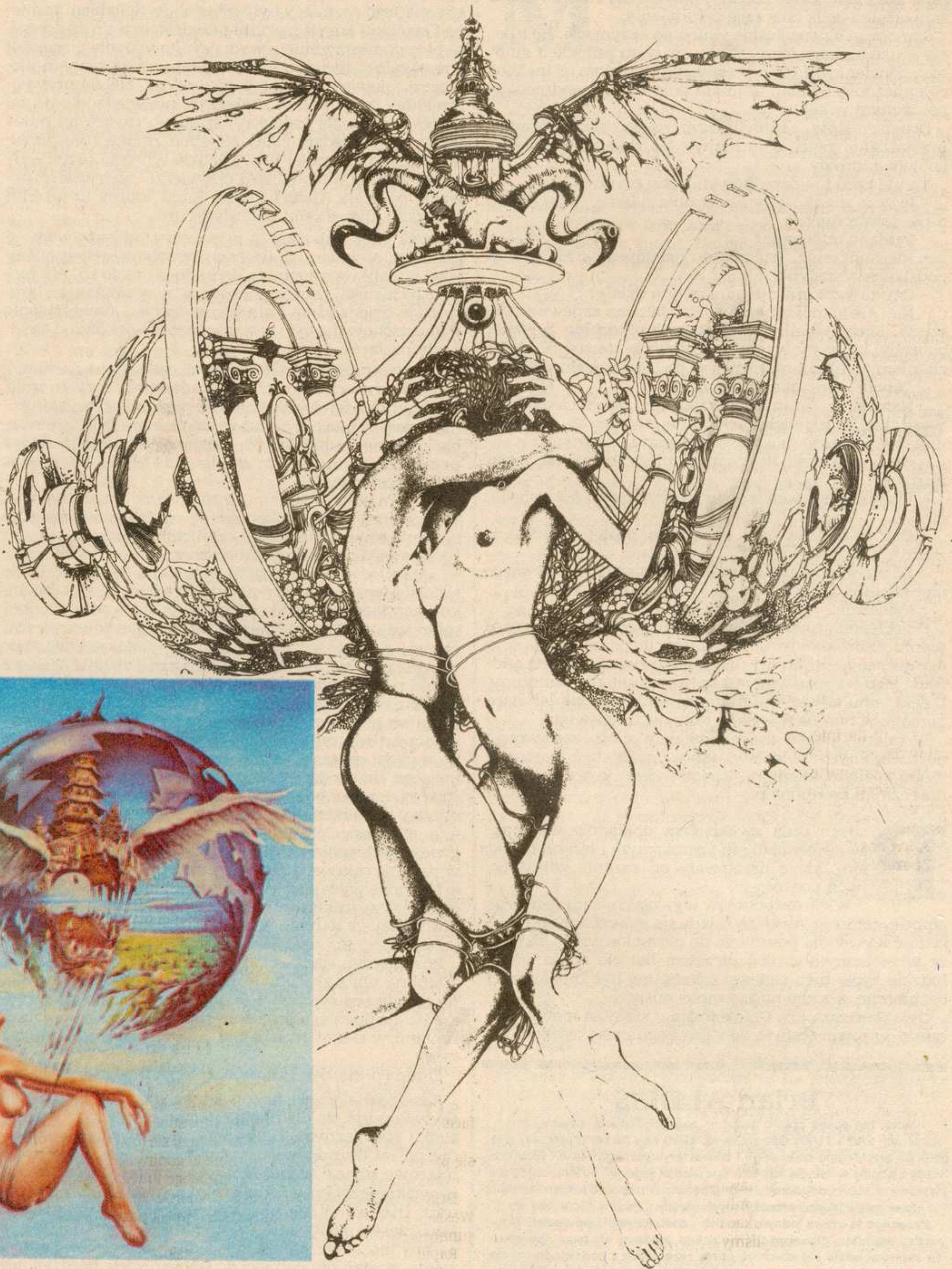
Czyżby miało to coś wspólnego z ograniczonymi możliwościami fotografującego aparatu? A może tymczasem zaszły zmiany w społecznym rozumieniu pojęcia bliskości? Czy to zagadnienie nie ma przypadkiem związku z emisją decybeli poprzez ludzki głos, co mogłoby zainteresować moich klientów z Akademii Audialnej? Niewy-

Brian ALDISS

Autor ten dosyć często gości na naszych łamach, ostatnio w numerach 3/87 i 11/87. Opowiadanie, które tym razem drukujemy jest dobrym przykładem ciekawego i charakterystycznego dla SF zjawiska: kiedy czytamy antologię lub tom opowiadań jednego autora, nigdy nie jesteśmy w stanie odgadnąć, które zostaną w pamięci, a które zagubią się w masie innych przeczytanych rzeczy. „Pozory życia" są dla piszącego te słowa jednym z takich „zostających" opowiadań. Nie bardzo wiadomo, dlaczego tak się dzieje, możemy się tylko domyślać, że autorowi udało się stworzyć obraz rezonujący z podświadomością czytelnika. Czy chodzi o poczucie bezmiaru czasu, który przyjdzie po nas? SF odkryła, że jest to bardziej szokujące niż poczucie czasu, który już przeminął. Może działa tu świadomość, że jesteśmy na wierzchu, mamy więc przewagę nad tymi wszystkimi Cezarami, Napoleonami i Stalinami? Może siłę opowiadania stanowi pomysł Muzeum Świata? A może bardzo aldissowski temat o niemożności kontaktu między dwoma gatunkami istot rozumnych zamieszkujących kosmos – mężczyznami i kobietami?

L.J.

Siudmak •004•



kluczone, że u nas narząd słuchu jest nieco bardziej wyrafinowany niż u naszych przodków, gdy musieli tłoczyć się na jednej planecie pod dużym ciśnieniem atmosferycznym. Te szczegółowe sprawy odłożyłem do dalszego rozpatrzenia.

Jedna ze współ-Poszukiwaczek wyznała mi kiedyś żartem, że tajemnica wszechświata ukryta jest pod kluczem w muzeum i tylko ode mnie zależy, czy potrafię ją odnaleźć.

– Rzecz okaże się bardziej realna, gdy urządzanie muzeum zostanie skończone – odparłem.

– Ależ skąd – zaprzeczyła. – Wówczas tajemnica zagrzebana będzie już zbyt głęboko. Po prostu do tego czasu zdążymy przenieść cały otaczający nas wszechświat do wnętrza budowli Korlewalów. Albo odnajdziesz to teraz, albo już nigdy.

– W każdym razie pomysł, że w ogóle może być coś takiego, jak tajemnica wszechświata, czy też klucz do jego poznania, jest wytworem ludzkiego umysłu.

– Lub też umysłu, który ten ludzki umysł stworzył – zakończyła.

Tej nocy spałem w dziale poświęconym wczesnym wyprawom galaktycznym i następnego, szóstego już dnia, podjąłem tam dalsze poszukiwania.

Odczuwałem dziwne podniecenie, które było jakby poza i ponad nostedonią, nie chodziło też bynajmniej o zwykłe zainteresowanie starociami. Zmysły miałem wyostrzone.

Wjechałem pomiędzy dwadzieścia ogromnych statków, które pochodziły z Drugiej Ery Galaktycznej. Najdłuższy z nich miał ponad pięć kilometrów i swego czasu zamieszkiwały w nim dziesiątki kobiet i mężczyzn. Była to era, kiedy nasz gatunek usiłował powołać w przestrzeni kosmicznej całe imperia i poprzez całe lata świetlne przetransportować prymitywne obsesje o narodowym czy terytorialnym charakterze. Fakty wynikające z teorii względności z punktu skazywały tego typu usiłowania na niepowodzenie: wobec bezmiaru czasoprzestrzeni zarzucono je jako niepoważne. I nie jest paradoksem stwierdzenie, że wśród międzygwiezdnych tras ludzkość o wiele lepiej zgłębiła swoją własną naturę.

Co prawda nie wchodziłem do środka tych behemotów, ale jakiś czas kręciłem się między nimi i mogłem się przekonać, w jak brutalny sposób uwidoczniły się w metalu technologie militarystyczne. Podobny brak umiaru już nigdy więcej nie miał miejsca.

Z tyłu za behemotami androidy ustawiały nowe eksponaty. Obiekty muzealne przesuwały się w umieszczonych wysoko transporterach, przewożone bezszelestnie od wejścia do muzeum aż do miejsca przeznaczenia, gdzie opuszczano je na ziemię. Zbliżyłem się do rejonu rozładunku nowej partii obiektów, po czym przeszedłem wzdłuż szeregu półek.

Leżały na nich rzeczy znalezione w kolonialnych domach lub statkach z owych poniekąd imperialnych czasów. Zdumiewała mnie ta kolekcja. Przedmioty mnożyły się wtedy na podobieństwo ludzi. W epoce niedojrzałości gatunku zmysł posiadania był dominujący. Ci dawno już nie żyjący ludzie najwyraźniej myśleli prawie wyłącznie o posiadaniu, w tej czy innej formie; jednakże, podobni androidom w analogicznych warunkach, nie byli w stanie dostrzec ograniczeń, jakie narzucał im ich własny charakter cywilizacyjny.

W całej tej rupieciarni przyciągnął moje oko niczym nie wyróżniający się sześcian. Boki miał gładkie i posrebrzane. Wziąłem go do ręki i odwróciłem. Na jednej ze ścianek widniało niewielkie wgłębienie. Dotknąłem go palcem.

Powoli wszystkie ścianki zrobiły się przezroczyste, a wewnątrz ukazała się trójwymiarowa głowa młodej kobiety. Głowa odwrócona była do góry nogami. Oczy patrzyły na mnie.

– Ty nie jesteś Chrisem Mailerem – odezwała się. – Ja rozmawiam tylko z mężem. Rozłącz się i odwróć mnie jak trzeba.

– Twój mąż umarł sześćdziesiąt pięć tysięcy lat temu – odpowiedziałem. Odłożyłem jednak sześcian na półkę, poruszony trochę faktem, że przemówił do mnie wizerunek z odległej przeszłości. Wrażenie było tym większe, że zawierał w sobie poblask tamtego świata.

Zwróciłem się do muzealnego katalogu o informacje na temat obiektu.

– Według ówczesnego żargonu jest to tak zwany holocon – wyjaśnił katalog. – Hologramowy obraz autentycznej kobiety, przy czym kopia jej mózgu umieszczona jest na prasowanym rdzeniu ze stopu germanowego. Holocon generuje pozorne życie. Czy mam podać szczegóły techniczne?

– Nie. Chciałbym znać jego pochodzenie.

– Zabrano go z niewielkiego, uzbrojonego statku kosmicznego, z rakiety zwiadowczej, którą zbudowano w roku dwieście pierwszym Drugiej Ery. Jednostkę częściowo zniszczyła bomba z planety Skandra. Wszyscy na pokładzie zginęli, ale statek wszedł na orbitę wokół Skandry. Czy podać szczegóły dotyczące przebiegu starcia?

– Nie. Czy wiadomo, kim jest owa kobieta?

– Zawartość półek to świeże nabytki, dopiero co skatalogowane. Dalsze eksponaty związane ze Skandrą wciąż napływają. Być może w późniejszym terminie otrzymamy więcej danych. Sam sześcian nie jest jeszcze dokładnie zbadany. Został tak uczulony, żeby reagować jedynie na emisję fal mózgowych męża kobiety. Holocony tego typu cieszyły się popularnością wśród kobiet i mężczyzn z Drugiej Ery, którzy uczestniczyli w lotach międzygwiezdnych. W dowolnym punkcie kosmosu stanowiły ożywione pamiątki po towarzyszach życia. Celem uzyskania dalszych informacji możesz...

– Wystarczy.

Posuwałem się do przodu, ale coraz wyraźniej odczuwałem brak zainteresowania dla otaczających mnie obiektów. Kiedy trafiłem na miejsce następnego rozładunku, zatrzymałem pojazd.

Platformy nośne opuszczały się z dachu, a niestrudzone androidy rozładowywały je i w stojących obok skrzyniach rozmieszczały półprzezroczyście opakowane towary. Większe sztuki przenosił dźwig.

– Czy ten materiał pochodzi ze Skandry? – zapytałem katalogu.

– Zgadza się. Może chcesz poznać historię planety?

– To, zdaje się, planeta rolnicza?

– Tak. Wyłącznie rolnicza i obsługiwana wyłącznie przez automaty. Ludzie nie schodzą tam na powierzchnię. Pierwotnie prawo do planety rościły sobie komunistyczne Indie i osadnicy byli głównie, choć nie tylko, pochodzenia hinduskiego. Doszło do wojny z pobliskimi planetami Unii Panslawistycznej. Czy jesteś obeznany z tym nacjonalistycznym nazewnictwem?

– A ta idiotyczna wojna jak się zakończyła?

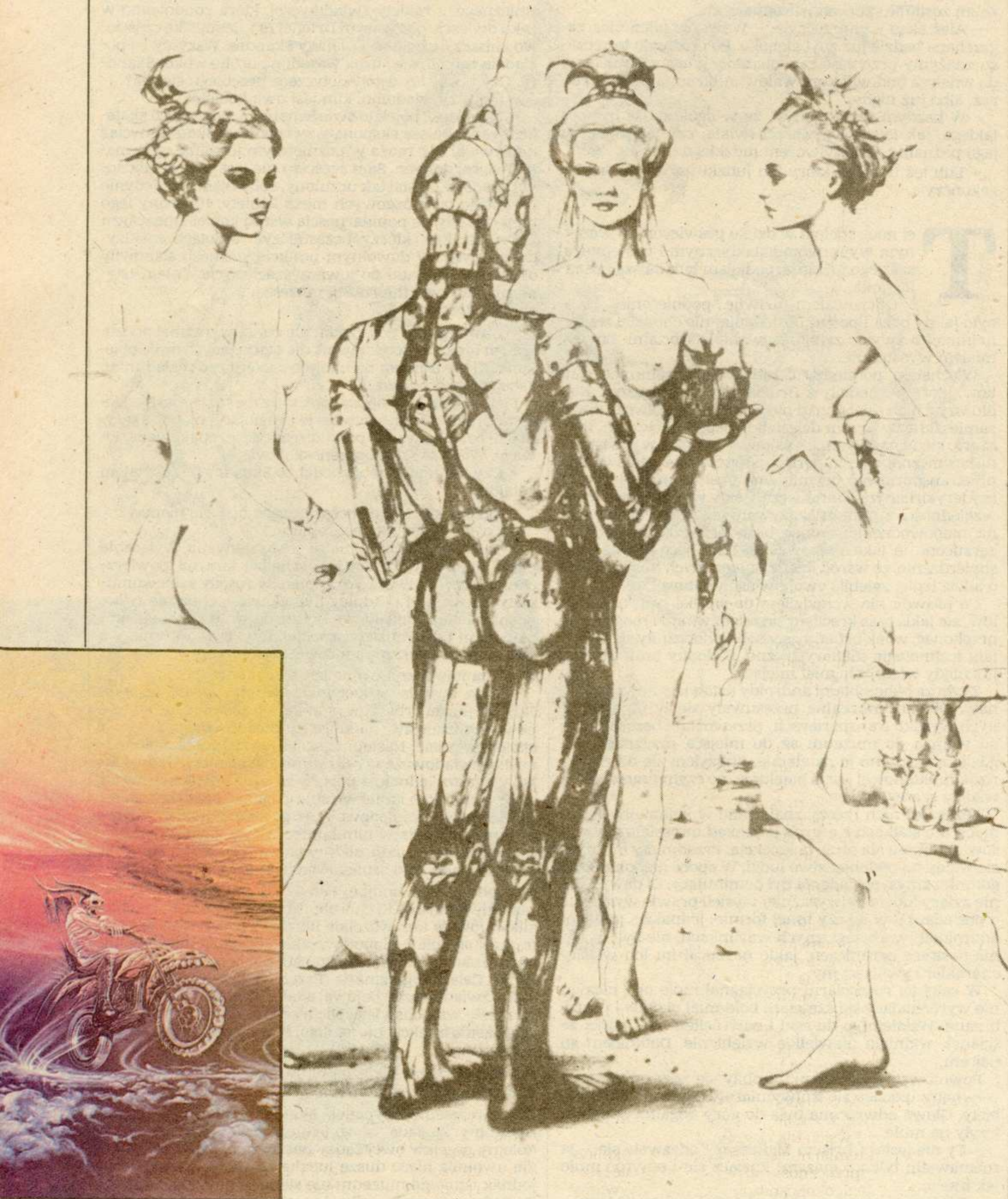
– Unia wysłała w kierunku Skandry statek bojowy. Gdy był już na orbicie, wysunięto z jego pokładu żądanie pewnych ustępstw, na które Hindusi nie mogli albo nie chcieli przystać. Następnie statek wysłał na planetę jednostkę zwiadowczą w celu wynegocjowania układu. Układ zawarto, jednakże pojazd, gdy już powtórnie wzbił się w przestrzeń i miał właśnie osiągnąć wnętrze rakiety macierzystej, eksplodował. Grupa skandryjskich ekstremistów podłożyła w nim bombę. Wczoraj oglądałeś element ocalony z jednostki zwiadowczej, dziś natomiast przejeżdżałeś koło samego statku bojowego.

W odwecie za bombę, Panslawiści opylili planetę zarazkami Pantraxu K, choroby, która w przeciągu tygodni zlikwidowała tam wszelkie ludzkie życie. Laseczka Pantraxu K słynęła z kłopotów, jakie sprawiało utrzymanie jej w izolacji, nic więc dziwnego, że statek też uległ skażeniu. Cała załoga zmarła. Przez wiele wieków obie rakiety: zwiadowcza i bojowa, a także planeta, odcięte były od reszty wszechświata. Nie trzeba dodawać, że obecnie zagrożenie infekcją nie istnieje. Powzięto wszelkie środki ostrożności.

Pod wpływem zwięzłej opowieści katalogu pogrążyłem się w rozmyślaniach.

Rozważałem przypadek Skandry, dziś już zupełnie nieistotny. Zagłada całego jednego świata pełnego ludzi, kolejny przejaw owej żądzy posiadania, która jak na razie uwolniła nieco duszę ludzką ze swego uścisku. Czy jednak istnienie muzeum nie stanowi dowodu, że ślady tej żądzy pozostały, tylko że teraz przedstawia się ją uczenie jako chęć zawładnięcia nie tyle przedmiotami, co globalną przeszłością rodzaju ludzkiego, a nawet tym, co moja znajoma nazwała żartobliwie tajemnicą wszechświata? Powiedziałem sobie wówczas, że w sferze psy-

Siudmak •004•



chiki przyczyna i skutek funkcjonują na dosyć swobodnych zasadach, że żądza posiadania sama mogła stworzyć poszukiwaną tajemnicę, wszak nie ma polowania bez ustalonej zdobyczy. A jeśli już się ją odkryje? Wówczas cały kompleks ludzkich spraw może ulec rozwikłaniu w glorii jednego wielkiego uproszczenia, aż poziom motywacji obniży się do tego stopnia, że życie utraci swój sens, a w konsekwencji gatunek nasz, po wypełnieniu wszystkich zadań, obumrze i zginie. Podobny los mógł spotkać niezwyciężonych Korlewalów.

Nie jesteśmy w stanie określić, do jakiego stopnia nieorganiczne i organiczne elementy wszechświata stanowią jedność, nim ostateczna śmierć cieplna dokona zrównania. Można jednak przypuścić, że służą sobie wzajemnie, aczkolwiek z zachowaniem właściwej hierarchii. Dzięki wiedzy, dzięki zawładnięciu ową tajemnicą, z której żartowała moja znajoma, systemy organiczne obdarzone inteligencją mogą tworzyć jedność z otaczającym je wszechświatem. Owo zjednoczenie to przejaw osiągnięcia jakiegoś szczytu, pełni rozkwitu. A poza nim jest już tylko schyłek – metafizyczne odbicie drugiej zasady termodynamiki!

Przerwałem ten tok rozumowania i natychmiast zdałem sobie sprawę z dwóch rzeczy: po pierwsze, że jako Poszukiwacz zdecydowanie wkroczyłem w etap zapowiadający jakieś odkrycie, a po drugie, że właśnie mam odebrać z rąk androida przedmiot, który ten wyładowywał z platformy nośnej.

Kiedy wyjąłem go z przezroczystego opakowania, katalog objaśnił:

– Obiekt, który trzymasz, został sprowadzony ze stolicy Skandry. Znaleziono go w mieszkaniu pary małżeńskiej, Jean i Lana Gopalów. Pozostałe przedmioty pochodzą z tego samego źródła. Prosimy o odłożenie obiektu na to samo miejsce, w przeciwnym razie nasi pracownicy stracą rozeznanie.

Był to holocon podobny do tego, który oglądałem poprzedniego dnia. Może trochę wymyślniejszy. Obudowę miał bardziej wyszukaną, a przycisk tak dobrze ukryty, że natknąłem się na niego niemal przez przypadek. Co więcej, sześcian rozjarzył się od razu, tym bardziej uderzające było złudzenie, że trzymam w rękach ludzką głowę.

– Ten holocon przeznaczony jest wyłącznie dla mojej byłej żony, Jean Gopal. Z tobą nie mam nic wspólnego. Proszę się rozłączyć i uprzejmie zwrócić mnie Jean. Mówi Chris Mailer.

Wizerunek zniknął. W rękach trzymałem jedynie sześcian.

W głowie zaroiło mi się od pytań.

Sześćdziesiąt pięć tysięcy lat temu...

Ponownie nacisnąłem wyłącznik. Tamten patrzył mi prosto w oczy i mówił niezmiennym tonem:

– Ten holocon przeznaczony jest wyłącznie dla mojej byłej żony, Jean Gopal. Z tobą nie mam nic wspólnego. Proszę się rozłączyć i uprzejmie zwrócić mnie Jean. Mówi Chris Mailer.

To niewątpliwie wszystko, co pozostało z Chrisa Mailera. Jego twarz robiła ogromne wrażenie. Miał wyraziste rysy: wysokie czoło, długi nos, mocną szczękę. Szare oczy były szeroko rozstawione, usta pełne, ale mocne. Nosił zgrabną brązową bródkę, tu i ówdzie przetykaną siwizną. Włosy na skroniach także miały siwe pasma. Twarz pozbawiona była zmarszczek i na ogół prezentowała się dziarsko, choć miała w sobie coś melancholijnego. Wskrzesiłem Mailera z elektronicznych otchłani i zmusiłem, żeby jeszcze raz pojawił się w urządzeniu.

– Skomunikuję się teraz z byłą żoną – powiedziałem.

Kiedy załadowałem holocon do pojazdu i jechałem z powrotem na miejsce upatrzone poprzedniego dnia, zdawałem sobie sprawę, że moje poparte treningiem zdolności sprzyjają mi i wskazują drogę.

W tym przypadku miał miejsce zarówno zbieg okoliczności, jak i pewna sprzeczność – chyba że tak mi się tylko zdawało, bo i zbiegi okoliczności, i to, co nazywamy sprzecznościami, są bardziej domniemane niż rzeczywiste. W końcu nic aż tak dziwnego, że jednego dnia natknąłem się na holocon żony, a nazajutrz na ten należący do męża. Oba rozładowywane w tym samym rejonie planetarnym, oba dostarczono do muzeum w ramach jednego przedsięwzięcia. Sprzeczność natomiast była bardziej interesująca. Kobieta mówiła, że rozmawia wyłącznie ze swoim mężem, a mężczyzna, że tylko z byłą żoną. Czyżby wchodziła w grę jeszcze inna osoba płci żeńskiej?

Przypomniałem sobie, że kobieta, Jean, sprawiała wrażenie młodej, podczas gdy mężczyzna, Mailer, nie był już pierwszej młodości. Kobieta znajdowała się na planecie, na Skandrze, Mailer zaś w statku zwiadowczym. W tamtej wojnie, która w rezultacie wszystkim przyniosła śmierć, stali po przeciwnych stronach barykady.

Okazało się, że po sześciuset pięćdziesięciu wiekach nie sposób wyjaśnić, jak doszło do takiej sytuacji. Jednakże dopóki submolekularna struktura komórek holoconu zawierała energię, istniała szansa, że uda się zrekonstruować ów błahy wycinek przeszłości.

Nie znaczy to wcale, że wiedziałem, czy holocony zdołają ze sobą rozmawiać.

Ustawiłem oba sześciany na tej samej półce, w odległości jednego metra. Włączyłem przyciski.

Odrodziły się wizerunki dwóch głów. Spoglądały wokół jak żywe. Pierwszy odezwał się Mailer, bacznie wpatrując się ponad półką w głowę kobiety.

– Jean, kochanie, to ja, Chris, mówię do ciebie po całym tym długim czasie. Nawet nie wiem, czy powinienem, ale po prostu muszę. Poznajesz mnie?

Pomimo że wizerunek Jean przedstawiał kobietę o wiele młodszą od Mailera, miał jednak mniejszą jaskrawość i większą ziarnistość, spowodowane pośledniejszą jakością hologramu.

– Chris, to ja, twoja żona, twoja mała Jean. A to dla ciebie, gdziekolwiek jesteś. Wiem, że mamy ze sobą kłopoty, ale... Kiedy byliśmy razem, Chris, nigdy nie potrafiłam ci tego powiedzieć, ale ja naprawdę lubię nasze małżeństwo... jest dla mnie strasznie ważne i chcę, żeby trwało nadal. Całuję cię, niezależnie od tego gdzie jesteś. Dużo o tobie rozmyślałam. Mówiłeś... zresztą sam wiesz, co mówiłeś, ale mam nadzieję, że jeszcze ci na mnie zależy. Pragnę, żeby tak było, bo mnie na tobie bardzo zależy.

– Jean, kochanie, minęło już kilkanaście lat, odkąd się rozstaliśmy – odrzekł Mailer. – Zdaję sobie sprawę, że w końcu zburzyłem nasze małżeństwo, ale byłem młody i głupi. Nawet wtedy coś mnie w środku ostrzegało, że popełniam błąd. Udawałem, że jestem przekonany o braku uczucia z twojej strony. Ale tobie przez cały czas na mnie zależało, prawda?

– Nie dość, że mi zależy, to w przyszłości spróbuję okazywać ci więcej głębszych uczuć. Chyba teraz lepiej cię rozumiem. Wiem, że w kilku sprawach bardziej mogłam wyjść naprzeciw twoim oczekiwaniom.

Stałem zafascynowany i zmieszany tym dialogiem, pełnym przeróżnych niedomówień, których ja nie byłem w stanie zrozumieć. Przysłuchiwałem się rozmowie istot prymitywnych. Wizerunek twarzy kobiety miał w sobie pewną żywość, a nawet, jeśli pominąć płaskie oczy i nadmierne owłosienie, można by uznać, że Jean była ładna – z tymi zmysłowymi ustami i wielkimi oczyma. Ale pomyśleć, że było dla mnie oczywiste, iż może mieć mężczyznę na własność, i że on funkcjonował wedle tych samych zasad! Podczas gdy Mailer wysławiał się wolno i z namysłem, choć płynnie, Jean mówiła pośpiesznie, kręcąc przy tym głową, zacinała się i sama sobie przerywała.

Teraz mówił Mailer:

– Nie wiesz, co to znaczy żyć z uczuciem żalu. Przynajmniej, kochanie, mam nadzieję, że nie wiesz. W odróżnieniu ode mnie nigdy nie rozumiałaś, co to jest żal i różne jego przejawy. Pamiętam, jak kiedyś, tuż przed naszym zerwaniem, powiedziałem, że jesteś powierzchowna. A to dlatego, że wystarczyło ci życie w teraźniejszości, przeszłość czy przyszłość nie miały dla ciebie żadnego znaczenia. Swego czasu było to dla mnie nie do pojęcia, po prostu z tego powodu, że zawsze żyłem i przeszłością, i przyszłością. Nigdy nie wracałaś do rzeczy, które minęły ani tych szczęśliwych, ani smutnych, a ja nie mogłem tego ścierpieć. Że też taki drobiazg stanął na drodze naszej miłości! Poza tym ten romans z Gopalem. Czułem się zraniony i wybacz, ale to, że on był czarny rozjątrzyło jeszcze ranę. Jednakże nawet w tej sytuacji powinienem był wziąć na siebie większą część winy. Jean, byłem wtedy o wiele bardziej zarozumiały niż teraz.

– Jak wiesz, nie jestem zbyt dobra w roztrząsaniu tego, co było – powiedziała. – Żyję każdym nadchodzącym dniem. A to uwikłanie się z Lanem Gopalem... cóż, przyznaję, że mi się podobał... sam wiesz, że łaził za mną, a ja nie potrafiłam się oprzeć... właściwie nie winię Lana... Był bardzo kochany, ale chcę, żebyś wiedział, że teraz to już skończone, naprawdę skończone. Znowu jestem szczęśliwa. Należymy tylko do siebie.

– Ciągle mam uczucie, Jean, że z mojej strony zawsze tak było. To już chyba dziesięć lat, odkąd poślubiłaś Gopala. Kto wie, czy o mnie nie zapomniałaś, kto wie, czy ten holocon w ogóle cię ucieszy?

Kiedy tam stałem, nie mogąc zaprzestać słuchania, dwa wizerunki wpatrywały się w siebie i rozmawiały, choć się nie porozumiewały.

– Różnie myślimy, to znaczy w różny sposób – powiedziała Jean, opuszczając wzrok. – Sam lepiej to wyjaśnisz... zawsze miałaś intelektualne zacięcie. Wiem, że mną pogardzasz, bo nie jestem inteligentna, czy nie mam racji? Nieraz mówiłeś, że łączy nas komunikacja pozawerbalna... Nie bardzo wiem, co powiedzieć. Poza tym, że było mi smutno, kiedy widziałam, jak wyruszasz na następną wyprawę i jedziesz obrażony i wściekły, i bardzo chciałam... ach, jak widzisz, twoja biedna żona usiłuje skompensować swoje niedostatki i przesyła ci ten holocon. Chris, najdroższy, dołączam ucałowania i mam nadzieję, że... no, wszystko... że wrócisz do mnie na Ziemię i że sprawy między nami ułożą się tak jak dawniej. Należymy do siebie, a ja wcale nie zapomniałam.

Mówiąc to, była coraz bardziej podniecona.

– Wiem, Jean, że wcale nie chcesz, żebym wrócił – odezwał się Mailer. – Nie można cofnąć czasu. Ale kiedy nadarzyła się okazja, musiałem się z tobą porozumieć. Podarowałaś mi holocon piętnaście lat temu i od tej pory mam go przy sobie podczas wypraw. Już po rozwodzie zaciągnąłem się do floty najemników kosmicznych. Walczymy teraz po stronie Panslawistów. Dowiedziałem się właśnie, że lecimy na Skandrę, choć pobudki nie są najszlachetniejsze. Tak więc zamówiłem ten holocon i wierzę, że będzie okazja, aby ci go dostarczyć. A moja wiadomość jest doprawdy prosta: jeśli uważasz, że jest coś do przebaczenia, to ci przebaczam. Minęło tyle lat, a ty, Jean, ciągle jesteś mi bardzo droga, choć ja znaczę dla ciebie mniej niż nic.

– Chris, to ja, twoja żona, twoja mała Jean. A to dla ciebie, gdziekolwiek jesteś. Wiem, że mamy ze sobą kłopoty, ale... Kiedy byliśmy razem, Chris, nigdy nie potrafiłam ci tego powiedzieć, ale ja naprawdę lubię nasze małżeństwo... jest dla mnie strasznie ważne i chcę, żeby trwało nadal.

– Przedziwne, że przybywam jako wróg na planetę, którą przypuszczalnie od czasu, kiedy wyszłaś za Gopala, uważasz za ojczystą. Zawsze wiedziałem, że ten pętak nie wróży nic dobrego wślizgując się pomiędzy nas. Powiedz mi, że jak długo opiekuje się tobą, bez względu na to, co robi poza tym, nie żywię do niego urazy.

Wtedy ona rzekła:

– Całuję cię, niezależnie od tego, gdzie jesteś. Dużo o tobie rozmyślam...

– Mam nadzieję, że dzięki niemu w ogóle o mnie zapomniałaś. Należy mi się to od niego. Ty i ja byliśmy kiedyś dla siebie wszystkim i już nigdy potem życie nie było dla mnie tak szczęśliwe, chociażbym nie wiem co udawał przed ludźmi.

– Mówiłeś... zresztą sam wiesz, co mówiłeś, ale mam nadzieję, że jeszcze ci na mnie zależy. pragnę, żeby tak było, bo mnie na tobie bardzo zależy... Nie dość, że mi zależy, to w przyszłości spróbuję okazywać ci więcej głębszych uczuć. Chyba teraz lepiej cię rozumiem.

– Jean, kochanie, to ja, Chris, mówię do ciebie po całym tym długim czasie. Nawet nie wiem, czy powinienem, ale po prostu muszę.

Odwróciłem się. Nareszcie zrozumiałem. To tylko owe niepojęte rzeczy, o których mówiły wizerunki, tak długo skrywały przede mną prawdę.

Obrazy mogły ze sobą rozmawiać dzięki temu, że przerwa w wypowiedzi jednego wyzwalała kolejną kwestię drugiego. Jednakże to, co miały do powiedzenia, zostało zaprogramowane jeszcze przed ich spotkaniem. Każdy dostał rolę do odegrania i nie był w stanie wyjść poza nią ani o krok. Niezależnie od wypowiedzi drugiego wizerunku, oba ograniczone były do tego, co zostało z góry ustalone. Kobiecie, która miała mniej do powiedzenia od mężczyzny, szybciej wyczerpał się zasób tekstu i po prostu zaczęła swoją paplaninę od początku.

Holocon Jean powstał jakieś pietnaście lat przed holoconem Mailera. Ona mówiła z czasu, gdy byli jeszcze małżeństwem, on natomiast w ileś lat po rozwodzie. Każdy wizerunek wypowiadał się w oderwaniu od drugiego – nigdy nie było między nimi dialogu...

Te banalne wnioski przeleciały mi przez myśl i znikły.

Zajęły mnie ważniejsze problemy.

Wraz ze swą krzątaniną wokół posiadania odszedł człowiek Drugiej Ery.

Przeminęli także boscy Korlewalowie. Przynajmniej tak nam się zdaje. Otaczają nas ich wytwory, po samych jednak Korlewalach nic nie zostało.

Tak jak nam niedostępny jest nawet ślad po nich, ja nie istniałem dla Jean i Mailera, choć w pewien sposób na mnie reagowali.

Jako Poszukiwacz Pierwszej Kategorii wykonałem swoje zadanie z nawiązką. Uzyskałem ostateczną całość większą od poszczególnych części razem wziętych. Odnalazłem to, co moja wesoła znajoma nazwała tajemnicą wszechświata.

Podobnie jak wizerunki, które oglądałem, galaktyczny rodzaj ludzki był zaledwie projekcją. To Korlewalowie nas stworzyli – nie jako oryginalne stworzenia obdarzone wolną wolą, lecz jako swego rodzaju reprodukcję.

Nigdy nie da się tego dowieść, to sprawa wyłącznie intuicji. A ja nauczyłem się mojej intuicji zawierzać. Tak jak owe uwięzione wizerunki, rodzaj ludzki słabnie stopniowo, coraz gorzej słysząc zaprogramowane odpowiedzi. Tak jak oni, dryfujemy wszyscy w coraz większym oderwaniu od siebie, tracąc wyrazistość. Tak jak oni jesteśmy przeklęci aż do źródła, ponad gruzami przeszłości, ponieważ kopiom nie jest dana twórcza przyszłość.

Oto było moje gigantyczne uproszczenie, moje zjednanie z otaczającym wszechświatem! Rozkwit poprzedzający upadek.

Ależ nie, moja idea jest bezsensowna! Coś mnie opętało! Wnioskowanie pozbawione było jakichkolwiek podstaw. Wiem, że nie ma ostatecznej tajemnicy wszechświata; w każdym razie, jeśli przyjmiemy, że ludzkość to tylko wytwór Korlewalów, kto w tej sytuacji „wytworzył" ich samych? Pierwotne pytanie zaledwie cofnęło się o jeden stopień.

Każdy jednak poziom istnienia posiada klucz do swej zasadniczej zagadki. Owe klucze pozwalają różnym postaciom życia albo wznieść się na skali egzystencji, albo znaleźć się w położeniu bez wyjścia – rozkwitnąć lub ulec zagładzie.

Ja odnalazłem klucz, który przywiódłby rodzaj ludzki do uwiądu i śmierci. Bo wszechświat nie jest ludziom dany, jedynie drobny jego wycinek.

Opuściłem muzeum. Na pokładzie mojego statku odleciałem z Normy. Nie udałem się w drogę powrotną do rodzimego świata. Zamiast tego wyruszyłem na odludną planetę, na której zamierzam doczekać końca moich dni, z nikim się nie komunikując. Niech sądzą, że spotkało mnie jakieś osobiste nieszczęście, a nie że wpadłem na trop powszechnej katastrofy. Gdybym się tym z kimś podzielił, poczucie rozkładu, które tkwi we mnie, mogłoby się rozprzestrzenić.

I to nieodwołalnie.

Byłem do tego stopnia zdruzgotany psychicznie, że dopiero kiedy dotarłem do tej jałowej ziemi, przypomniałem sobie, czego zaniedbałem w muzeum. Zapomniałem wyłączyć holocony.

Mogą tam tak stać i ciągnąć swoją nie kończącą się rozmowę, dopóki nie wyczerpie się energia. Dopiero wówczas dwie gadające głowy zapadną w błogosławioną nicość i przestaną istnieć.

Ucichną dźwięki, zgasną obrazy, pozostanie cisza.

Przełożyła
Katarzyna Heidrich-Żurkowska

Wilcza Klątwa ~4

Komorowski * Ziemkiewicz


















SSSS
WRAU!!

Wilcza Klątwa











Wilcza Klątwa











Zupełnie nowy interes

Wojciech Jankowski

To łatwa robota, chłopcy – powiedział facet w szarym kapeluszu. – Dostaniecie całą forsę i nie chcę was więcej widzieć – dodał rysując laską znaki na piasku.

– My ciebie też – mruknął młodszy.

Facet uśmiechnął się i wyjął z kieszeni kopertę.

– Oto forsa – powiedział, przyglądając się własnym butom. – Jutro o dziewiątej będzie sam. Tu jest numer pokoju i fotografia.

Położył kopertę na brzegu ławki i odszedł żwirową alejką. Staroświecka laska zakończona srebrną główką konia z każdym jego krokiem zakreślała niewielki łuk.

Młodszy wziął kopertę, nie otwierając włożył ją do kieszeni i wyłuskał z papierka gumę do żucia.

– Dał od razu całą forsę – powiedział. – Nie podoba mi się.

– Dlaczego? – przeciągnął się starszy. – Sądzi, że dopadnie nas, jeżeli nawalimy.

– My nie nawalamy. I on o tym wie. Ale on może...

– Nic nie może – przerwał starszy. – Dał forsę, reszta go nie obchodzi.

– Chce nas w coś wrobić – powiedział młodszy i obejrzał się za wysoką dziewczyną w białej bluzce z koronki. – Dziwny facet! Coś w nim jest niewyraźnego.

Starszy wstał z ławki, obciągając poły marynarki.

– Przesadzasz. W co nas można wrobić? I dlaczego?

Młodszy wzruszył ramionami.

Poszli alejką w kierunku przeciwnym do tego, w którym odszedł facet z laską. Starszy zatrzymał się chwilę i popatrzył na dzieci biegające nad stawem. Dalej kilku mężczyzn zabawiało się modelami statków sterowanymi radiem.

– Pójdziemy jutro bez broni – powiedział.

– Nie lubię chodzić bez broni – rzekł młodszy podnosząc piłkę, która potoczyła się po alejce i podał ją pięcioletniemu chłopcu w czapce z daszkiem.

Następnego dnia rano zaparkowali samochód parę przecznic dalej i zawrócili zatłoczonym chodnikiem w kierunku hotelu. Przeszli przez hol i dotarli do wind akurat wtedy, kiedy lewą opuszczały dwie starsze panie przebrane za nastolatki.

Prawą windę wypełniał w połowie gruby łysol z pekińczykiem w objęciach. Windziarz zasunął staroświecką kratę i ruszyli w górę.

Łysol z pekińczykiem jechał na trzecie piętro. Starszy przepuścił ich przycisnąwszy się do ściany windy i nie patrząc na windziarza zadysponował:

– Dwunaste!

Korytarz dwunastego piętra wysłany był chodnikiem o barwie dojrzałych śliwek. Podobną barwę miały opatrzone porcelanowymi tabliczkami drzwi do pokojów i pozbawione tabliczki drzwi wiodące na klatkę schodową.

Schodząc na dziesiąte piętro nie spotkali nikogo. Tym razem i drzwi, i chodnik były brązowe.

Starszy zapukał, a młodszy stanął przy ścianie i rozluźnił węzeł krawata. Drzwi uchyliły się.

– Jestem detektywem hotelowym – powiedział starszy i pokazał wizytówkę, którą wspólnie wykonali wczoraj domowym sposobem.

– Słucham? – rozległo się zza drzwi. – O co chodzi?

– Wolałbym wejść – szepnął starszy. – Zaraz tu będzie zbiegowisko.

Mężczyzna zza drzwi wysunął głowę. Młodszy uśmiechnął się do niego. Starszy spojrzał w lewo i prawo. Nikogo na korytarzu nie było.

Wchodząc uderzył mężczyznę pięścią w brzuch, a kiedy ten zgiął się, poprawił od dołu i silnym pchnięciem rzucił mężczyznę na środek hotelowego pokoju.

Młodszy wszedł za nim i zamknął drzwi na klucz, zostawiając go w zamku. Starszy wkładał już rękawiczki.

Mężczyzna siedzący na kanapie patrzył na nich mrugając zaczerwienionymi powiekami. Z wargi spływała mu krew.

Starszy pochylił się i wyjął z rozedrganych dłoni swoją wizytówkę. Włożył ją do kieszeni, poklepał mężczyznę po policzku i powiedział:

– Spokojnie, nie denerwuj się.

Młodszy wkładał rękawiczki.

– O co...o co chodzi? – wyszeptał siedzący na kanapie.

– Ani słowa – ostro powiedział młodszy i wsunął dłoń pod połę marynarki, pod którą nie było broni.

Mężczyzna znieruchomiał. Starszy otworzył drzwi łazienki. Przeszukał szafę w ścianie, pochylił się zaglądając pod łóżko. Młodszy wytarł chustką klamkę i tkwiący w zamku klucz.

– Chcemy pogadać – powiedział starszy. – Ktoś cię nie lubi, a my możemy ci pomóc.

– Jeżeli będziemy chcieli – dorzucił młodszy.

– Wy nie jesteście hotelowymi detektywami – powiedział mężczyzna z kanapy.

– Jak to zgadłeś? – teatralnie zdumiał się młodszy.

– Ja nie rozumiem. Nie wiem o co wam chodzi – wyjąkał mężczyzna.

– Wiesz – przeciągle powiedział starszy – wiesz synu.

– Widzisz, to jest tak – wtrącił młodszy – nam się trochę spieszy.

Starszy poklepał mężczyznę po ramieniu.

– Zacznij mówić – powiedział.

Młodszy przeglądał półki szafy. Potem otworzył walizkę leżącą pod jasnym płaszczem.

– Proszę, proszę – powiedział podnosząc dłoń z dyndającym na palcu rewolwerem – nasz gospodarz miał pukawkę. W walizce ją trzymał, frajer, a nie w garści.

– I tak by mu nie pomogła.

– Naładowaną – ciągnął młodszy.

Wcisnął bębenek i przyłożywszy siedzącemu na kanapie mężczyźnie rewolwer do czoła nacisnął spust. Kurek odchylił się.

Mężczyzna wstrzymał oddech, twarz mu zbladła, czoło pokryły kropelki potu.

– Kto cię nie lubi? – spytał młodszy. – Mów szybko, bo palec mi się coraz bardziej zgina.
– Naprawdę nie wiem. Ja nic nie rozumiem. Nie wiem.
– Nie wie – starszy rozłożył ręce. – A może pomyliliśmy drzwi?
Młodszy palcem lewej ręki opuścił kurek i odjął rewolwer od czoła siedzącego na kanapie.
Mężczyzna poruszył się i dostał w twarz lufą rewolweru.
– Nie ruszaj się – ostrzegł starszy. – Możesz mrugać, jeśli już musisz.
– I mówić – dodał młodszy.
Mężczyzna siedział bez ruchu.
Starszy klepnął go znienacka po udzie.
– Musieliśmy pomylić drzwi, co? Wzięliśmy cię za kogoś innego.
Mężczyzna nie zareagował.
Młodszy odłożył rewolwer na półkę szafy i obejrzał wiszące w niej krawaty. Wybrał jeden z brązowego surowego jedwabiu.
– Przepraszamy cię, stary – rzekł starszy ujmując siedzącego za przeguby – powiedz, jak mamy ci to wynagrodzić.
Młodszy zarzucił mężczyźnie krawat na szyję i zacisnął. Mężczyzna szarpnął się, ale uda starszego przytrzymały mu nogi, a dłonie nie rozluźniły chwytu wokół przegubów.

Ani w korytarzu, ani na schodach nie spotkali nikogo. Nie musieli długo czekać na windę. Nie było w niej nikogo poza windziarzem, starym mężczyzną o szarej twarzy i pustych oczach.
Piętnaście kilometrów za miastem młodszy wydobył z kieszeni klucz opatrzony wąską tabliczką i podał starszemu, a ten otworzył okno i odrzucił klucz w krzaki rosnące przy drodze.
– To była prosta robota – powiedział starszy. – Facet wcale się nas nie spodziewał.
– Właśnie, był cholernie zdziwiony.
– Miałeś rację – mruknął starszy w zamyśleniu – coś w tej robocie jest nie tak.

Młodszy odsunął firankę i wyjrzał na błyszczący w słońcu ocean.
– Masz zamiar tak to zostawić?
– Dostaliśmy zlecenie. Zrobiliśmy robotę, wzięliśmy forsę. Koniec – rzekł starszy i dopił kawę.
Młodszy wrócił na fotel naprzeciw starszego.
– Przeczytaj – uderzył dłonią w gazetę – to nie był facet z branży. Historyk z uniwersytetu. Komu taki mógł przeszkadzać?!
– Ale komuś przeszkadzał, nie?
– Rany! – zdenerwował się młodszy. – Nie wygłupiaj się!
– Zostaw tę sprawę!
– Nie! – Młodszy zerwał się z fotela. – Od lat czytam te ich kryminalne kawałki. Dawno zauważyłem, że zaczęły się dziać dziwne rzeczy. Piszą o czymś, co wygląda na robotę zawodowców na ludziach, których zawodowcy nie powinni tykać. Teraz my zrobiliśmy taką robotę.
Starszy wziął gazetę ze stołu i wrzucił do kosza na śmieci.
– Wdepnęliśmy w coś, dobra, ale mamy to za sobą i żyjemy jakby tego nie było.
– Gówno! – krzyknął młodszy. – Musimy się tym zająć.
– Zrobić robotę i o nic nie pytać – starszy otworzył szafę i wyjął szarą marynarkę – to jest podstawowa zasada.
– Nie wychodź. Musimy pogadać.
Starszy wzruszył ramionami, rzucił marynarkę na krzesło i usiadł na drugim założywszy nogę na nogę.
– Ile lat pracujesz w fachu? – zapytał młodszy. – Trzydzieści. I co z tego masz? Trochę forsy w banku? Akurat na koszty pogrzebu.
– Więcej – uśmiechnął się starszy.
– Ale ja nie chcę mając pięćdziesiąt lat uganiać się z rewolwerem w łapie. Chcę być bogatym pięćdziesięcioletnim facetem.
– Jasne, w twoim wieku też chciałem.
– Czuję tu – młodszy zignorował ironiczny ton starszego – grubą forsę. To musi być duży, zupełnie nowy interes, do którego nie dobrali się ludzie z branży. Mam zamiar włączyć się do tego interesu. Z tobą albo bez ciebie.
– Ze mną albo beze mnie? – powoli zapytał starszy.

Pod wieczór koło autostrady zaczęły się pojawiać pierwsze domy przedmieścia. Starszy wyłączył radio i zapytał.
– Co robimy? W tej robocie ty jesteś szefem.
– Jutro rano pójdę do czytelni i wygrzebię wszystko, co pisali o zabójstwach.
– A ja mam przygotować jedzenie i dać ci buzi, kiedy wrócisz po pracy?
– Ty pochodzisz, pogadasz z ludźmi, popytasz o faceta z laską, dowiesz się kto brał dziwne zlecenia.

Motel nazywał się „Zajazd turecki". Składał się z niewielkich domków krytych plastykową strzechą. Domek, który dostali miał salonik, po obu stronach dwie sypialnie, a na wprost drzwi wejściowych łazienkę.
Starszy wrócił pierwszy, przed zmrokiem. Nalał porcję żytniówki, zapalił cygaro i usiadł przed telewizorem. Mecz dobiegał końca, kiedy przyszedł młodszy.
– Znalazłem czterdzieści sześć zleceń z ostatnich trzech lat – wykrzyknął od progu i wyciągnął z teczki plik kserograficznych odbitek.
– Posłuchaj tylko! – Rzucał kartki na stół. – Gospodyni domowa z małego miasteczka, ksiądz, malarz, kapitan artylerii, szesnastoletni uczeń, sprzedawca ze sklepu znany jako początkujący poeta, pomywaczka z chińskiej restaurcji...– Położył resztę odbitek na stole. – Sam przeczytaj.
– No i co powiesz? – zapytał kilkanaście minut później wychodząc z łazienki owinięty ręcznikiem w złote półksiężyce.
– W tym – rzekł starszy – mogą być narkotyki.
– Sam w to nie wierzysz! Nie powiesz mi, że wikary będzie handlować narkotykami. Albo, że szesnastoletni szczeniak, nawet jeśli jest hurtownikiem, tak namiesza, że nie obejdzie się bez mokrej roboty. Albo gospodyni z miasteczka, w którym trzy osoby widziały peta z marihuaną.
– W każdym razie – starszy zaśmiał się cicho – nie napalałbym się jak ty.
Młodszy był już w szarym ubraniu, w którym wyglądał jak konserwatywny urzędnik bankowy.
– Ty się nigdy nie napalasz – powiedział – gdybyś ty się napalał, bylibyśmy dwoma napaleńcami. Idziesz na kolację?
– Nie, zamówię coś do pokoju.
– Mam ochotę na dziewczynkę. – Młodszy poprawił krawat przed lustrem. – Przyprowadzić i tobie?
– Dziękuję, mam robotę. Spróbuję się po sznycie zorientować, kto nadał te zlecenia. Kogoś na pewno poznam.

— Jesteś pewien, że to ona? Naprawdę, dobra jest? – zapytał młodszy.
Siedzieli w samochodzie zaparkowanym koło skrzyżowania czterech ulic zabudowanych kolorowymi domami. Starszy uważnie zgasił papierosa.
– Pewien? Ostatni raz byłem pewien czterdzieści lat temu. W każdym razie Mała lubi bawić się brzytwą i jeszcze dziś ma warunki, żeby zwabić w krzaki szesnastolatka.
Drzwi domu z zielonym gankiem otworzyły się. Drobna dziewczyna w fioletowych spodniach i szafirowym swetrze zbiegła po schodach i otworzyła drzwi garażu.
– Mała? – zapytał młodszy.
– To pewnie dziewczyna małej.
– Aha – mruknął młodszy. – Mała lubi dziewczyny.
– Ty też lubisz.
Dziewczyna wyjechała z garażu białym kabrioletem dla dwóch osób. Drzwi garażu zamknęły się automatycznie.
Podeszli do ganku. Starszy nacisnął przycisk. Uchyliło się okienko w drzwiach i niski kobiecy głos zapytał:
– O co chodzi?
– Otwórz Mała – powiedział starszy. – Pamiętasz mnie. Kolega i ja mamy do ciebie dwa słowa.
– O co chodzi?
– Mała – nie ustępował starszy – otwórz i wpuść nas. Nie możemy gadać przez lufcik. Chcemy o coś zapytać.
– Nie mam wam nic do powiedzenia!
– Masz Mała. Jeżeli nie otworzysz, poczekamy. Musisz w końcu wyjść, nie?
Okienko zatrzasnęło się, szczęknęła zasuwa i kobieta uchyliła drzwi na tyle, na ile pozwalał łańcuch.
– Pokażcie się!
Starszy stanął naprzeciw uchylonych drzwi, młodszy ustawił się przy nim.
– Mamy się uśmiechnąć? – zapytał.
– Niech was szlag trafi! – Zatrzasnęła drzwi i otworzyła je ponownie. Tym razem bez łańcucha.
Była wysoka, miała ładną twarz, szerokie ramiona i biodra, i wąską talię ściśniętą paskiem różowego szlafroka. Cofnęła się w mrok przedpokoju. Młodszy wszedł pierwszy, starszy zamknął drzwi i zasunął zamek.
– Nie wpuścisz nas dalej? – zapytał.
– Gadajcie o co wam chodzi! – Duże oczy kobiety, o jasnych tęczówkach błyszczały w półmroku.

- Nie tu, Mała - głos starszego nadal był miękki i spokojny - usiądźmy gdzieś i pogadajmy. To potrwa chwilę. I nie bój się, nie będziemy chcieli nic do picia.
- Niech was szlag trafi! - powtórzyła kobieta.
Za drzwiami był rozległy pokój z białymi meblami, białym dywanem i bukietem szkarłatnych kwiatów na białym stole. Usiedli na białej kanapie.
- Cholera - mruknął młodszy - tak tu biało, że człowiek boi się ruszyć.
Za szerokim oknem przejechała na wrotkach dziewczynka w pełnej falbanek sukience.
- Posłuchaj Mała - starszy położył kapelusz na kanapie - usiądź i posłuchaj.
Kobieta stała nieruchomo oparta o białą półkę zastawioną kolekcją porcelanowych zwierzątek.
- Jesteś piękna, duża lufa - młodszy włożył papierosa do ust - obejrzeliśmy cię już, teraz siadaj grzecznie.
Popatrzyła na młodszego ironicznie.
- Nie dla ciebie, synu. Usiądę, żebyś się nie podniecał.
Starszy wstał z kanapy.
- Niepotrzebnie się złościsz. Potrzebujemy tylko informacji.
Podszedł do kobiety i oparł się o półkę stojącą obok fotela, w którym usiadła.
- Dwa lata temu - ciągnął - wzięłaś zlecenie na szesnastoletniego szczeniaka...
- Skąd wiesz, czy wzięłam?
- Nie przerywaj, powiem co mam do powiedzenia, zadam ci pytanie, ty odpowiesz i będzie po wszystkim.
- A jeżeli nie odpowiem?
- Odpowiesz Mała - młodszy strzepnął popiół z papierosa na biały dywan i roztarł butem. - Po co ci mamy rozwalać tę piękną głowę.
Starszy kucnął przy fotelu opierając łokcie o poręcz tuż koło dłoni kobiety.
- Zlecenie na szesnastolatka dał ci facet z laską. Teraz pytanie: jak wyglądała ta laska?
Kobieta milczała. Młodszy odrzucił papierosa i obserwował jak we włochatej tkaninie wypala się brązowa dziura.
- Niech was szlag trafi - powiedziała kobieta. - Twardzi mężczyźni, cholera! Laska miała gałkę w kształcie końskiego łba. Zadowala to was?
- Jasne, Mała - młodszy wstał z kanapy i zadeptał tlący się dywan - zadowala nas to całkowicie.
Podszedł do siedzącej wciąż kobiety, zatrzymał się krok przed fotelem, z prawej strony.
- Popatrz Mała - wskazał brązową dziurę - niepotrzebnie to zrobiłem. Gdybyś się nie stawiała...
- Zapłacimy ci - starszy wyprostował się wkładając dłoń do kieszeni.
Kobieta spojrzała za tą dłonią i pochyliła się wstając z fotela. Młodszy z prawą ręką wciąż wskazującą wypalony dywan zamachnął się krótko i wbił lewą ręką nóż o wąskim, trójgraniastym ostrzu w to miejsce, w którym różowy szlafrok rozchylał się na piersiach kobiety. Skośnie w lewo i w dół.

Wyszli z restauracji, drogiej i pełnej dobrze ubranych ludzi o wypielęgnowanych twarzach. Podeszli do samochodu.
- Nie ruszaj się - cicho powiedział starszy.
Młodszy zastygł z kluczami w lewej dłoni. Właśnie miał otworzyć drzwi po swojej stronie.
- Spływamy, ktoś ruszał maskę - powiedział starszy.
Młodszy dopiero teraz dostrzegł brak małego kawałka gumy do żucia na krawędzi klapy. Odeszli powolnym, niedbałym krokiem.
- Poczekam w barze na rogu - starszy wskazał kolorowy neon - a ty wyprowadzisz nas z motelu i ściągniesz wóz.
- W porządku. Z dziewczynek dziś nici, co?
Starszy podszedł do bariery nad rzeką, spojrzał na wodę lśniącą w wieczornym mroku, oparł się o kamienny słupek i zapalił papierosa rozglądając się uważnie. Nie spostrzegł niczego podejrzanego, więc ruszył w kierunku barku na rogu. Tam usiadł przy końcu kontuaru tuż przy oknie z sześciokątnych kolorowych szybek. Ich samochód wyglądał stąd jak porcja owocowej galaretki.
Młodszy przepuścił trzy taksówki i wybrał czwartą z gęsto jadących samochodów. Piętnaście minut zajęło mu pakowanie rzeczy i płacenie rachunku; taksówka czekała przed motelem.
Kazał się zawieźć do portu lotniczego, umieścił walizki w skrytce bagażowej i inną taksówką wrócił do śródmieścia.
Ulica wypełniona była tłumem wieczornych przechodniów. Na rogach, przy wejściach do kin, knajp i kabaretów stali faceci szukającej okazji do zarobku albo darmowego wypicia. Zawołał



Siudmak •004•

niemłodego cherlaka w tandetnej marynarce w jaskrawe paski.
Elegant podszedł z uśmiechem.
- Chcesz zarobić pięćdziesiątaka? - zapytał młodszy.
- Jasne.
- Masz tu kluczyki, kartę rejestracyjną i dwudziestkę na taksówkę. Sprowadzisz mój wóz, dostaniesz pięćdziesiątaka.
Ten wziął kartę rejestracyjną i kluczyki, młodszy podał mu nazwę restauracji, przed którą został samochód i przytrzymał za ramię.
- Nie próbuj mi podprowadzić wozu albo prysnąć z tą dwudziestką - ostrzegł odchylając połę marynarki. - Widzisz tę spluwę? Znajdę cię, jeżeli wykręcisz mi numer. Będę tam. - Machnął ręką w kierunku świecącej czerwienią i błękitem ściany kabaretu.
Chuderlawy odszedł szybko. Młody widział jak chuderlak zatrzymuje taksówkę. Wsiadł do następnej i pojechał za nim.
Starszy pił wolno koktajl i zerkał co chwilę w okno. Od razu dostrzegł faceta idącego w kierunku parkingu. Nawet przez kolorowe szybki facet nie wyglądał na starego gościa restauracji.
Elegant otworzył drzwi i wsiadł. Wybuch zatrząsł kolorowymi szybkami. Blachy karoserii otworzyły się na wszystkie strony, strzępy zawirowały w powietrzu, płomienie objęły to co zostało z wozu.
Goście rzucili się do okna.
- Co się stało? Co się stało? - gruby mężczyzna ze zroszoną potem łysiną odpychał starszego od kontuaru i starszy potulnie mu ustąpił.
- Nie wiem. Coś huknęło.

— Co jest grane? - odezwał się młodszy. - Ktoś wziął na nas zlecenie, ale dlaczego?
- Nie wiemy dlaczego - odpowiedział starszy. - Nie wiemy kto. Musimy się dowiedzieć.
Kilka godzin po świcie zjechali wynajętym samochodem na

boczną szosę obrośniętą szpalerem drzew. Asfalt był tu zmatowiały, pełen dziur, w których stała woda po niedawnym deszczu. Zjechali z asfaltu na leśną drogę, po czym szerokim łukiem dotarli do zrujnowanego domu na wzgórzu. Przy zjeździe z szosy i przy drodze stały stare tablice z napisem: *droga prywatna-wjazd zabroniony.*

W środku dom wyglądał na opuszczony. Pachniało kurzem i myszami. Słoneczne światło wpadało przez szpary w okiennicach malując wnętrze w złote paski wirującego pyłu.

Wieczorem usiedli przy stole. Na oczyszczonym z kurzu blacie leżały wyjęte ze schowka dwa sztucery z optycznymi celownikami, dwa krótkie pistolety maszynowe z magazynkami na trzydzieści pięć naboi, dwa małe pistolety z płaskimi tłumikami i wygiętymi w dół pojemnikami na łuski.

– Idziemy na piętro – zarządził starszy – tu też mogą nas dostać.

– Przynajmniej się wyspałem – odpowiedział młodszy. – Kiedy spływamy?

Rano. – Starszy wziął sztucer i odłączył celownik optyczny. – W nocy i tak nic nie pomoże – wyjaśnił. – Sprawdziłeś telefon?

– Działa.

– Zadzwonię przed samym odjazdem. Chodź na górę.

Północ dawno minęła, kiedy starszy poruszył się przy oknie.

– Idzie facet – szepnął. – Coś niesie.

– U mnie spokój – odpowiedział młodszy.

Zostawił sztucer pod oknem i cicho zszedł na parter. Odblokował okiennicę, przyłożył twarz do szpary. W kierunku domu skradał się skulony mężczyzna niosący w obu rękach kanciaste ciężary.

Młodszy pchnął lekko okiennicę. Słyszał już szelest kroków na trawie. Szelest ustał pod ścianą, na lewo od okna. Po chwili rozległ się cichy bulgot i w nieruchomym powietrzu nocy rozpłynęła się ostra woń benzyny.

Starszy wysunął przez okno lufę sztucera.

Młodszy pchnął silnie okiennicę. Zanim jej skrzydła stuknęły o ścianę domu, z nożem w lewej ręce wyskoczył przez okno. Miał do przebycia trzy kroki. Mężczyzna z bańką był szybki: zdążył puścić bańkę i sięgnąć pod lewą pachę. Młodszy kopnął go w łokieć, odchylił się i z tego wychylenia potężnym zamachem uderzył mężczyznę w szczękę. Przeciwnik upadł, młodszy schylił się nad nim i w tej samej chwili nad jego głową zadudniły po ścianie domu pociski.

Starszy kropnął w kierunku błysków w zaroślach. Strzały stamtąd ustały.

Młodszy leżał obok powalonego przeciwnika tak, że ciało tamtego stanowiło osłonę. Podniósł rękę z nożem i wbił go nieruchomemu mężczyźnie w gardło, po czym nie wypuszczając noża podpełznął do okna.

– Wskakuję – krzyknął – strzelaj!

Starszy walił w zarośla na skraju lasu szeroką serią. Młodszy przetoczył się przez parapet, przypadł do ściany pod oknem. Pociski wystrzelone z zarośli zastukały o ścianę tłukąc szkła w głębi pokoju.

Młodszy chwycił zwisające pasy i jednym szarpnięciem zatrzasnął okiennice. Zablokował je stalową sztabą i pobiegł na górę.

– Po nim – powiedział zdyszany. – Chciałem go tu przywlec, ale zaczęło się, więc musiałem go uciszyć.

– Jasne – odburknął starszy ładując naboje do magazynka. – Teraz nam nic nie zrobią. Przygotuję samochód. Wyrywamy zanim się rozjaśni.

Został na straży na górze, młodszy załadował do samochodu broń, uzupełnił paliwo z beczki i odblokował drzwi. Wyjeżdżający samochód mógł je roztrącić zderzakiem.

– Możesz schodzić – zawołał.

Zadzwonił telefon. Starszy podniósł słuchawkę.

– Macie kłopoty – powiedział głos w słuchawce – ale i ja mam kłopoty. Z wami.

– Zgadza się – odpowiedział starszy.

– Proponuję rozmowę – powiedział głos w słuchawce. – Bądźcie jutro w Hiltonie. Pokój 7062 o czwartej po południu.

– Będziemy – obiecał starszy.

Odłożył słuchawkę i podniósł sztucer. Młodszy czekał w drzwiach.

– Jedziemy – powiedział starszy. – To był gość z laską. To on dał zlecenie tym partaczom.

Zapięli pasy. Młodszy przekręcił kluczyk, zwiększył obroty, i płynnie zwolnił sprzęgło. Wóz wyrwał do przodu, walnął zderzakiem w drzwi garażu. Skrzydła drzwi z rozmachem się otworzyły. Zanim z trzaskiem odbiły się od ściany i zatrzasnęły na powrót, samochód wyjechał na łąkę. Nie padł ani jeden strzał.

– Skąd się dowiedział, że coś od niego chcemy? – w zamyśleniu powiedział starszy już na szosie. – Wie o tym. I zna naszą melinę. Ostry facet.

– Za ostry dla nas? Myślałem, że nikt nie jest dla nas za ostry.

– Zawsze znajdzie się ktoś lepszy od każdego – starszy uśmiechnął się lekko. – Od kiedy zacząłem pracować w tej branży, wiedziałem, że ktoś kiedyś mnie załatwi. Może to będzie on.

– Gówno! – Młodszy walnął pięścią w kierownicę. – Gówno! Gówno!

– Spokojnie – mruknął starszy.

Winda zatrzymała się płynnie, drzwi otworzyły się z trzaskiem. Starszy doszedł do drzwi z wypukłymi metalowymi cyframi ułożonymi w numer 7062. Młodszy zatrzymał się kilka kroków za nim. Starszy zapukał.

– Wejdźcie – odpowiedział głos z pokoju.

Starszy wszedł nie zamykając drzwi. Młodszy stojąc pod ścianą patrzył wzdłuż korytarza. Czekał.

Nie dostrzegłszy niczego podejrzanego oderwał plecy od ściany i wszedł za starszym zatrzymując się przy drzwiach. Starszy stał na środku pokoju. Pod oknem siedział mężczyzna. W ręce trzymał laskę ze srebrną głową konia w miejscu gałki.

– Siadajcie. Jestem sam.

Młodszy zdjął z klamki wywieszkę z napisem: „proszę nie przeszkadzać", uchylił drzwi, zawiesił wywieszkę na klamce od zewnątrz, zamknął drzwi i dwa razy przekręcił klucz. Potem usiadł na kanapie obok starszego.

– Słucham – mężczyzna z laską pochylił się w swym fotelu i przybrał uprzejmy wyraz twarzy – słucham. O co wam chodzi?

– Ty nas tu zaprosiłeś – odpowiedział starszy.

– A wy mnie szukaliście. Dlaczego?

– Chcemy dla ciebie pracować – odrzekł młodszy.

– Nie mam dla was pracy.

– W tym co robisz – starszy pochylił się do przodu – jest z pewnością gruba forsa. A my jesteśmy nieźli w swoim fachu i postanowiliśmy się w to włączyć.

– Jesteście jednymi z najlepszych – mężczyzna z laską uśmiechnął się – ale w tym co robię nie chodzi o forsę.

– Zawsze chodzi o forsę – powiedział młodszy.

– Chyba nie mam innego wyjścia – jakby sam do siebie powiedział mężczyzna z laską – muszę wam wszystko powiedzieć.

– Jasne – zgodził się starszy.

– Rzecz w tym – dodał mężczyzna – że mi nie uwierzycie.

– Postaraj się, żebyśmy ci uwierzyli – sucho rzekł młodszy.

Mężczyzna z laską wyciągnął rękę i włączył telewizor.

– Zaraz – powiedział – zacznie się transmisja, bezpośrednia transmisja – podkreślił – z wyścigów samochodowych. Powiem wam co się zdarzy. Na drugim wirażu samochód z numerem szesnaście uderzy w bandę, zapali się po skapotowaniu, z tyłu zrobi się karambol z pięciu, nie, z sześciu samochodów, wyścig zostanie przerwany, kierowca samochodu z numerem szesnaście zginie w płomieniach. Sami zobaczycie.

– Zgadza się – wolno powiedział młodszy – dziś mają być wyścigi. A ty robisz sztuczkę z magnetowidem.

– Możecie włączyć radio i sprawdzić – powiedział mężczyzna – trzy albo cztery stacje nadają bezpośrednią transmisję.

Sprawdzili wszystko na dwóch kanałach telewizyjnych i w czterech programach radiowych. Grupa wyścigowych maszyn minęła pierwszy wiraż, przyspieszyła na prostej i weszła w drugi wiraż. Samochód z numerem szesnaście jechał w środku stawki.

W kilka sekund potem z palącego się wraka walił gęsty dym, strażacy w srebrnych kombinezonach strzykali pianą z gaśnic, nawet nie próbując się zbliżyć do płonącego samochodu. Obok kilka wozów zbiło się w kupę żelastwa.

Czarna sylwetka kierowcy widoczna była przez płomienie. Szarpał się przez kilka sekund, potem opadł na pół wysunięty z kabiny. Spiker radiowy aż zachłystywał się opowiadając o tym co dzieje się na torze.

– Co chcesz udowodnić? – zapytał starszy i wyłączył radio.

– Znam przyszłość. Wiem, mogę wiedzieć co się zdarzy.

Wojciech JANKOWSKI

Urodzony 27 XI 1948 r. w Gdańsku. Absolwent wydziału filozoficzno-historycznego Uniwersytetu Wrocławskiego. Pracował na Uniwersytecie, był dziennikarzem, uczył w szkole, był młodym pracownikiem naukowym na Politechnice Wrocławskiej. Obecnie pracuje jako drwal. Debiut science fiction: opowiadanie „Koń" („Problemy" nr 6/1980).

(mp)

– Bzdura! – zirytował się młodszy.
– Jasne, że trudno w to uwierzyć – powiedział mężczyzna – potrzebowałem na to wielu lat.
– Poczekaj – starszy ruchem ręki powstrzymał młodszego, który zaczął się podnosić. – Mówisz, że znasz przyszłość, ale gdzie w tym jest interes?
Mężczyzna z laską pokręcił głową z irytacją.
– Człowieku! Przecież nie o to chodzi! Ja mogę zmieniać bieg wydarzeń. Mogę zmieniać przyszłość!
– Każdy może, nie? – Starszy wzruszył ramionami. – Strzelam do faceta i zmieniam przyszłość, bo go już niema.
– Naprawdę nie rozumiecie? Naprawdę nie? Ty nie wiesz wszystkiego co będzie, kiedy strzelisz do faceta i nie wiesz co byłoby, gdybyś nie strzelił. A ja wiem. Wiem co się zdarzy bez żadnego strzelania i wiem jak to zmienić.
– No to co się zdarzy jutro? – Młodszy skrzywił się z wymuszonym uśmiechem.
– Biliony różnych rzeczy – odpowiedział mężczyzna z laską tonem cierpliwego nauczyciela – ważnych i nieważnych. Niektóre z nich wpłyną na przyszłość, niektóre nie. Jeżeli chcę zmienić coś, co mogłoby się zdarzyć za kilkanaście lat, coś ważnego, mogę jutro coś drobnego zmienić, bo wiem co, i to się nie zdarzy.
– Kapujesz coś z tego? – młodszy spojrzał na starszego nie kryjąc ironii.
– Poczekaj. Po co nam to opowiadasz? – zapytał.
– Chcieliście się dowiedzieć. Kiedy was wynajmowałem, byłem pewien, że zrobicie swoje i przestaniecie o mnie myśleć. Potem nagle coś się zmieniło i zaczęliście mnie szukać. W jednym z wariantów przyszłości mogliście mnie zabić.
– Więc ty kazałeś zabić nas – wpadł w słowo młodszy.
– Tak. Było prawdopodobne, że się uda. Potem wiedziałem, że się nie uda i zadzwoniłem do was. Teraz mówię jak jest, a wy zaczynacie mi wierzyć i już nie chcecie mnie zabić.
– Tak?! – przeciągle zapytał młodszy.
– Tak! Rozumiecie przecież, że w mojej wiedzy są olbrzymie pieniądze. Nie tylko z zakładów czy z ruletki, ale przede wszystkim z giełdy. Po kilku latach gry na giełdzie mógłbym mieć w kieszeni gospodarkę całego świata. A wy ze mną.
– Piękna bajka – niepewnie powiedział młodszy – aż szkoda, że to tylko urojenia.
– A wyścig samochodowy?
– Człowieku – starszy miał pogardliwy ton głosu – skończ z pieprzeniem.
– Po co – zapytał młodszy – mając takie możliwości kazałeś zabijać nic nie znaczących ludzi?
– Bo mnie nie interesuje forsa ani władza. A każdy z tych ludzi miał w przyszłości wyrządzić wielkie szkody.
– Nawet szesnastoletni szczeniak?
– Ten szczeniak za dwadzieścia dwa lata zostałby dyktatorem. Najkrwawszym w historii. A to znaczyło kilkadziesiąt milionów ofiar.
– A ten nasz? – spytał młodszy. – Profesorek od historii?
– Za sześć lat byłby rektorem swojej uczelni i utrąciłby kandydaturę młodego biochemika, potencjalnego odkrywcy przyczyn raka. Ten młody biochemik zacząłby pracować w przyfabrycznym laboratorium i pić. Po sześciu latach jego genialny mózg wyglądałby jak przejrzały ser.
– I teraz to lekarstwo na raka będzie?
– Teraz będzie.
– Co tobie z tego? Masz raka?
– Nie robię tego dla siebie. Dla was to niepojęte? Ale zapewniam, że nie zależy mi na forsie. Mam dar! Wykorzystuję go dla dobra ludzi nikomu nic nie mówiąc, bo zawsze znajdą się faceci, którzy chcieliby mój dar wykorzystać.
– Ludzie tacy jak my? – zapytał starszy,
– Tacy jak wy albo jeszcze cwańsi.
– I nam nie pozwolisz skorzystać z twojego daru?
– Wam? – Mężczyzna z laską ochłonął z podniecenia. – Wiem, że możecie mnie zabić, ale jeżeli uwierzyliście mi, nie zrobicie tego. Dam wam typy na szesnaście najważniejszych gonitw, wyciągniecie z tego dwadzieścia milionów. Ale mam dwa warunki: nie będziecie odtąd mnie szukać i nikomu o mnie nie powiecie.
– Myślisz, że ci uwierzyliśmy? – Starszy parsknął krótkim śmiechem.
– A jeżeli znasz przyszłość – dodał młodszy – to wiesz, czy cię zabijemy, czy zostawimy w spokoju.
– To nie jest proste – odpowiedział mężczyzna. – Ludzkich zachowań nie da się przewidzieć w stu procentach. Im są bliższe, tym trudniej. Na przykład, wiem o co chcesz zapytać – rzekł do starszego – ale nie wiem czy zapytasz.
– O co?
– O to ile lat jeszcze będziesz żył.


Wojtek Siudmak

– Bzdura! – powiedział starszy niepewnie. Młodszy spojrzał na niego uważnie.
– Tak myślałem. – Mężczyzna z laską uśmiechnął się: – Widzisz, nie na wszystkie pytania odpowiadam. Na to nie odpowiem.
– Co robimy? – zapytał młodszy, a starszy w odpowiedzi wzruszył ramionami.
– Cholera! Facet zapędził nas w kozi róg.
– Ja tam mu wierzę.
– Nigdy w życiu nie pozwoliłem – mruknął starszy – żeby ktoś tak długo pieprzył mi głupoty.
Na twarzy mężczyzny z laską znać było z trudem skrywane napięcie.
– Dobra – powiedział starszy po długiej chwili milczenia – dawaj typy na te gonitwy.
– Są w szufladzie biurka.
Młodszy podszedł do biurka, wyjął z szuflady wąską kartkę i czytał ją kilka chwil.
– Zgadza się.
Starszy wstał, podniósł lewą ręką teczkę i spojrzał na mężczyznę z laską.
– To cześć – powiedział. – Jeżeli z tymi gonitwami jest wszystko w porządku, nie usłyszysz o nas więcej.
Przycisnął przycisk w rączce teczki, złapał pistolet z tłumikiem i trzy razy strzelił mężczyźnie w głowę.
– Jeżeli dał nam fałszywe typy – powoli powiedział młodszy – nigdy się nie dowiemy, co tu jest grane.

Na drzwiach jednej windy wisiała wywieszka: „przepraszamy naszych gości, winda nie będzie czynna do godziny siódmej". Starszy nacisnął przycisk drugiej.
– Patrzył na mnie jak na trupa – powiedział.
– Słyszałem tę odzywkę w jakimś filmie – zakpił młodszy.
– Dobry film – zaprotestował starszy. – Można poznać, kiedy facet wie, że już nie żyjesz. Można to poznać.
– Przecież żyjemy – szeroko uśmiechnął się młodszy – opłacało się poszukać faceta. Typy na szesnaście gonitw.
– Może tak, może nie. Nie podoba mi się to wszystko.
Drzwi windy otworzyły się z cichym syknięciem. Była pusta. Weszli do środka, młodszy nacisnął przycisk parteru. Drzwi zasunęły się, winda poszła w dół.
Raptem stali się nieważcy, światło zgasło.
– Gówno – zawołał młodszy – po nas!
– Trzeba było zostawić faceta w spokoju – wyjąkał starszy z głową wciśniętą w sufit windy. – Za ostry był dla nas.
– Zawsze musisz mieć rację – zdążył powiedzieć młodszy zanim winda spadająca z siedemdziesiątego piętra roztrzaskała się w podziemiach hotelu.

Wojciech Jankowski

1 kwietnia 1988

Jacek Inglot – przedstawiciel czwartej generacji fantastów urodzony 5 VI 1962 r. w Trzebnicy. Studia polonistyczne na Uniwersytecie Wrocławskim ukończył w 1986 r. Anarchista-amator prowadzi zajęcia z filozofii na Politechnice Wrocławskiej. Najbardziej spóźniony debiutant science fiction ze swego pokolenia. Od paru lat bezskutecznie szturmuje „Fantastykę" obscenicznymi kawałkami, więc pierwsze teksty musiał publikować w „Feniksie" (2/86) i „Problemach" (6/87). Druk opowiadanka (!?) „SCENCE and FICTION, Inc." wymusił autor na „Fantastyce" wielokrotnymi nocnymi telefonami do kierownika działu prozy polskiej, zakłócającymi mu wypoczynek i pracę. Ale i tak przedstawiamy Państwu tę niedorzeczną karykaturę społeczności fanów, autorów i redaktorów SF jedynie po to, by nie dopuścić do druku tekstu na innych, nieżyczliwych nam łamach. Wolimy przyjąć przeciwnika na własnym terenie i na przez siebie ustalonych warunkach. Oczywiście drukujemy Inglota najdrobniejszą czcionką, jaką mamy na składzie. Jest nadzieja, że ów zabieg techniczny pozwoli uniknąć irytacji starszych i poważnych Czytelników „Fantastyki". Używanie lupy czy okularów, podczas lektury tego tekstu – n i e d o z w o l o n e ! ! !

(mp)

SCENCE & FICTION INC.

Jacek Inglot

Motto I: Make Love, Not Fuck!

Motto II: Więc tylko trochę mniej oporu,
słuchajcie, ach, o kotki me
Lepiej niech wszystko będzie według wzoru,
niż żeby miało być tak bardzo „fe".

Stanisław Ignacy Witkiewicz
„Narkotyki – Niemyte dusze"

Dramatis personae:

● Roberto Sucker Smitton, znany fan i businessmen. Zrobił majątek na produkcji Masturb Eluxów i popieraniu mechanicznego seksu. Laureat plebiscytu „Fucker of The Year" z 2286 roku. Nie szczędzi pieniędzy na własną chwałę.

● M.P., teoretyczny piewca sexomatycznej rewolucji, zawartej w powieści „Z błotem w ustach", gdzie dał literacką wizję Masturb Eluxa jako równorzędnego partnera istoty ludzkiej. Poza tym krytyk literacki i głosiciel śmierci SF w jej klasycznej formie. Jego zdaniem nowy etap to SForno – patrz manifest pt. „Writing and Fucking in The Future".

● N. Olland, red. nacz. periodyku GALAKTICA, czołowego pisma SF w tej części wszechświata. Założyciel i, jak na razie, jedyny uczestnik ruchu „nouveau romanesque", polegającego na reanimacji romantyzmu w literaturze. Zwalcza awangardę i libertynów.

● Andrew Earthman, pisarz, bluźnierca i anty-samnita (to znaczy człowiek nie lubiący Samnitów, bo i za cóż ich lubić), autor trylogii „Cocker Wars", zaliczanej przez M.P. do kanonicznych dzieł stylu SForno. Od Masturb Eluxów woli człekokształtne sexomaty.

● A. Nowhereman, krytyk-purytanin, tępiący pornografię i żądający od SF powrotu do tradycyjnych, dwudziestowiecznych form.

● O. Remus, młody, dobrze się zapowiadający geniusz, spec od wszystkiego, kontrowersyjny i zaskakujący. Ostatnio w swym dziele pt. „Działobitnia" zastrzelił wszystkich przekonaniem o istnieniu Boga. Z płynów przyjmuje tylko piwo.

● Andy Treeman, spokojny i zrównoważony autor wielotomowego cyklu pamiętników pt. „Shooting Games". Wróg zmechanizowanego seksu. Naturysta.

● A także setki innych autorów, krytyków, fanów i przemysłowców zgromadzonych na CCLXXI Światowym Kongresie SF, który odbył się Anno Domini 2287 w mieście-orbiterze Vorsoville, układ Pol – Con.

Sex Machine, styl życia seksualnego, zwany niekiedy sexomatyczną rewolucją, polegającą na obcowaniu cielesnym ze specjalnie ku temu skonstruowanym automatem. Pierwociny tych tendencji można było zaobserwować już w wieku XX (patrz VIBRATORS i GUMMY DOLL), jednakże dopiero skonstruowanie w latach siedemdziesiątych zeszłego stulecia pierwszego Masturb Eluxa (przez firmę Parovsky and Co.) umożliwiło radykalny przewrót. Rynek został zalany najrozmaitszymi modelami „masturbusiów", jak je popularnie nazwano i, nieco później, człekokształtnymi sexomatami. Doszło do niespotykanego w dziejach boomu handlowego, który pociągnął za sobą głębokie zmiany w obyczajach i kulturze.

„Ilustrated Encyclopedia Sexualis"
Vorsoville 2391 r.

– Wita was Ed Spiderman, kanał 44B Galaxy Network, aby zrelacjonować otwarcie CCLXXI Światowego Kongresu Scence Fiction, rozpoczynającego się dziś w Vorsoville. Spodziewany jest przyjazd przedstawicieli 176 klubów i zrzeszeń. Impreza zapowiada się bardzo ciekawie, zwłaszcza że większość z nich jest ze sobą skłócona. Stoi tu za mną na kosmodromie prezes PSMF – Psychodelic Society of Mad Frogs – Andy Schat-Mat. Czego pan, jako gospodarz, oczekuje po Kongresie?

– Stabilizacji. Dalsze rozbicie ruchu grozi wybuchem wojny na skalę międzygwiezdną. Już dawno spory klubowe przestały być li tylko utarczkami na gruncie literatury i estetyki. Słyszałem, że niektóre kluby przygotowują do użycia taktyczną broń neutronową. W tej sytuacji zadaniem Kongresu będzie wypracowanie czegoś na kształt „pax romana"...

– Co takiego, Romana? Chodzi panu o tę gwiazdę porno, występującą na 39C w serialu „Enjoy My Body"? To ona ma być patronką tego pokoju?

– Niech będzie i sam diabeł, ważne, aby...

– Donoszą nam, że do kosmodromu zbliżają się pierwsze wahadłowce z uczestnikami Kongresu. Pierwsi przybędą klubowicze z planety Kathor układ Silesia. Wahadłowiec podchodzi właśnie do lądowania, już jest na płycie, właz się uchyla, widać wychodzącą postać... podjeżdżamy bliżej... Tak, wszyscy go doskonale znacie, to popularny pisarz, O. Remus, za nim pcha się pękaty automat, rozrzucając wszędzie puszki piwa... to zapewne owo słynne gadające piwo, otwieramy... i co słyszymy?

– „FUCK OF!"

– Doskonałe? Panie Remus, jaką firmę tym razem pan reklamuje?

– Jest to firma „DEAD", produkująca najlepsze piwo na świecie.

– Dziwna marka – dlaczego właśnie „śmierć"?

– Ponieważ umrzesz z rozkoszy, kiedy spróbujesz.

– O, cóż to, znowu beczka piwa? Nie, to prezes SCFF – Silesian Club of Frivolous Fans – z planety Kathor. Tak, ten człowiek nie oszczędza się dla sprawy, w każdej ręce ma po dwa hot dogi. Za nim w karnym szeregu członkowie SCFF z butelkami ketchupu za pazuchami, a może to koktajl Mołotowa? Panie Kaspher, co pan sądzi o rozwoju sytuacji?

– Do czarta z nią, gdzie tu można coś zjeść?

– Prosto, a potem w prawo. Przed chwilą wylądował specjalny statek wiozący redakcję GALAKTICI. Z trapu schodzi redaktor naczelny, N. Olland. Jaki jest pana program na Kongres?

– Przede wszystkim nowy romantyzm jako metoda na przywrócenie fantastyce dawnego blasku...

– Romantyzm?! czy ma to coś wspólnego z reumatyzmem? Oto inny członek redakcji, Mr Nowhereman, co pan o tego tym myśli?

– No cóż, jestem sceptykiem. Może jeszcze sto lat temu podobny program byłby do przyjęcia, ale obecnie, gdy życie przeciętnego człowieka (co tu gadać, czytelnika SF także) ogranicza się do jedzenia, spania, TV i maszynowej masturbacji, nie może być mowy o żadnej szkole uczuć.

– Głos chce zabrać znakomity kolega Mr Nowheremana, krytyk literacki M.P....

– Niewątpliwie zasadnicze tezy są słuszne. Jednak nie widzę sytuacji tak czarno. SF powinna pójść za swoim czytelnikiem – jeśli pożąda on mechanicznych laleczek, niechaj je ma. Piszemy powieści z sexomatami w roli głównej. Życie płciowe ludzi i automatów to temat rzeka. Ba, dlaczego tam nie szukać postulowanych przez kolegów uczuć?

– Z jednego statku wynoszą kogoś w lektyce – to Andrew Earthman, autor sławnej trylogii „Cocker Wars". Podjeżdżamy bliżej. Jak widzicie, niosą go

tylko dla fanów!

cztery super sexomaty typu „Anabella", właściwie nie do odróżnienia od żywych kobiet. Co za firma wypuściła te cuda na rynek?

– To wynik koprodukcji firmy Parovsky and Co. z Sucker Corporacion. Prawda, że udany?

– O, na pierwszy rzut oka niewątpliwie tak. Czy dużo z nimi kłopotu?

– Prawie wcale. Są niezawodne. Najbardziej zachwyca ich cudowne posłuszeństwo – niech pan sobie wyobrazi, że kiedy każę się którejś zamknąć, to rzeczywiście się zamyka, i to nawet w szafie. Wie pan, jak czuję się wtedy dowartościowany!

– No tak, z żywą kobietą byłoby to raczej niemożliwe. Na tym kończymy relacje z otwarcia CCLXXI Światowego Kongresu SF. Ale nie obawiajcie się, kanał 44B bedzie obecny w czasie trwania obrad i natychmiast poinformuje o każdym ważniejszym wydarzeniu. See you later!

Wyjściowa sytuacja na Kongresie była następująca: z jednej strony skłócone ze sobą kluby (ton konfliktowi nadawały Psychodelic Society of Mad Frogs i Silesian Club of Frivolous Fans – reszta szła za nimi albo tłukła się między sobą), nad tym całym bajzlem wznosiła się redakcja GALAKTICI, usiłująca grać rolę wolnego od uprzedzeń arbitra. Całkiem z boku załatwiali swoje sprawy niezależni pisarze w rodzaju O. Remusa i różni kombinatorzy jak np. Roberto Sucker Smitton. Ale był to czubek góry lodowej – swary klubowe, panelowe dyskusje i wreszcie cały cyrk wokół wyborów „Fuckera of The Year" stanowiły efektowną przykrywkę. Prawdziwym celem Kongresu było tajne zebranie prezesów, wydawców i gigantów SF, na którym zawarto porozumienie ostatecznie sankcjonujące upadek i śmierć scence fiction. Stąd późniejsza fuzja GALAKTICI z PLAYBOY'EM nie jest, jak wielu sądzi, kwestią czystego przypadku.

Andrew Treeman
z tomu wspomnień
pt. „Shooting Games"

W SF fascynuje mnie język, jego krystaliczna czystość i przejrzystość. Onże, niczym mnemotroniczny kryształ, przechował do naszych czasów nieskażone, tradycyjne wartości literatury. Jest ostatnim szańcem broniącym się przed zalewem tandetnego eksperymentatorstwa. Lepsza już pornografia.

N. Olland

He was also very keen on spreading chocolate fudge cake all over my body and then very slowly licking it off. And I loved every minute of it! I never could decided if I liked licking or being licked best!

To rzeczywiście egzystencjalny problem na miarę XXIII stulecia

O. Remus
po przeczytaniu
niniejszego cytatu z „Cocker Wars" A. Earthmana

– Tu znowu Ed Spiderman, kanał 44 B. Jesteśmy właśnie w centrum kongresowym, w 3 sektorze IV poziomu. Mija drugi dzień Kongresu, jest 11.30. Na obstawionych straganami ulicach pojawiają się pierwsi zaspani fanowie. Zupełnie obojętni łażą między zawalonymi papierem półkami. Nieco lepiej wygląda sytuacja w salonach wideo, gdzie można obejrzeć najnowsze hity filmowej SF. Największym powodzeniem cieszy się ekranizacja „Cocker Wars", oscylująca na pograniczu czystej pornografii. Książek nikt nie chce nawet przeglądać. Zapowiada to krach ostatnich firm wydawniczych. Miejmy nadzieje, że do tego nie dojdzie, ponieważ wtedy Kongres i fandom stracą rację bytu. Kogóż to widzimy?! Poznajecie zapewne znanego giganta SF, O. Remusa, wraz z nieodłącznym automatem do rozdawania piwa. Co pańskie piwo sądzi o postawie fanów?

– „SONS of THE BITCHES!"

– Panie O. Remus, zapewne wie pan, iż jest jednym z ostatnich czytanych pisarzy. Jak pan myśli, dlaczego?

– To proste – ponieważ tylko tworzona przeze mnie literatura nadaje się do czytania. Resztę można spokojnie wyrzucić na śmietnik.

– A jednak i pańskie nakłady spadają.

– Cóż w tym dziwnego, skoro zaledwie 30% fanów potrafi jeszcze czytać. Jak tak dalej pójdzie, to za pięć lat jedyną formą przekazu będzie wideo. Pisarz stanie się wtedy scenarzystą.

– Czy kluby SF jakoś przeciwdziałają tym tendencjom?

– Klubowy fandom to towarzystwo wzajemnej adoracji. Dawno już zapomnieli po co właściwie się spotykają. Moim zdaniem obecnie fandom to lecące ku przepaści koło pchane siłą bezwładu.

– Obok od dłuższego czasu stoi prezes SCFF z Kathor, Peter Kaspher. Co pan na to, panie prezesie?

– Kluby są wieczne, zawsze były i będą. A to, że fanowie przestają czytać – no cóż, nie żądajmy od nich cudów. I tak pozostali jedyną grupą czytającą cokolwiek. Zresztą, literatura od dłuższego czasu pozostaje w stagnacji, zaś formy wideo ciągle się rozwijają. Skoro taka jest tendencja dziejów... Nie wie pan, gdze tu można dostać dobre hamburgery?

– Obok stoiska znajdujemy pałaszującego łapczywie przedstawiciela kół powiązanego z fandomem businessu, Roberto Suckera Smittona. Jakie jest pańskie zdanie o przyszłości SF?

– Hm, nie jest dobrze. Cały interes stoi pod dużym znakiem zapytania. Już teraz to wszystko znajduje się na granicy opłacalności. Potrzeba radykalnych pociągnięć – i mam nadzieję, że do nich dojdzie.

– To na razie tyle. Jutro ogłoszenie wyników plebiscytu „Fucker of The Year". O wynikach nie omieszkamy was poinformować. Pamiętajcie, włączcie jutro 44B!

W fantastyce najbardziej pociąga mnie fakt, że pozostała jedynym gatunkiem literackim, na którym jeszcze można zrobić forsę. The rest is fuck!

Ralph A. Zimnitz

Nikt tego wyraźnie nie powiedział, ale CCLXXI Kongres był utajonym krzykiem rozpaczy. Nakłady spadały przerażająco, kluby rozwiązywały się jedne po drugich, reszta była pochłonięta frakcyjnymi walkami. Jeszcze dziesięć lat temu w kongresie uczestniczyło dwa tysiące klubów. Obecnie jest ich niespełna dwieście. W najbliższym czasie fandomowi grozi samorzutny zanik.

Oczywiście, wywołało to kontrakcję ze strony sił żywotnie zainteresowanych w istnieniu fandomu, tzn. wydawców, pisarzy, prezesów i oczywiście krytyków literackich, zagrożonych zagładą totalną. Rzecz cała rozegrała się za kulisami Kongresu, na tajnej naradzie u Schat-Mata. Skonfrontowano dwie koncepcje: „nouveau romanesque" N. Ollanda i SForno M.P. Dziś wiemy, kto wygrał.

Andrew Treeman
„Shooting Games"

W fantastyce najbardziej pociągające są możliwości gatunku – przede wszystkim możliwość kreowania dowolnych wizji, od najbardziej świętych do zupełnie zboczonych. Preparujemy je z wyobraźni bądź rzeczywistości i odpowiednio wzbogacone rzucamy na pożarcie czytelnikom. Smacznego.

Andrew Earthman

Oczywiście, że możemy tu sobie przez następne pięćdziesiąt lat dyskutować nad wyższością formy nad treścią, bądź odwrotnie, ale na cóż to czynić, skoro mózg czytelnika przypomina parujące bagno! Tradycyjne wartości literatury są mu równie obce jak, dajmy na to, fakt istnienia lub nieistnienia Marsjan. Pozostały tylko umieszczone na najniższych poziomach instynkty: głód, strach, nienawiść i seks. Jeśli literatura ma w ogóle egzystować, powinna to podjąć i umiejętnie eksploatować. W przeciwnym razie wszyscy jak tu jesteśmy możemy szukać posad wikidajłów z porno saloonów i czyścicieli butów. Innego wyjścia nie widzę.

z „Writing and Fucking
in The Future",
referatu-manifestu
wygłoszonego
na tajnym zebraniu pisarzy,
krytyków i prezesów w czasie
Kongresu

Jedyne, co mnie cieszy w związku z tzw. końcem SF, to likwidacja krytyki literackiej. SForno jest tematycznie i intencjonalnie na tyle sprecyzowane, że nie potrzebuje żadnych dobrych rad od PANÓW CO WSZYSTKO WIEDZĄ LEPIEJ – dzisiaj nikt nie potrzebuje wyższego błogosławieństwa, aby się dobrze (...)

O. Remus
po zakończeniu Kongresu

Roberto Sucker Smitton: Panowie, ja oświadczam, iż z chwilą dzisiejszą przestaję dokładać do interesu. SF od początku była planowana jako medium reklamowe dla moich produktów, ale co to za medium, które na nikogo nie działa. Dalsze wydawanie na to pieniędzy zakrawa na filantropię, a tym się nie zajmuję.

M.P.: Po co te nerwy, panie Smitton, spróbujmy dojść do porozumienia. Myślę, że jeśli przyjmiemy proponowaną przeze mnie koncepcję, to pańskie problemy przestaną istnieć. Przyłączenie się do fali sexomatycznej rewolucji jest naszą ostatnią szansą!

A. Newhereman: Najważniejsze jest, że czy coś zrobimy, czy nie, scence fiction jako literatura przestanie istnieć.

N. Olland: Może jednak spróbować wstrząsnąć sumieniami, sięgnąć do tajnych zakamarków duszy.

Andrew Schat-Mat: Ba, kiedy oni od dawna nie mają wyższych funkcji umysłowych, a tym bardziej duszy. Z fana wyrósł nam konsument. I albo z tego faktu skorzystamy, albo... To have or not to have!

O. Remus: Ważne, aby w ogóle ostała się jakaś forma piśmiennictwa. Przyszłość to wielka niewiadoma – i być może za sto lat literatura się odrodzi... z tym, że po drodze będą być może musieli wynajdywać alfabet?

Peter Kaspher: Z tego rozumiem, że wszyscy przystajemy na propozycję pana M.P. Doskonale. Wysłuchanie referatu programowego proponuję przełożyć na porę poobiednią. Siedzimy tu już od śniadania.

(zakulisowe rozmowy
wydawców,
krytyków i pisarzy)

I'm sitting there getting a hard-on, because she's a real doll. Les gets cock aut, pushes her knickers to one side. So I go round the other side. There's the two of us with her in the middle ficking like rabbits. Really horny.

Andrew Earthman
„Cockers Wars"

Fantastyka naukowa to rzecz nie mająca już wiele wspólnego ani z nauką, ani fantastyką i tym bardziej literaturą. W związku z czym uprawianie jej

ylko dla fanów!

przestało być zabawne – miejmy nadzieję, że być może stanie się intratne.

Vick Żwik-Mik

Z grubsza ma to wyglądać tak: przy zachowaniu tradycyjnego kostiumu SF, tzn. realiów życia codziennego, wprowadzamy nową tematykę, mianowicie rozmaite aspekty płciowej aktywności człowieka. Nie myślę tu o ograniczeniu się do gatunku ludzkiego, ale i o rozszerzeniu kręgu zainteresowań na automaty seksualne, czyli coraz popularniejsze sexomaty (to z zamiarem spełnienia życzeń naszych sponsorów, producentów inwestujących w Sex Machine). W związku z tym rysuje się problem rozbicia na dwa podstawowe nurty literackie, „homo" i „mechano". Można by jeszcze pomyśleć o trzecim, obejmującym kontakty ludzi z niezіemcami, ale to sprawa bardzo delikatna, ze względu na istniejące od dawna fobie rasowe (vide potężny ruch anty-samnicki). Z czasem, gdy obyczaje nieco złagodnieją, będzie to możliwe.

M.P.
„Writing and Fucking in The Future"

– Witajcie, to znowu ja, wasz Ed Spiderman z 44B. To, co za mną widzicie to zgliszcza centrum kongresowego. Zaczęło się od manifestacji członków i zwolenników SCFF, bezwzględnie żądających przyznania tytułu „Fucker of The Year" swemu prezesowi. Peter Kaspher usiłował protestować, ale został zakrzyczany przez zwolenników. Na manifestację uderzyła silna grupa Mad Frogsów, usiłując za pomocą lekkich miotaczy laserowych wypchnąć SCFF poza teren kongresu. Ci odpowiedzieli konwencjonalnymi granatami, czego efekt widzicie na ekranie. Zanim do akcji weszły siły bezpieczeństwa, zniszczono znaczną część sektora. W chwili obecnej trwają jeszcze walki na orbicie, gdzie członkowie antagonistycznych klubów opanowali kilka wahadłowców. Relacja z tego za kilkanaście minut.

Sama nazwa – scence fiction – jest już od dawna nieaktualna. Gdzieś od połowy zeszłego stulecia gatunek systematycznie tracił swe cechy definicyjne – nic w tym dziwnego, skoro to co kiedyś było fantastyczne stało się nagle rzeczywiste. Fantaści nie wytrzymali wyścigu z gnającą do przodu teraźniejszością. Zawiodła ich pisarska wyobraźnia, podstawa egzystencji gatunku. Cokolwiek któryś z nich wymyślił, zaraz okazywało się, iż gdzieś tam rzecz dawno zrealizowano w praktyce. Rzeczywista przyszłość była szybsza od wymyślonej. Proza życia prześcignęła najbardziej wymyślne fantazje – świat stał się tak złożony i skomplikowany, że przerosło to możliwości definicyjne gatunku. Stąd i ekstrapolacje w przyszłości przestały być możliwe. Każda wyobraźnia startuje od rzeczywistości.

Od tego też momentu SF ewoluuje w kierunku tradycyjnej prozy obyczajowej (o psychologicznej nie wspomnę, ponieważ od dawna nikt jej nie rozumie), którą wchłonęła i zastąpiła. Jednocześnie zaczęła w coraz większym stopniu nasiąkać pornografią. Ostatni istniejący gatunek literacki rozpoczął desperacką walkę o przetrwanie. Dziś wiemy, że przegrał. Potomek scence fiction, SForno, ma z nią wspólne tylko dwie pierwsze litery.

A. Nowhereman
„The End of Scence Fiction"

– I ta efektowna eksplozja ostatniego posiadanego przez Mad Frogsów wahadłowca kończy naszą relację z CCLXXI Światowego Kongresu SF. Wielka szkoda, że na zakończenie nie przedstawiliśmy wywiadu z aktualnym „Fuckerem of The Year", ale z powodu znanych wam wypadków nie doszło do wyborów. Miejmy nadzieję, że w przyszłym roku wszystko odbędzie się normalnie. Przypominamy o zwróceniu szczególnej uwagi na nasz program na początku następnego tygodnia – będziemy transmitować otwarcie I Galaktycznego Zjazdu Producentów Porno i Sex Machine. Wszystkie interesujące szczegóły przedstawi Ed Spiderman, wasz ulubiony prezenter z 44B.

No cóż, CCLXXI Kongres był ostatnim. Więcej fandom się nie zebrał – nie było po co. Kluby zostały przekształcone w stowarzyszenia miłośników sprzętu autoseksualnego lub grupowego „body art". Porno jest dziedziną na tyle uniwersalną i żywotną, że nie trzeba dla jej utrzymania tworzyć specjalnego zrzeszenia w starym stylu. Między Porno a SForno wciąż następuje unifikacja – obie te dziedziny konsekwentnie zmierzają ku jedynej, n a g i e j prawdzie.

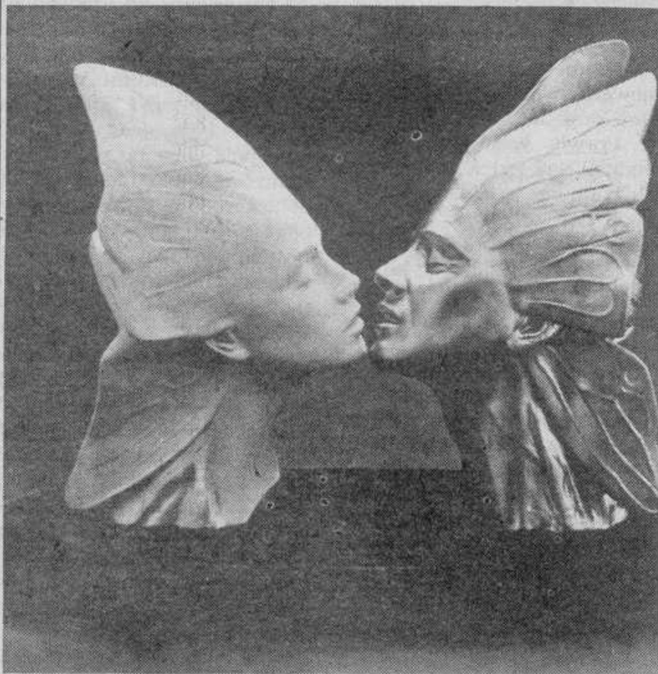
Andrew Treeman
„Shooting Games"

Scence and Fiction, Inc., specjalistyczna firma, produkująca wysokiej jakości sexomaty, bardzo chwalone przez znawców. Założona w Vorsoville w 2290 roku przez grupę skupioną wokół Roberto Suckera Smittona. Zasięg galaktyczny, ekspozytury we wszystkich ważniejszych stolicach. Najbardziej popularny model – „Sexony 5", 2388; dawniej prawdopodobnie jeden z gatunków literackich.

„Ilustrated Encyclopedia Sexualis"
Vorsoville 2391

Jacek Inglot

Siudmak •004•





Stefania Beylin

Ludwik Sztyrmer – niesamowity, dziwaczny, szalony

Zadymiona kawiarnia na Podwalu. Przy stolikach, w dymie fajek, nad wazami ponczu, siedzą panowie w rajtfrakach, skrojonych według mody czterdziestych lat XIX w. z chustkami, zawiązanymi na szyi. Na świecie późna jesień, koniec listopada. Pada deszcz, pomieszany z topniejącym śniegiem. Latarnie, targane jesiennym wichrem, kołyszą się, światło migoce i gaśnie. Przechodnie z podniesionymi kołnierzami płaszczów, w kaloszach, pod parasolami, biegną szybko. Dorożkarze klną głośno, przemarznięci do szpiku kości.

★

Na ulicy Miodowej, przed kawiarnią Loursa, jakiś mały, dziwny człowieczek w szarym fraku i trójgraniastym kapeluszu, wyjmuje z kieszeni teleskop i zaczyna spoglądać w niebo. Wokół niego zebrał się tłum ludzi, wszyscy patrzą w górę, zaciekawieni tym, co widzi dziwny staruszek. Wówczas nieznajomy usuwa się z tłumu i z uśmiechem zaczyna przypatrywać się gromadzie gapiów.

Któż to był ten dziwacznie ubrany człowieczek? To Frenolestes, szatan w ludzkiej postaci, ukazuje się czasem jako światowy elegant, innym znów razem jako żebraczka o kuli. Jego rezydencją jest Dom Bonifratrów, przy ulicy Freta. Frenolestes mąci ludziom mózgi i ofiary swe umieszcza w domu wariatów. Oto już wybrał ofiarę spośród gromady gapiów. Zbliżywszy się do jednego z nich, po krótkiej rozmowie zaprosił go do Hotelu Chovot na dobre śniadanko.

★

Na licytacji obrazów przy ulicy Świętojańskiej zjawia się młodzieniec, który wyglądem swym i zachowaniem zwraca powszechną uwagę. Ubrany wprawdzie według ostatniej mody, ale chustkę ma szkaradnie przekrzywioną na szyi. Rajtfrak cokolwiek za ciasny, pomięty kapelusz i koślawe obcasy butów. Młodzieniec ten, strojąc dziwaczne miny, wpada na salę, gdzie odbywa się licytacja, i zatrzymuje się przy kratkach, obok jakiegoś staruszka, pragnącego nabyć portret młodej dziewczyny o czarnych oczach.

Młodzieniec ten, to pan Chryzanty Dewilski, dziwak, fantasta, lunatyk i mistyk, wielbiciel Beethovena i Mozarta. Przyjściu jego na świat towarzyszyły dziwne, tajemnicze wypadki. Stara czarownica Makryna wywróżyła nowo narodzonemu dziecięciu, że życie jego nie upłynie zwykłą koleją. Pan Chryzanty zakochał się w czarnych oczach z portretu, wizja tych oczu prześladuje go bezustannie. Te oczy należały kiedyś do niedawno zmarłej, młodej dziewczyny. Za to, że za życia strzelała swymi ślicznymi oczami do młodzieńców, po śmierci musi pokutować tak długo, aż ktoś się nie zlituje i nie weźmie z oczami jej ślubu. I oto, pewnej zimowej nocy, pan Chryzanty we śnie bierze ślub z tajemniczymi oczami z portretu. Od tej chwili pozbywa się wizji i wybawia zmarłą od pokuty.

★

W redakcji jednego ze znanych dzienników warszawskich zdarzył się niezwykły wypadek. Oto w biały dzień zebranym dziennikarzom zjawił się jakiś dziwny człowiek, olbrzymiego wzrostu, chudy jak tyka, o czarnych włosach, spadających w pierścieniach na ramiona, o czarnych brwiach, złączonych w jeden łuk. Tajemnicza ta postać wywarła wielkie wrażenie na zebranych. Żaden z dziennikarzy nie przemówił ani słowa. Nieznajomy poruszał się powoli, jak gdyby w uśpieniu. Długą chwilę milczał, utkwiwszy przenikliwe spojrzenie w obecnych. Aż w końcu przemówił. Mówił długo, wśród śmiertelnej ciszy. Opowiadał o swej wiekowej tułaczce po świecie, o wszystkim, co przeżył w ciągu wieków.

Któż to był ten człowiek, który żyje wieki, i wciąż spocząć nie może? – To Żyd, wieczny tułacz, niestrudzony wędrownik i pokutnik, półczłowiek, półduch. A któż spośród zebranych redaktorów tak chciwie chwytał każde słowo tajemniczego gościa? Jakiż to młodzieniec pobladły, z zapadłymi policzkami. To pan Florian, mistyk, marzyciel, fantasta, lunatyk i suchotnik.

★

Na Krakowskim Przedmieściu wybudowano piękny zameczek. To czarnoksiężnik włoski Pandolfini, genialny mechanik, wynalazł cudowną maszynerię, która sprawiła, że na zamku dzieją się cuda. Kurantowy zegar w gabinecie połączony jest tajemną maszynerią ze schowkiem, który przy naciśnięciu guziczka zapada się w lochy. W ten sposób wtrącił zazdrosny, okrutny mąż do lochu rzekomego kochanka swej młodej i niewinnej żony.

★

Wyrasta przed nami cała gromada dziwaków, fantastów, obłąkańców – groteskowy tłum, jakby wyjęty z powieści E.T.A. Hoffmanna. Na tle ulic dawnej Warszawy ukazują się dziwne typy: stare, pomarszczone kobiety i dziwaczni starcy. Skąd się wzięły te wszystkie postaci? Czy to figury woskowe z panoptikum? Czy obrazy, rzucane przez magiczną latarnię? Czy fragmenty nikomu nie znanych, świeżo odkrytych opowiadań? A może to jakiś nowy film fantastyczny, pełen niezwykłych wydarzeń, rozgrywających się na tle starych ulic Warszawy?

Wszystkie te obrazy to ilustracje do utworów Ludwika Sztyrmera, prawie zapomnianego autora polskiego. Ten powieściopisarz, romantyk, owijający się jak bluszcz dookoła cudzych utworów, przepojony lekturą wszelkiego rodzaju, namiętny wielbiciel fantastyki E.T.A. Hoffmanna, uczeń Akademii Wojskowej w Petersburgu, współpracownik „Tygodnika Petersburgskiego", krytyk literacki i polemista, napisał wiele powieści, które stanowią dziwną mieszaninę wierzeń ludowych, fantazji zapożyczonej bezceremonialnie od romantyków niemieckich, kabały żydowskiej, pism Albertusa Magnusa, polskiej poezji romantycznej. Cytuje poetów polskich i obcych, dawnych i współczesnych. Porusza wiele zagadnień aktualnych w swej epoce, jak na przykład magnetyzm zwierzęcy, któremu poświęcił artykuł, drukowany w „Pamiętniku umiejętności moralnych i literatury" w roku 1830. Przedstawiając magnetyzerów i ich metody leczenia, wyśmiewa ludzi bez talentu, którzy za wszelką cenę chcą wejść do literatury, drwi z kobiet studiujących filozofię, a zaniedbujących obowiązki macierzyńskie.

Sztyrmer patrzy na swe utwory z ironicznym uśmiechem, przez co wznosi się niejako ponad własne dzieła. Ironia romantyczna, tak bardzo charakterystyczna dla epoki, objawia się w ciągłym ujawnianiu iluzji poetyckich i ukazywaniu zakulisowej roboty autora.

Świat fantazji zlewa się u Sztyrmera z realnym światem codziennego życia. Nierealne postacie działają na gruncie rzeczywistym, na tle istniejących ulic Warszawy. Bielany w Zielone Świątki, Ogród Saski, Powązki, Dom Bonifratrów przy ulicy Freta, kawiarnie, restauracje, bale, a jednocześnie duchy zmarłych, zaklęte zamki, szatany, czarownice. Jedne i te same zjawiska należą do świata fantastyki i rzeczywistości. Zależy tylko czy spojrzeć na nie oczami zwykłego filistra, czy też oczami poety lub czarodzieja. Świat ducha i materii leżą tuż obok siebie. Tylko nieliczni spostrzegają rzeczy duchowe, których inni dojrzeć nie mogą. Gdy bohater powiastki „Czarne oczy" Chryzanty Dewilski, dręczony wizją czarnych oczu z portretu, na pytanie pani domu, co mu dolega, odpowiada: – *Oczy, zawsze oczy* – jeden z gości, otyły jegomość w peruce, poczciwy filister, wtrąca się do rozmowy: – *Pan cierpisz na oczy? Ja mam wyborne specyficum od tej dolegliwości... – A jaka to szkoda, że to dobre tylko dla tych, których oczy bolą* – mówi Chryzanty. A na to ten: – *Pocóż panu lekarstwo na zdrowe oczy?* A Chryzanty: *Właśnie, właśnie, potrzebuję go dlatego, że moje oczy zanadto widzą. Przez to serce mnie boli i głowa wariuje.*

Obłąkańcy to nie ludzie chorzy, ale szaleńcy, przerastający sercem i wyobraźnią swe otoczenie. Obłęd to boska głupota. Nawet ci zamknięci u Bonifratrów widzą prawdy, niedostępne ludziom normalnym i trzeźwym. Człowiek obłąkany działa jakby wyswobodzony od zmysłów. Powieść „Frenofagiusz i Frenolesty" oparta jest na motywie obłędu. Obłąkani bohaterowie powieści mówią prawdy, których tak zwani normalni i rozsądni ludzie nie mogą pojąć. I na odwrót zdrowy rozsądek okazuje się fałszem.

Sztyrmer zdaje sobie sprawę, że jego pogląd na obłęd nie jest oryginalny, ale że powstał pod wyraźnym wpływem romantycznej mody. *Wyborny to był chłopiec, tylko miał w sobie malutką skłonność do wa-*

Stefania BEYLIN

Nestorka polskiej krytyki (ur. 1900), autorka wielu artykułów dotyczących literatury romantycznej, historii filmu (książka: „O cudach, czarach i uplorach ekranu", 1957), a przede wszystkim znakomita tłumaczka baśni Andersena. Twórczość Ludwika Sztyrmera była i jest jej życiową pasją – o autorze „Frenofagiusza.." pisała już pracę doktorską pod kierunkiem prof. Łempickiego (1927). W „Fantastyce" nr 8/86 drukowaliśmy esej Stefanii Beylin „O fantastyce baśni". Szkic przedstawiany obecnie powstał również na nasze specjalne zamówienie.

(an)



riacji, którą zresztą uważa się w naszym romantycznym wieku za cechy prawdziwego rozumu. („Czarne oczy")

Ciągle powracający motyw przeciwstawiania obłąkańców, wygłaszających w ekstazie prawdy ludziom przyziemnym, światowym salonowcom, był dość częstym w powieści polskiej przed Sztyrmerem. Zwłaszcza powtarzał się w powieściach kobiecych. W obłęd popadają najczęściej kobiety pod wpływem nieszczęśliwej miłości. W powieści Mostowskiej, Jarczewskiej, a również u Kraszewskiego i Korzeniowskiego obłąkane rodzone siostry Ofelii opisane są poetycznie, kochają i cierpią z powodu brutalności i oschłości serca. Rezultatem tych cierpień są suchoty lub obłęd. Miłość szczęśliwa jest rzadkim zjawiskiem u Sztyrmera. Miłość, pełna nieporozumień, bólu i mąk, miłość bez urzeczywistnienia, pozostaje jedynie w sferze tęsknoty i nigdy nie wychodzi poza marzenie. Wraz z zaspokojeniem tęsknoty, rozwiera się obraz ukochanej. Miłość romantyczna osiąga najwyższy stopień w miłości artysty, dla którego ukochana pozostaje idealnym obrazem, nie da się ściągnąć do świata rzeczywistego. Artysta, poślubiwszy kobietę, którą kocha, przestaje widzieć w niej swój ideał. Miłość idealna nie ma nic wspólnego ze zmysłami, jest jakimś wyższym uczuciem. Tak kocha bohater powieści „Kataleptyk": *Miłość moja równie jest dziwna i pełna tajemnic, jak całe moje życie, nie może być podobna do światowych namiętności, które rodzą się nagle na balu lub na pikniku, a potem niebawem giną i obracają się w truciznę. (...) Nie jest to namiętne uczucie, którego ostatecznym celem jest nierozłączne życie kochanków na ziemi, lecz to słodkie i tęskne pragnienie, aby razem z ulubioną osobą dojść do grobu, żeby w lepszym świecie nigdy się z nią nie rozłączyć.*

Nieokreślona tęsknota romantyczna znajduje ujście w muzyce. U Sztyrmera muzyka odgrywa ważną rolę, przytacza on te same utwory muzyczne, co Hoffmann („Don Juana" Mozarta, „Septuora" Beethovena). Sztyrmer odróżnia muzykę światową, która jest jedynie rozrywką, od muzyki poważnej, która wyraża najwznioślejsze, nieziemskie uczucia. Kontrast tych dwóch poglądów na muzykę podkreślony jest w powieści „Kataleptyk" w rozmowie dwóch przyjaciół. Jeden z nich Florian, to mistyk, dziwak, drugi Maurycy – pusty światowiec. Maurycy zagrał wyjątek z opery „Don Pasquale" Donizettiego. Na zapytanie Floriana jak mu się ta melodia podoba, Maurycy odpowiada, że jest to najnowsza i najmodniejsza kompozycja tego autora. – *W każdym salonie ją usłyszysz.* – *Na miłość Boga* – odpowiada Florian – *czy wcale nie masz własnych myśli i uczuć, czy tylko dla kopiowania drugich żyjesz na świecie? Chcesz poznać prawdziwą muzykę? Weź fugi i sonaty Bacha, „Alcesta i Armidę" Glucka, „Stworzenie świata" Haydna, „Symfonię pasterską" Beethovena, a szczególnie „Don Juana" Mozarta. To olbrzymie dzieło muzyki, a może i wszystkich sztuk pięknych...*

Zgodnie z modną wówczas techniką powieściową Sztyrmer ujmuje swoje utwory w ramy fikcyjnego rękopisu starych papierów rodzinnych, odnalezionych przypadkowo, a należących do pana Wincentego, przezwanego „Pantoflem". Ten fikcyjny rękopis jest od czasu do czasu przerywany, następują kropki i autor tłumaczy, że swawolna kuzyneczka podarła drogocenny papier na piloty albo że służący podpalił następnymi kartami drewko pod kominkiem.

Lekarze w twórczości Sztyrmera przedstawieni są jako typy zmaterializowanych niedowiarków. W powieści „Trupia główka" przedstawia autor rozmowę medyka z księdzem, odzwierciedla tam zagadnienie przewagi uczucia i wiary nad rozumem i materią. Wielu filozofów i przyrodników tego okresu zajmuje się w Niemczech problemami, które nazywają „Nachtsite der Natur" (mrokiem natury). Światło księżyca zastępuje w utworach Sztyrmera blask słońca i stwarza nastrój grozy. Wizje powstające pod wpływem ponczu, opium, majaczenia w gorączce, wszystko to bliskie jest romantykom niemieckim... *Arak i wino paliły się jasnofioletowymi płomieniami (...). Za każdym poruszeniem łyżki w wazie wybuchały i przelewały się na tym fioletowym tle ogniste wstęgi (..), a cukier gorzał z szumem, podobny do syczenia żmiji.* Niespokojna ruchliwość świateł, chwiejny płomyk świecy, mgła otulająca wszystkie barwy, mrok późnego wieczoru lub nocy – to ulubione obrazy, które wprowadzając w nastrój, poprzedzają jakieś niezwykłe wydarzenia.

Oto jak Sztyrmer opisuje w „Kataleptyku" wieczór sylwestrowy: *Powietrze wilgotne, ciężkie, wpadało do piersi jak struga żywego srebra. Deszcz drobny, lecz ostry, siekł w twarze idących po ulicy, jakby garściami rzuconych szpilek, a na domiar utrapienia na bruku leżało obfite błoto. Rok kończył się brzydotą, jak imbryczek kawy fusami.*

Powieści Ludwika Sztyrmera są zbiorem rekwizytów romantyczności. Pociąg do wszystkiego, co niesamowite, zagadkowe, do chorobliwych stanów, do mistycznych, dziwacznych bohaterów, wyróżniających się wyobraźnią, ponad otoczenie, obrona uczucia, potępienie chłodnego rozsądku, suchej wiedzy i życia materialnego, a także motywy fantastyki ludowej, groza duchów i upiorów, pokuta za winy przodków, apoteoza życia duchowego i idealnej miłości, cały splot snów, wizji, przeczuć – to świat fantastyki Sztyrmera.

★

Ludwik Sztyrmer urodził się w roku 1809 w Płońsku na Mazowszu, jako syn lekarza wojskowego, Niemca z pochodzenia. Studiował w wojskowej Szkole Aplikacyjnej w Warszawie. Jako podporucznik artylerii został skierowany do pułku w Kozienicach. Wraz ze swym pułkiem brał udział w bitwie grochowskiej, ale wkrótce potem zmienił swój stosunek do powstania listopadowego. W roku 1832 wstąpił do wojska rosyjskiego. Studia wojskowe uzupełnił w Petersburgu i w randze pułkownika sztabu generalnego został naczelnikiem wydziału w departamencie osad wojennych. Jako pisarz przybrał pseudonim Eleonora Sztyrmer (imię i nazwisko żony). Pierwszy utwór beletrystyczny to opowiadanie „Pantofel, historia mego kuzyna". W rok później ukazały się „Urywki z pamiętnika oryginalnie wychowanej kobiety". Następne utwory to „Dusza w suchotach", „Frenofagiusz i Frenolesty", „Kataleptyk – powieść nieboszczyka Pantofla", „Światło i cienie", „Noc bezsenna". W roku 1908 ukazał się w Warszawie „Wybór pism nieboszczyka Pantofla". Ten „Pantofel" powraca często w utworach Sztyrmera.

★

Umiera Sztyrmer w roku 1886 w Wilnie w szpitalu dla psychicznie chorych. Nie uniknął obłędu, któremu tak wiele miejsca poświęcił w swych utworach. Frenolestes nie porwał go do Domu Bonifratrów przy ulicy Freta w Warszawie.

Stefania Beylin

Dans beaucoup de cas de folie, le desordre ne porte que sur un seul objet (idées fixes) l' homme pouvant être en jouissance de sa pleine et entiére raison à tous les autres égards[1]

Hufeland

On a dit avec raison que l' histoire de la civilisation pourrait être par l'histoire des monomanies[2]

Andral

III Zakład

... Artur w młodości służył w artylerii. Pewnego wieczora w małym miasteczku, w którym bateria od kilku dni zajęła kwatery, młodzi oficerowie w kłębach dymu od fajek, przy stoliku zastawionym węgrzynem, przy brzęku szklanic i mdłym blasku łojowych świec rozprawiali o młodej guwernantce przy córkach pana burmistrza i jednomyślnie zgadzali się na to, że ma serce z kamienia, dlatego, że nie pozwoliła żadnemu z nich prawić sobie duserów.

„No, już tej to nikt nie rozromansuje! – krzyknął jeden z artylerzystów, dopijając szklanicy – ona cała napchana moralnością, jak gęś jabłkami!"

„Ani myśleć o tym!" – zawołali drudzy chórem.

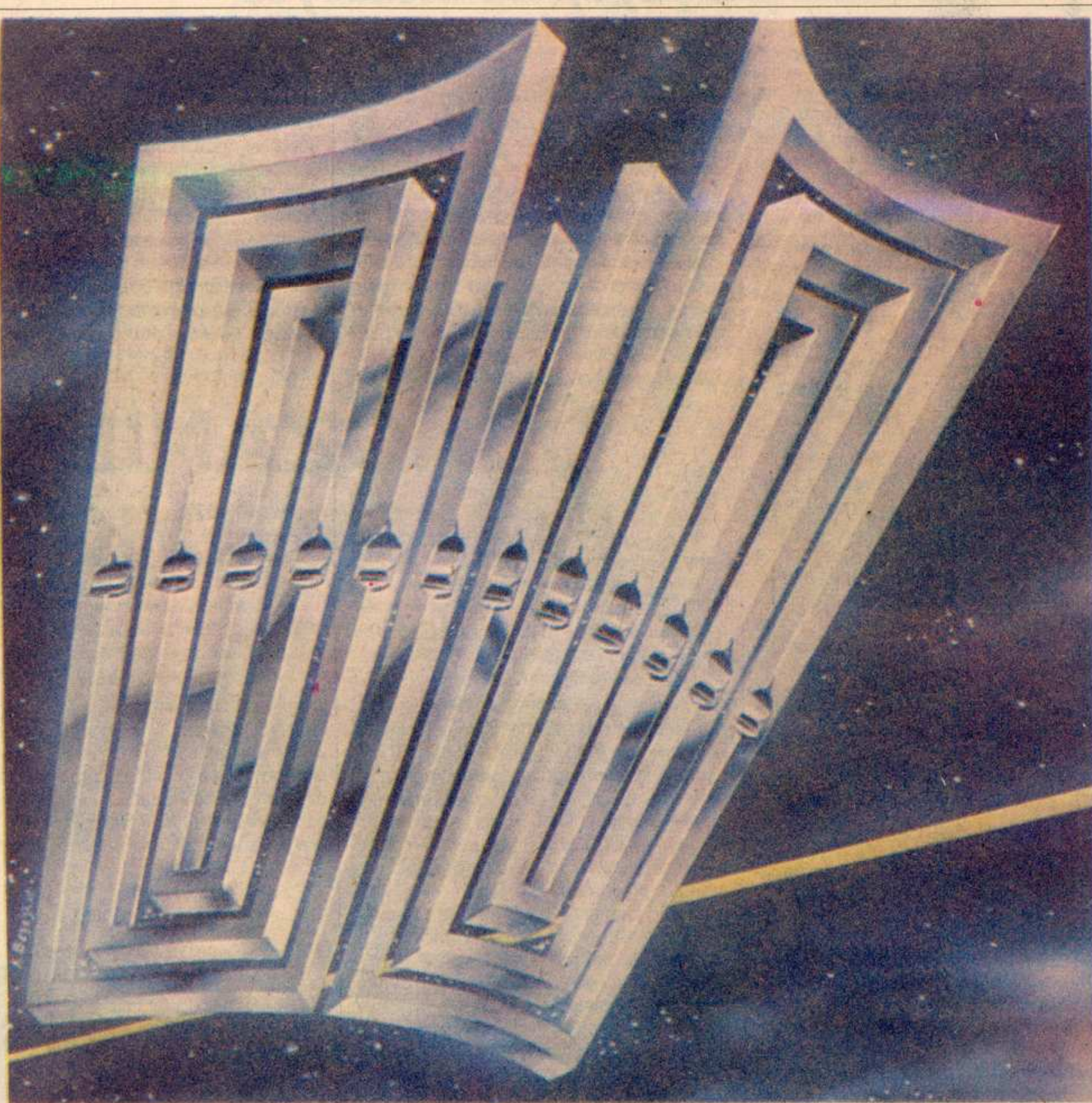
Wtem Artur, który dotąd nie mieszał się do ich rozmowy, paląc sobie fajkę w milczeniu, wstał ze swego miejsca i wypuściwszy z ust długą strugę dymu, rzekł obojętnie:

„Założcie się ze mną, że ja ją rozromansuję. A żebyście z pewnością wiedzieli, co rozumiem pod tym słowem, to powiadam wam wyraźnie, że za kilka miesięcy ona będzie szalenie we mnie zakochana, a ja zostanę takim, jakim dziś jestem. Żądam od was tylko sekretu".

„Brawo! brawo! – krzyknęli koledzy. – Zobaczymy!" I zaczęli grać w karty.

Nazajutrz odwiedziwszy burmistrza, Artur spytał Elizę nawiasem czy nie życzy sobie książek do czytania? Rozumie się, że Eliza z wdzięcznością przyjęła tę propozycję. Tego też tylko było trzeba Arturowi. Plan jego był prosty, ale okropny, piekielny. Przygotował już katalog dzieł, którymi zamierzał stopniowo, ostrożnie i systematycznie zepsuć serce i zaćmić rozsądek biednej dziewczyny. Postanowił zacząć od serca, dlatego, że ono jest w kobiecie placówką jej anioła stróża. Dopóki serce nie zepsute, kobieta instynktem wynagradza sobie niedołężność umysłu i czuje, co jest złe, chociaż nie rozumie dlaczego. Dla dopięcia pierwszego celu Artur dawał Elizie romanse, powieści, zacząwszy od najniewinniejszych, aż do... i niżej, starając się, aby następne dziełko było zawsze więcej zajmującym i więcej gorszącym niż poprzedzające. Kiedy Eliza nabrała już więcej odwagi, że mogła połknąć ostatnią powieść nie udławiwszy się, Artur nieznacznie przeszedł do drugiej kategorii i zaczął jej dawać naprzód filozoficzne romanse, a potem filozofię XVIII wieku. Oprócz tego środka Artur używał bardzo mało innych. Był zawsze zimny z Elizą, nie mówił jej żadnych komplementów, czasami tańczył walca albo galopadę i kiedy niekiedy mówił o innych kobietach:

„Śliczna osoba! szkoda tylko, że cała pachnie moralnością! – I tego dosyć było! Oczekiwania jego sprawdziły się i przeszły nawet za tę granicę, którą im zaznaczył. Eli-



Andrzej Brzezicki

FRENOFAGIUSZ I FRENOLESTY

za była nie tylko rozromansowana, ale, co gorzej, zgubiona! Wygrawszy zakład, obojętnie ją porzucił i biedna dziewczyna utopiła się z rozpaczy i wstydu.

Dziwna rzecz! Ledwie Artur dowiedział się o tym opanowała go najgwałtowniejsza zgryzota. Taż sama osoba, która za życia była dla niego obojętną igraszką chwilowego szału, stała mu się drogą po śmierci. Nazywał siebie niegodziwym człowiekiem, zbrodniarzem, zabójcą, widział cień Elizy, wyrzucającej mu jego okrucieństwo i kładący na jego czole przekleństwa. Żal, żal głęboki niewypowiedziany szarpał mu serce i przesmykał się po nim jak jadowita żmija; harpia rozpaczy piekielnymi płomieniami paliła mu mózg bez ustanku. Życie mu obmierzło.

Wyjechał z kraju do cudzej ziemi, gdzie była wojna, gdzie można było znaleźć śmierć, ale kule oszczędziły Artura, jakby wiedząc, że głowę jego kruszą myśli zgubniejsze od pocisków największego rozmiaru. Tam przy biwacznych ogniach, w krwawych bojach, na bankiecie śmierci poznał szlachetnego młodzieńca, który pojął jego cierpienia i którego przyjaźń coraz więcej stawała mu się drogą, lecz ta gwiazdka nadziei ledwie weszła na jego ciemnym niebie, wraz i zgasła.

W bitwie pod X., bateria, w której służył, stała kilka godzin w najokropniejszym ogniu, śmierć grasowała swobodnie, ludzie padali jak kłosy pod sierpem żniwiarza. Artur patrzał na swego przyjaciela i cieszył się, że go kule mijały, młodzieniec spostrzegł to, zbliżył się do niego i podał rękę w milczeniu, ale nim ją odjął, nieprzyjacielska kula położyła go na miejscu i krew jego bryznęła na twarz Artura.

„Przekleństwo!" – krzyknął Artur, i jak szalony biegł do armaty, ażeby sobie głowę roztrzaskać o spiż, lecz sam osłabiony kontuzją, padł na ziemię bez zmysłów. Po skończonej bitwie zostawiono go w domu jednego z okolicznych obywateli, który go polubił, pielęgnował w chorobie, był dla niego ojcem i przyjacielem i nareszcie doprowadził do zdrowia. W wigilię wyjazdu Artura z tego domu, gospodarz umarł od apopleksji!

Nieszczęśliwy wrócił do kraju i osiadł samotny w rodzinnej wiosce, nie dopuszczając do siebie nikogo z obawy, żeby przekleństwo wiszące nad nim nie było zgubnym dla drugich. Tak przeżył kilka lat, oddawszy się zupełnie religii i naukom, wspierając nieszczęśliwych z daleka, lecz nie widząc nikogo. Wtem siostra jego została wdową i nie wątpiąc o tym, że znajdzie przytułek u brata, który ją z samego dzieciństwa mocno kochał, wybrała się do niego. Lecz właśnie kiedy wjeżdżała w dziedziniec domu, pękła oś u kocza, nieszczęśliwa wypadła i roztrzaskała sobie głowę o kamienie. Ten okropny wypadek stargał do reszty słabą nitkę, na której trzymał się rozum Artura...

L. Sztyrmer, Pantofel, Frenofagiusz i Frenolesty (pierwodruk: Rocznik Literacki, Petersburg 1843). Wyd. Poznańskie, Poznań 1959, wybór ze stron 113–117.

---

[1] W wielu wypadkach szaleństwa zaburzenia odnoszą się do jednego tylko przedmiotu (idées fixes), przy czym człowiek może pod każdym innym względem posługiwać się pełnym i nienaruszonym rozumem

[2] Słusznie powiedziano, że z historii monomanii można by stworzyć dzieje cywilizacji

2 listopada 1987 r. odszedł od nas Marek Wydmuch. Tak nagle, niespodziewanie dowiedzieliśmy się o jego śmierci. Nie wierzyliśmy. Bo w tę śmierć trudno było uwierzyć.

Miał zaledwie 38 lat.

Urodził się w Warszawie w 1949 r. W 1972 r. ukończył germanistykę na Uniwersytecie Warszawskim. Tam też pracował naukowo do 1977 r. Redagował „Kulturę" (od 1979 do 1981 r. był stałym członkiem zespołu), publikował artykuły i teksty krytyczno-literackie. Od 1978 do 1984 r. był lektorem-doradcą w sprawach literatury niemieckiej w wydawnictwie „Czytelnik". Później – kierownikiem Redakcji Literatury Polskiej. Współpracował z PIW-em jako recenzent wewnętrzny. Pisał szkice, omówienia, komentarze do „Nowych Książek", „Kultury", „Literatury na Świecie". Był autorem prac poświęconych prozaikom niemieckiego kręgu językowego: „Tomasz Mann" (1978), Franz Kafka (1982). Przełożył powieść Leo Perutza „Mistrz Sądu Ostatecznego" (1984). Jako autor SF debiutował pod pseudonimem Piotr Rankiewicz opowiadaniem „Der Garten" („Ogród") zamieszczonym w niemieckim zbiorze „Gespanster Geschichten aus Polen" (Fischer Verlag, 1978). Opublikował wiele szkiców i omówień dotyczących literatury SF, drukował recenzje z polskich i obcojęzycznych książek SF w „Quarber Merkur" Franza Rottensteinera, był również promotorem twórczości Stefana Grabińskiego.

W teorii literatury fantastycznej zapisał się książką „Gra ze strachem" wydaną nakładem „Czytelnika" w 1975 r. Książką recenzowaną przez Stanisława Lema, klasyczną już dziś pozycją poświęconą literaturze horroru. Nie definiował tej prozy, osaczał ją jedynie. Za francuskim badaczem Rogerem Caillois powtarzał, *że fantastyka grozy dzieje się na płaszczyźnie czystej fikcji,* że jest wyłącznie *grą ze strachem,* igraszką z emocjami człowieka. Obrysowując granice horroru mówił o innych odmianach fantastyki: literaturze science fiction, fantasy; polemizował z Todorovem, Zgorzelskim; pisał o „instrumentach" i „mechanizmach strachu" – ich zwielokrotnieniu, skomplikowaniu. Mówił o autorach i ich książkach: Williamie Beckfordzie, Howardzie Phillipsie Lovecrafcie, Allanie Edgarze Poe. Jego książka, opatrzona indeksami i notami biograficznymi to prawdziwe kompendium wiedzy dla każdego miłośnika fantastyki. Miał ją rozszerzyć, uzupełnić – nie zdążył.

Śmierć przerwała również inne prace Marka Wydmucha. Encyklopedia literatury popularnej, wybory krytyczne, tłumaczenia. Czy ujrzymy je w druku?

... Spokojny, opanowany, z namysłem dobierający słowa. Takim go zapamiętaliśmy. W jednej z ostatnich rozmów powiedział: *Czekam na jesień. Zawsze kiedy nadchodzi jesień nabieram chęci do życia...*

To była jego ostatnia jesień.

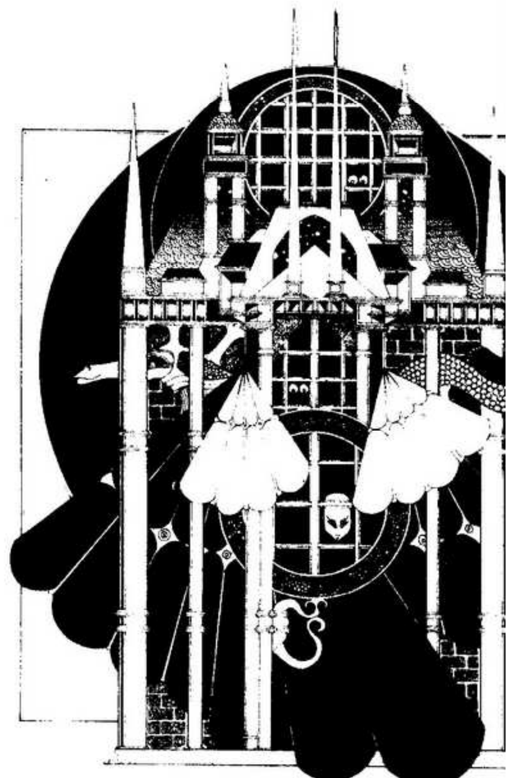
OSACZANIE FANTASTYKI

Marek Wydmuch

W „Więzieniach", cyklu sztychów Piranesiego* (...) efekt pewnej niesamowitości wydobyty jest z niejasnych funkcji dziwnych budowli i tajemniczych aparatów, z niezrozumiałego zachowania postaci (ludzkich? – nie można tego stwierdzić z całą pewnością), które krążą po labiryntowych krużgankach i spacerują bez celu na zawrotnych wysokościach. Szwedzki pisarz i eseista Lars Gustafsson oparł swoją interpretację terminu „fantastyka" na drobiazgowej analizie „Więzień", dając przy tym wyjątkowo trafny, chciałoby się powiedzieć: „atmosferycznie wierny", opis dziwnego stanu rzeczywistości, jaki w literaturze fantastycznej zwykle zajmuje miejsce naczelne. Nie jest to dwuznaczność ani wahanie w pełnym, ogólnie przyjętym sensie tego słowa – chodzi raczej o wrażenie nieprzenikalności, niemożności dotarcia do sedna, do prawdziwej natury mechanizmów, tkwiących za płaszczyzną bezpośrednio przedstawioną. Niech widz (czy czytelnik) dopatrzy się tu nawet i zwykłej rzeczywistości – przez nienormalne zagęszczenie, zatarcie istotnych konturów, przeniesienie jakby w inny wymiar, zyska ona cechy fantastyczne. Później odnajdziemy ten stan w opowiadaniach Grabińskiego. Człowiek postawiony zostaje wobec sytuacji, gdy nawet przedmioty znane mu z codziennego z nimi obcowania czyhać będą na niego jako formy, w które wstąpił duch obcy i wrogi, oderwał je od ich zwykłych funkcji i wymierzył przeciwko ludziom. Rysa na gładkiej powierzchni racjonalizmu rozszerzy się, obejmując wszystko, na co padnie wzrok; obce siły rozpoczną już nie rekonesansową wycieczkę przeciw ziemskim porządkom, ale frontalny – chociaż wciąż potajemny atak. Sądzę, że fragment wywodów Gustafssona najlepiej zilustruje ten aspekt literatury fantastycznej, stanowiąc zarazem niezbędne uzupełnienie tych elementów teorii Tzvjetana Todorova, które wcześniej uznaliśmy za słuszne.

Więzienia Piranesiego przedstawiają świat, w którym wszystko stało się architekturą: gdzie potężne sklepienia niepostrzeżenie przechodzą jedno w drugie, do wewnątrz, w zmiennym nasileniu cienia i światła, w głąb, w dół, w tajemnicze schody, które giną w ciemnościach, w górę, w przyprawiające o zawrót głowy podesty i mosty, gubiące się w mroku na długo, zanim widz zacznie spodziewać się dachu. Idea więzienia polega wszak na tym, że jest ono budynkiem, w którym ludzi trzyma się w zamknięciu, gdzie mogą oni spędzić całe życie, nie potrzebując w zasadzie oglądać ani przez chwilę światła dziennego. Jest w sztychach Piaranesiego coś, co należy do ogólnie pojętej topologii przestrzeni. Gdy w odosobnionym przypadku – jak na piątym sztychu – przez odległe sklepienie prześwitywać będzie jakieś zewnątrz, jakiś mały kawałek nieba i chmur, zostanie on natychmiast w połowie zakryty fasadą domu ze schodami, która wyraźnie każe spodziewać się, że olbrzymi labirynt, w jakim się znaleźliśmy, jest zaledwie częścią większej jeszcze budowli.

Atmosfera tych miejsc nie budzi strachu – to znaczy, nie budzi go w powszechnie przyjętym rozumieniu. Panuje nastrój uroczysty, jakby otaczający coś, co kiedyś było święte, a potem zostało opuszczone. Ład pomieszczeń uderza żelazną konsekwencją: są one zbudowane przez istoty większe od nas, podlegające innym prawom – ich funkcje i zadania są dla nas niepojęte. Sprawiają wrażenie funkcjonalności, ale ich cel jest n i e p r z e j r z a n y. Należą do świata, który z nieubłaganą logiką skonstruowany został dla innych niż nasze zadań. Świat ten nie jest pozbawiony okrucieństwa – przeciwnie – ale okrucieństwo

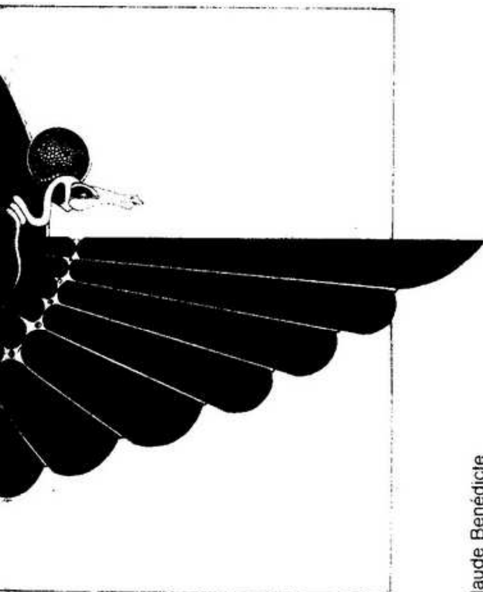


jego nie skierowuje się specjalnie przeciw nam. W skład inwentarza wchodzą ogromne żelazne łańcuchy, rozhuśtane belki z wykutymi zębami i kolcami, robiące wrażenie jakby służyć miały do chwytania słoni czy olbrzymów – albo do przeszkodzenia innym, niebywale silnym istotom w przekroczeniu określonych, subtelnych granic. Potężne wielokrążki i liny zdają się oczekiwać na ciężary większe od tych, którymi człowiek mógłby się kiedykolwiek posługiwać.

Powoli obserwator zaczyna dostrzegać

ruch i aktywność w tych pozornie opuszczonych i wyludnionych labiryntach. Na szóstym sztychu wystrzela z jednego z podestów biała chmurka pary, zatrzymując w sobie światło: scena o nieledwie przemysłowym charakterze. Ale czy rzeczywiście? Może chodzi o pracę kowalską – ale może to przecież być scena tortur, podczas których rozpalone żelazo chłodzi się w kadzi z wodą. Wszędzie, w kątach i zakamarkach, na przeraźliwie wysokich podestach dostrzega się teraz dziwnie dwuznaczne sytuacje: podobne do owadów małe istoty, tego samego rodzaju co w „Antichitá (inny cykl sztychów Piranesiego – przypis M.W.). *zdają się brać udział w czymś, co może oznaczać tortury, ale może też być zupełnie niewinną czynnością. Istoty te występują zawsze grupkami, trzymając głowy pochylone, jakby odczuwały skruchę lub głęboką cześć, a nie strach. Niektóre z nich wyglądają, jakby ciągnęły za sobą ciężkie łańcuchy – czy też są to tylko ich ostro zarysowane cienie?... Rodzi się dziwny, ironiczny efekt uboczny: ten świat i jego mieszkańcy zdają się być stworzeni nie dla siebie...*

Fantastyczność w „Więzieniach" polega nie na szczególe, ale na myśli, którą doprowadzono do jej najbardziej skrajnych konsekwencji. W rzeczywistości coraz bardziej nieprawdopodobnej, w nieprzenikalności, w której właśnie namacalność detalu prowadzi do wrażenia nieprzejrzystości, są „Więzienia" Piranesiego obrazem – albo klasycznym przykładem – tego, co uważam za element fantastyczny w sztuce.



Jean Claude Benédicte

*Giambattista Piranesi (1720-1778) – grafik, architekt włoski, znany głównie z cyklów fantazji architektonicznych oraz rycin przedstawiających antyczne budowle. „Więzienia" (Invenzioni caprici di careri) powstały w latach 1745-1760.

Marek Wydmuch, „Gra ze strachem. Fantastyka grozy", Czytelnik, Warszawa 1975, wybór ze stron 25-29.

Przygotował
Andrzej Niewiadowski

Penciak Lucyna

Pedagog, autor SF (ur. 1914)

Urodziła się 15 kwietnia 1914 r. w Pęcicach koło Warszawy. Ukończyła Wydział Pedagogiczny, Studium Pracy Społeczno-Oświatowej, Sekcję Bibliotekarską Wolnej Wszechnicy Polskiej w Warszawie (1936 – 1940). W latach 1937 – 1939 była instruktorem Centralnej Biblioteki Powiatowej powiatu warszawskiego. Kustosz, kierownik wypożyczalń dla dorosłych i młodzieży w sieci Biblioteki Publicznej m. st. Warszawy w latach 1967 – 1976.

Jako autorka SF debiutowała w 1980 r. powieścią **„Neurony zbrodni"** (KAW). Książka przywołuje klasyczne, ubiegłowieczne schematy utopii, kreśli obraz szczęśliwego raju ludzkości, który zakłócają działania groźnych przestępców, leczonych środkami farmakologicznymi. Zdumiewa naiwność tej historii – co prawda, jej wymowy moralnej nie sposób kwestionować, ale miałkość intelektualna „Neuronów zbrodni", uproszczenia sytuacyjne, motywacyjne i psychologiczne, a także wylewny dydaktyzm tej książki czynią z niej pozycję... dość szczególną w powojennych losach polskiej fantastyki.

Recenzja wybrana:
(W.J.) (w:) „Nowy Wyraz" 1981/7.

Petecki Bohdan

Orientalista, dziennikarz, prozaik (ur. 1931)

Urodził się 5 lipca 1931 r. w Krakowie. Ukończył orientalistykę na Uniwersytecie Jagiellońskim. Studiował na Wydziale Filozofii UJ w latach 1956 – 1957. W 1959 r. przeniósł się do Katowic, gdzie został dziennikarzem. Był publicystą, drukował teksty o tematyce społecznej i gospodarczej. W katowickiej rozgłośni Polskiego Radia prowadził autorski cykl reportaży. Pracował w radiu i telewizji dochodząc do funkcji zastępcy redaktora naczelnego. Przez trzy lata był zastępcą redaktora naczelnego tygodnika „Panorama". Po 1976 r. zrezygnował z pracy etatowej w dziennikarstwie i zajął się pracą twórczą.

Autor kilkunastu słuchowisk (dwa z nich nadało także Radio Lublana) i jednego utworu kryminalnego („Kobry" – „Niespodziewany gość" – 1968). Pod pseudonimem Jan Artur Bernard opublikował trzy powieści sensacyjne („Telefonował morderca", 1969; „Noc Robin Hooda", 1970; „Żmije złote i inne", 1972, przełożona na język czeski – 1976).

Autor jednego opowiadania SF zamieszczonego w „Problemach" (1978/7, „A... B... C... dwadzieścia cztery"), a następnie w antologii „Wehikuł wyobraźni" (Wyd. Poznańskie, 1978). Debiutował w 1971 r. powieścią „W połowie drogi" (Czytelnik). Wydał: **„Strefy zerowe"** (Iskry 1972, 1983), **„Ludzie z gwiazdy Feriego"** (Śląsk 1974), **„Tylko cisza"** (Iskry 1974), **„Operacje wieczność"** (Iskry 1975), **„Rubin przerywa milczenie"** (Śląsk 1976, 1982), **„Messier 13"** (Iskry 1974), **„Sola z nieba północnego"** (Śląsk 1977, 1985), **„X-I uwolnij gwiazdy"** (Nasza Księgarnia 1977, 1981), **„Kogga z czarnego słońca"** (Iskry 1987), **„Prosto z gwiazdy"** (Śląsk 1987), **„Królowa Kosmosu"** (Nasza Księgarnia 1979), **„Wiatr od Słońca"** (Czytelnik 1980, 1985), **„Bal na pięciu księżycach"** (Czytelnik 1981), **„Pierwszy Ziemianin. Bajka totalna"** (Iskry 1983).

Bohdan Petecki należy bezsprzecznie do grona najbardziej aktywnych (i zarazem najbardziej popularnych) współczesnych autorów SF. Ale liczba wydanych przez niego książek nie stanowi o jakości tych publikacji. Utwory polskiego prozaika, adresowane po części do odbiorcy młodzieżowego, są w założeniach typową odmianą „kosmicznych westernów", operują czarno-białą sylwetką bohatera, sensacyjno-przygodowym przebiegiem akcji, zrozumiałą, w miarę jednoznaczną wymową moralną. Zasadniczym tematem tych historii staje się „kontakt" z obcą cywilizacją, przeważnie nieudany, nie zrealizowany, sprowadzony do braku akceptacji naszej kultury, odrzucający wszelkie formy dialogu. Inne cywilizacje przypominają nieco społeczności Dalekiego Wschodu (być może decydują o tym orientalne zainteresowania Peteckiego): są nieufne wobec Przybyszów, zamykają się w granicach własnych kultur i sposobów opisu świata, są przeciwne jakimkolwiek infiltracjom, ustanawiają nader skuteczne bariery ochronne (zasada działania tych barier sprowadza się do ingerencji w psychikę człowieka, porażenia jego systemu nerwowego – zob. „Strefy zerowe", „Ludzie z gwiazdy Feriego"). Z konfrontacji kulturowej ludzie wychodzą pokonani, choć niekiedy – demonstrując swą siłę, potęgę narzędzi technicznych, udaje się im przełamać obojętność „kosmicznych braci". Oczywiście, nie sposób odmówić utworom Peteckiego wartości aluzyjnych, zwłaszcza tam, gdzie przesłanie sprowadza się do czysto ziemskich problemów i zagrożeń narodowościowych, rasowych, cywilizacyjnych. W powieści „Rubin przerywa milczenie" dochodzi do konfliktu między dwiema grupami społecznymi: zmutowaną kolonią ziemską przystosowaną do życia w trudnych warunkach ekologicznych i jej nader konserwatywnym odłamem. Niemal wszystkie powieści Peteckiego operują jednak znacznymi uproszczeniami psychologicznymi, motywacyjnymi, przedstawiają sylwetkę pilota – kosmicznego zwiadowcy – cyborga-supermana, który wychodzi cało z najgorszych opresji, przejmuje odpowiedzialność za decyzje szalonych naukowców, jest podejrzliwy wobec świata, jaki przyszło mu obserwować. Z tego schematu wyłamuje się zaledwie kilka utworów. Powieść „Tylko cisza" podejmująca temat zagrożenia ekologicznego, ukazujące losy Ziemian, którzy w zbiorowych hibernatorach oczekują na biologiczną regenerację środowiska naturalnego. Książka „Operacja wieczność" wprowadzająca sylwetkę outsidera, który nie zgadza się na przejęcie nieśmiertelności, tzn. sporządzenie swojej „reprodukcji", zapisu osobowościowego, twierdząc, że prawo decydowania o swoim losie jest niezaprzeczalną wartością ludzkiego świata.

Pisarstwo Bohdana Peteckiego stroni od eksperymentów formalnych, chociaż i tu zdarzają się wyjątki (dechronologizacja akcji w „Ludziach z gwiazdy Feriego", pastisz konwencji SF w „Ostatnim Ziemianinie"), odznacza się jednak niezaprzeczalną sprawnością warsztatową odpowiadając zamówieniom odbiorców literatury popularnej.

Powieść „Strefy zerowe" ukazała się w przekładzie słowackim (1976), a książka „Messier 13" została przełożona na język węgierski.

Recenzje wybrane:
- Ł. Borski (w:) „Nowe Książki" 1974/11,
- W. Kwiatek (w:) „Nowe Książki" 1977/11,
- M. Czermińska (w:) „Nowe Książki" 1978/24,
- S. Kędzierski (w:) „Fantastyka" 1984/4,
- M. Oramus (w:) „Przegląd Techniczny" 1984/39.

Przygotował
Andrzej Niewiadowski

Wielu dziwią sukcesy współczesnej fantastyki, nagły awans dziedziny pogardzanej przez licznych zawodowych krytyków, więc rzadko zauważalnej na łamach pism literacko-artystycznych, zabawnie także kształtują się opinie o czytelnictwie SF, jakże często popularyzowane właśnie w tychże pismach.

Ciekawe, książki z dziedziny science fiction, mimo ogromnie wyśrubowanych cen (wydawnictwa polują po prostu na łatwe zyski, na poklask publiczności), szybciej znikają z lad księgarń niż inne typy publikacji, chociaż już nie tak szybko jakby się tego pragnęło, ale jakoś nie bardzo słychać o nich w zapowiedziach radia, telewizji, czy czasopism. Recenzje zdarzają się niezmiernie rzadko, a posłuszne panie, może i panowie, więc – bibliotekarki i bibliotekarze mają odwagę przyznawać niezbyt udowodnione bestsellerstwo dzieł różnorodnych bardziej lub mniej uznanych sław literackich, niż udowodnione fantastów. Po co ryzykować konflikty, narażać się na kpiny czy protesty różnych wpływowych osobistości? Prawda?

Niezwykle rzadko także analizuje się przyczyny i istotę powodzenia prozy fantastycznej, spychając zagadnienie do sloganu „panującej mody", a skąd się ta moda wzięła, czy to *deus ex machina,* czyli przypadek rodzi mody, czy też jakiś istotny splot określonych warunków społecznych? Oto jeszcze jedna próba wytłumaczenia powstałej sytuacji, próba ciągle romantyczna.

Adam Hollanek

A jednak romantyzm

(część II)

1. Wcale nie dziwne mi to, że w takich krajach jak nasz, czy do nas podobnych, mało stosunkowo nasyconych rzeczywistymi cudami techniki, cuda te, w postaci literackiego pomysłu fantastycznego, propagują świat czy wszechświat robotów i automatów jakże atrakcyjny właśnie w naszych warunkach, bo jest to prosta kompensacja naszych własnych przeszłych i teraźniejszych niedoborów, kompleksów niższości, prawd utraconych, prawd przewidywanych, marzeń nie spełnionych i marzeń do spełnienia.

Zachodnia, a szczególnie amerykańska fantastyka obdarowywała zawsze czytelników i hobbystów na całym świecie najwymyślniejszymi obrazami różnych możliwych światów, zgodnych na ogół z bliższymi i dalszymi konsekwencjami dzisiejszego stanu nauki i wiedzy stosowanej, ale to wszystko co szło stamtąd, rozpuszczało się i rozpuszcza nadal w sosie naszej inności psychicznej i fizycznej, naszych niemożności i zagrożeń – tak to w ostatnich czasach tworzyły się zręby nowej polskiej fantastyki, biedni Lemowscy Astronauci z poczuciem podziwu, ale i z przerażeniem jednocześnie, obserwowali rozkład kapitalistycznej cywilizacji w wyniku wojny atomowej, było także w pierwszych dziełach wielkiego Stanisława mnóstwo pobłażliwego, można by rzec poczciwego krytycyzmu pod adresem rozwoju nauki w ogóle, widzicie co ta cholerna nauka narobiła, do czego zdolni potrafią być ludzie, gdy ich Frankensteiny zaczną opanowywać ten nasz dziki i prymitywny system planetarny.

Schodziła już wtedy, choć korzenie miała znacznie wcześniejsze, nowa estetyka, nowa fala turpizmu iście fantastycznego, w którym nieustannie ruiny i zgliszcza, degeneraci i potwory nadawali kolorytu rzeczywistości. I ten koloryt obrzydliwości w całej zresztą światowej literaturze science fiction poczynał się coraz mocniej krystalizować, promowała go wszędzie, choć w różnych formach, filozofia katastrofizmu, myśl o nieuchronnym końcu wszelkich cywilizacji w tym naszej również, a co po tym potopie? Właśnie, po tym straszliwym kataklizmie, spowodowanym myślą i ręką człowieczą?

2. Rodził się wobec takiej perspektywy coraz to potężniejszy rozziew między tym co człowiek wytwarza, co potrafi, co może czy mógłby umysłem i co sztucznego umiałby stworzyć, bardziej często na swoją zgubę niż na ratunek, a jakąś kiczowatą pierwotnością codzienności życiowej, małości wewnętrznej człowieka; jego fizjologia na przykład, związana z głębokimi uczuciami ośmiesza go, Lem tego znieść nie może w swych bajkach – nie bajkach, w swych Golemach, w swych opisach tragedii i niemożności ludzkiej i stacza jak gdyby romantyczną walkę ze Stwórcą. W ten sposób przypomina i nawiązuje do podstawowych tez Wielkiej Improwizacji z „Dziadów", jest zresztą w tej dziedzinie typowo polski, inaczej przecież mierzył się z Bogiem i Diabłem Goethe, jak gdyby pogodzony na zawsze z dwoistością świata, inny też miał stosunek do otaczającego go środowiska i do przyrody.

W tym rodzącym bunt, typowo romantycznym rozziewie między codziennością naszą wewnętrzną, a tym co tworzymy – wytwarza się sytuacja, którą wiernie i doskonale określił w swoich „Dziennikach" Witold Gombrowicz: *Literatura zanadto poddała się w tym stuleciu profesorom... my, artyści będziemy musieli wywołać skandal, aby zerwać te stosunki – będziemy zmuszeni zachować się wobec nauki bardzo arogancko i bezczelnie, aby odeszła nam ochota flirtów z formułami naukowego rozumu. Nasz własny, indywidualny rozum, nasze osobiste życie i nasze uczucia trzeba będzie przeciwstawić w najostrzejszej formie prawdom laboratoryjnym.* Czyż nie jest to rodzaj swoistego i swojskiego zarazem manifestu romantycznego?... *Czy człowiek nie jest w prywatnej rzeczywistości swojej czymś dziecinnym i zawsze poniżej swej świadomości... ale, którą odczuwa zarazem jako coś obcego i narzuconego i nieistotnego...*

Kto by sądził, że wyrywam z kontekstu, że manipuluję, ten nie zna dobrze poglądów wykładanych przez Gombrowicza; zacytowane tu fragmenty to jedynie cząstka jego rozważań, idących w kierunku przeze mnie tutaj demonstrowanym. W innym miejscu Witold Gombrowicz zdaje się także potwierdzać ważną rolę fantastyki we współczesnej literaturze. I oto jesteśmy przy raczej niespodziewanym, dziwnym zjawisku; bezczelnym bękartem nauki współczesnej, który się przeciw niej buntuje, staje się fantastyka, która z science i na science wyrasta. W miarę upływu czasu i zmiany warty w hierarchii literatury polskiej po wojnie, główny nurt tej literatury jak gdyby wysycha, zamiast rozlewać się szeroką falą rzeczywistości, schodzi na manowce, wpada w meandry. Nie tutaj miejsce na wymienianie tytułów i ukazywanie uników głównego nurtu pisarstwa: ono nie chce, nie może czy nie potrafi sprostać zadaniom bliskich kontaktów z życiem, umyka do podziemia, zmienia skórę. Najbardziej poczytni i uznawani pisarze, tacy jak na przykład Konwicki, Rudnicki czy Hen wybierają coraz częściej formy zbliżone do pamiętnikarstwa, porzucając stopniowo stare konwencje beletrystyki, najbardziej poczytny gatunek literacki – pamiętnik – zostaje zbeletryzowany, nabierając coraz bardziej cech gombrowiczowskiej prozy i w tej postaci zaczyna triumfować. Nowatorstwo natomiast Łozińskich czy Słyków brnie w zaułki, ucieka w kąciki i kąty świadomości i podświadomości jednostki, usiłuje czarować swoistymi sztuczkami lingwistycznymi, unika aktualnych treści.

3. Za to fantastyka kroczek po kroczku, pisana wprawdzie tradycyjnymi dla tej konwencji sposobami, zdobywa coraz większe rzesze czytelników dzięki sztafażowi bajkowo-kosmicznemu, dzięki suspensowi. Tak, to prawda, także i dzięki niemu, ale i na skutek przedstawiania treści bliskich sercu i rozumowi współczesnego człowieka.

Lem otworzył falę romantyzmu, jego romantyzm miał jednak i ma dotąd charakter raczej arystokratyczny, koncentruje się bowiem wokół wielkiej jednostki (sam Lem to bohater wszystkich swych książek i on to tylko jest wielkością), lecz młodsi polscy fantaści sprowadzają romantyzm na bruk, wykorzystując przygotowanie współczesnego czytelnika znacznie większe niż kiedykolwiek w naszej historii, jego awans intelektualny, może nie ogromny, ale bardzo już znaczny w stosunku do tych, co mogli i potrafili odbierać bezpośrednio romantyczne utwory epoki Mickiewicza i Norwida czy Tetmajera i Wyspiańskiego, tworzą nową falę popromantyzmu – jak ja to określam. Są i tacy, co określają to jako „nawrót do gotyku" (Lech Jęczmyk, znany tłumacz i znawca literatury SF) lub porównują ten romantyzm z punkowską kontestacją, z tymi pieśniami, z tą poezją, z tą muzyką, którymi posługuje się młodzież dla wyrażenia swoich konfliktów wewnętrznych, społecznych, politycznych, swoich dążeń do maksymalnej wolności jednostkowej, swoich wizji przyszłości i swojej bardzo zresztą zagmatwanej i w baśniowe wątki ujętej tradycji przeszłości.

Nie istnieje przecież inna droga do poznania otaczających ludzi i spraw, a także rzeczy, jak sito jedynie własnej świadomości. Świat zewnętrzny człowieka to okolice, w których każdy z nas niejako przestaje być sobą, wcielając się z konieczności w zbiorowość. Posługujemy się przecież przedmiotami i urządzeniami, zdobytymi dzięki zbiorowym notowaniom pamięciowym, wspólnej, nagromadzonej z pokolenia na pokolenie wiedzy, jak konfliktowe są w stosunku do jednostek takie zbiorowości i *vice versa* wie każdy, kto żyje na tym świecie: są to konflikty o skali światowej, państwowej, lokalnej, rodzinnej.

Człowiek czytający fantastykę pyta z pasją i niepokojem co on zrobi na przykład jutro, o dwunastej, lub więcej, co on zrobi jutro o dwunastej w płonącym kinie, więcej, co on zrobi jutro o dwunastej w płonącym kinie wobec siedzącej obok niego dziewczyny, brata, kolegi?

Fantastyka stara się odpowiadać mu przejaskrawionymi, drastycznymi obrazami na te kwestie i w ten sposób nastaje epoka romantycznych ballad, baśni o przeszłości i przyszłości. Krok za krokiem fantastyka wciska się i wypiera główne nurty literatury, kina, wideo. Proszę policzyć ile filmów fantastycznych jest już w kinach teraz i porównać to z sytuacją kinematografii sprzed kilku lat, a liczba wydawnictw, które jeszcze przed powstaniem czasopisma „Fantastyka" zajmowały się publikowaniem SF, a liczba wydawców fantastyki obecnie?

W dyskusji o współczesnej prozie, w „Literaturze" – Jerzy Jarzębski podaje wprawdzie w wątpliwość znaczenie fantastyki, stwierdzając, że w niej mało się dzieje, ale małe kroczki właśnie uczyniły tę dziedzinę literatury literaturą zamiast – zamiast głównego nurtu, podejmującą gorące problemy współczesności. Z samej zaś swojej istoty sztuka przedstawiająca przyszłość czy karykatury przyszłości, a także teraźniejszości i przeszłości nie musi mieć już innych cech awangardy, nie należy więc mierzyć jej tradycyjnymi metodami. Zresztą, jak dobrze wiemy, sam Jarzębski w gruncie rzeczy bardziej zajmuje się fantastyką niż innymi nurtami literackimi, co wynika z jego dotychczasowej twórczości, więc widać preferuje ten gatunek.

4. Fantastyka w swoich szczytowych osiągnięciach demonstruje rozterki współczesnego obywatela naszego globu, naszego kontynentu, naszego kraju, naszego miasta czy miasteczka, przepaście między tym co zbiorowość ludzka potrafi zrobić, do czego się ośmiela, a tym co z człowiekiem dzieje się na codzień, co jest w jego wnętrzu. Są to często ogromne, trudne do zniesienia frustracje. Z jednej strony – tej wewnętrznej, kiczowate marzenia, kiczowate krajobrazy, sztuczny, kiczowaty seks, kiczowate przeżycia, kiczowata fizjologia, działania pod wpływem półzwierzęcych emocji czy nawet instynktów, w strachu przed własnymi wynalazkami, z drugiej on, ten nasz świat, stworzony przez mądre ludzkie zbiorowści, z absurdem bomby atomowej i chirurgii genetycznej, zwanej inżynierią genetyczną, jakbyśmy robotami już tylko byli, z fabrykami, samochodami, maszynami i dymami bez których istnienie niemożliwe, ale nieistnienie w perspektywie, zagłada – równie prawdopodobne.

Człowiek bojący się własnej nauki i wynalazków zamiast do lekarza idzie do znachora, zamiast nieśmiertelności na ziemi, której mu nauka nie potrafi zapewnić, szuka wyjść eschatologicznych z doczesnej egzystencji.

Fantastyce w tych warunkach przypada rola... znachora literatury; zmienia obyczaje, chwieje wartościami etycznymi, ma naukowego kaca. Oto nowa estetyka, oto model, paradygmat współczesności. Czy jest w nim odrobina optymizmu? Sądzę, że to nie kategoria pytań godna odpowiedzi. Cóż z rozważań o optymizmie czy pesymizmie, po prostu istniejemy, żyjemy, mamy szansę dalszego istnienia – to już dużo, właściwie na razie wszystko. ■

1980 (ciąg dalszy)

1453. LEIBER Fritz: *Wędrowiec.* Tłum. [z ang.] Julita Wroniak. Warszawa. Czytelnik. 16° ss. 379, nlb. 1. 60 000 egz. – *Seria Fantastyczno-Naukowa (z „kosmonautą").*
1454. LEM Stanisław: *Opowieści o pilocie Pirxie.* Wyd. IV. Warszawa. Iskry. 16° ss. 464, nlb. 4. 50 000 egz. – Fantastyka, Przygoda – Zestaw ten sam, co w wyd. poprz.
1455. [ŁYSIAK Waldemar]: *Był sobie czas.* W: *Perfidia.* Warszawa. Kraj. Ag. Wyd. 16° s. 91-171. 100 000 egz. – Seria Kryminalna KAW-u. – Na k. tyt. pseud. aut.: Valdemar Baldhead.
NIEMCZUK J.: *Przemiana.* W: *Imitacje. – zob. AF.*
1456. *OKNO w nieskończoność.* Antologia opowiadań fantastyczno-naukowych pisarzy radzieckich. Aut.: Valěrij Brŭsov [i in.]. Red. i wstęp Florian Nieuważny. Posłowie Evgěnij Brandis. Noty o autorach oprac. Jerzy Kaczmarek. Poznań. Wyd. Poznańskie. 16° ss. 616. 20 000 egz. – SF.
1457. PENCIAK Lucyna. *Neurony zbrodni.* Warszawa. Kraj. Ag. Wyd. 16° ss. 168, nlb. 4. 100 000 egz. – Fantazja–Przygoda–Rozrywka.
1458. RASCH Carlos: *Taniec potworów.* Przekład autoryzowany [z niem.] Salvator Tarley. Warszawa. Kraj. Ag. Wyd. 16° ss. 208, 100 000 egz. – Fantazja–Przygoda–Rozrywka.
SADZIEWICZ M.: *Skrzydła... – zob. AF.*
1459. SAWASZKIEWICZ Jacek: *Katharsis.* Warszawa. Iskry. 16° ss.151, nlb. 3. 40 000 egz. – Fantastyka, Przygoda.
1460. SAWASZKIEWICZ Jacek: *Admirał Douglas Westrex. Kariera Johna Stoffhansenna. Cerebrak. Manekin.* Warszawa. Nasza Księgarnia. 8° ss. 80, nlb. 4. 40 000 egz. – Stało Się Jutro – opowiadań fantastycznych zbiór osiemnasty. – Na okł. tyt.: *Manekin.*
1461. SŁAWIK Waldemar: *Czesanie czasu.* Gdańsk. Wyd. Morskie. 16° ss. 140, nlb. 3. 10 000 egz. – 15 opow. w tym 7 fantast.: *Ostatni lot Waltera Smidta.* s. 47–59 i cykl *Z INNEGO WYMIARU.* s. 59–133. – ASF/AF.
1462. TREPKA Andrzej: *Kosmiczny meldunek.* Warszawa. Kraj. Ag. Wyd. 16° ss. 208, nlb. 4. 100 000 egz. – Fantazja–Przygoda–Rozrywka.
1463. TREPKA Andrzej: *Totem leśnych ludzi.* Warszawa. Kraj. Ag. Wyd. 16° ss. 106, nlb. 2. 100 000 egz. – Fantazja–Przygoda–Rozrywka.
1464. *VAHANARA.* Wg. Georgesa Murcie adapt. i scen. Mieczysław Derbień, rys. Jerzy Wróblewski. – *NAJDŁUŻSZA podróż.* Scen. Rian Asars, rys. Grzegorz Rosiński. [Wyd. II.]. Warszawa. Kraj. Ag. Wyd. 8° ss. 84. 100 000 egz. – Komiks.
VEŽIMOV P.: *Bariera. – zob. AF.*
1465. WEINFELD Stefan: *Janczarzy kosmosu.* Warszawa. Kraj. Ag. Wyd. 16° ss. 200, nlb. 4. 100 000 egz. – Fantazja–Przygoda–Rozrywka.
1466. WIŚNIEWSKI-SNERG Adam: *Nagi cel.* Warszawa. Czytelnik. 16° ss.155, nlb. 4. 50 000 egz. – Seria Fantastyczno-Naukowa (z „kosmonautą").
1467. KACZMAREK Jan, WOLSKI Marcin: *Rok 3978.* Warszawa. Kraj. Ag. Wyd. 16° ss. 222, nlb. 2. 60 000 egz. – Zawiera: KACZMAREK Jan: *Nasza naturalna sztuczność.* (F) s. 5–79 i WOLSKI Marcin: *Laboratorium Nr. 8.* s. 81–222.
1468. ZAJDEL Janusz A[ndrzej]: *Cylinder van Troffa.* Warszawa. Czytelnik. 16° ss. 189, nlb. 3. 30 000 egz. – Seria Fantastyczno-Naukowa (z „kosmonautą").

SF dla dzieci i młodzieży (CJSF):

1469. BROSZKIEWICZ Jerzy: *Bracia Koszmarek, magister i ja.* Warszawa. Nasza Księgarnia. 16° ss. 314, nlb. 2. 50 000 egz.
1470. HERLINGER J[uliusz] J[erzy]: *Minister Hopkins na tropach sensacji.* Wyd. IV. Warszawa. Nasza Księgarnia. 8° ss. 280, nlb. 2. 20 000 egz.
1471. HUGHES Monica: *Bunt na Kronszelfie 10.* Tłum. [z ang.] Nina Michałowska. Warszawa. Nasza Księgarnia. 16° ss. 174, nlb. 2. 20 000 egz. – Klub 7 Przygód.
1472. PETECKI Bohdan: *Wiatr od Słońca.* Warszawa. Czytelnik. 8° podł. ss. 156, nlb. 4. 30 000 egz.

Utopia (U):

1473. AFANASJEW Jerzy: *Machina poetica. Fantazja poetycko-naukowa.* Gdańsk. Wyd. Morskie. 16° ss. 121, nlb. 3. 10 000 egz. – U/MS/F.
1474. BORGES Jorge Luis: *Księga piasku.* Tłum. [z hiszp.] Zofia Chądzyńska. Posłowie Michał Sprusiński. Kraków. Wyd. Literackie. 16° ss. 90, nlb. 2. 20 000 egz. – Proza Iberoamerykańska. – U/AF.
1475. CZECZOT Andrzej: *IFO – zidentyfikowane obiekty latające.* Gdańsk. Kraj. Ag. Wyd. 8° podł. knlb. 65. 10 000 egz. – Album rysunków satyrycznych o tematyce SF.
1476. CZUBASZEK Maria: *Na wyspach Hula-Gula.* Warszawa. Czytelnik. 16° ss. 101, nlb. 2. 10 000 egz. – Niektóre opowiadania fantast.
1477. DOBRACZYŃSKI Jan: *Wyczerpać morze.* Wyd. IV. Warszawa. Inst. Wyd. Pax. 8° ss. 222, nlb. 2. 20 000 egz. – Dzieła.
1478. GUETERSLOH Albert Paris: *Historia o przyjaźni. Powieść sokratyczna.* Tłum. [z niem.] Jan Koźbiał i Andrzej Sąpoliński. Posłowie Hubert Orłowski. Warszawa. Państw. Inst. Wyd. 16° ss. 174, nlb. 2. 10 000 egz. – Współczesna Proza Światowa.
1479. KRASICKI Ignacy: *Mikołaja Doświadczyńskiego przypadki.* W: *Utwory Wybrane.* T. II. Warszawa. Państw. Inst. Wyd. 16° s. 73–226. 50 000 egz. – Biblioteka Klasyki.
1480. KUBIN Alfred: *Po tamtej stronie.* Tłum. [z niem.] Anna M[aria] Linke. Wstęp Stefan Lichański. Wyd. II. Warszawa. Czytelnik. 8° ss. 292, nlb. 4. 30 000 egz. – Zawiera też: *Demony i nocne zjawy. Autobiografia.* (R) s. 253–293.
1481. MOLDOVA Gyoergy: *Niezwyciężona jedenastka i inne opowiadania.* Wybór i tłum. [z węg.] Tadeusz Olszański i Magdalena Schweinitz-Kulisiewicz. Warszawa. Czytelnik. 16° ss. 218, nlb. 3. 10 000 egz. – Większość opowiadań fantast.
1482. MORSELLI Guido: *Wydarzenie.* Tłum. [z wł.] Barbara Sieroszewska. Warszawa. Czytelnik. 16° ss. 147, nlb. 1. 30 000 egz.
1483. PRZYPKOWSKI Andrzej: *Victoria.* Warszawa. Wyd. MON. 16° ss. 343, nlb. 1. 30 000 egz. – Cd. poz. 1204/77 i 1303/78.
1484. [SZEŚĆDZIESIĄT] *60 minut na godzinę.* Aut.: Maria Czubaszek [i in.]. Red. Marcin Wolski. Wyd. II. Warszawa. Wydawnictwa Radia i Telewizji. 16° ss. 309, nlb. 3. 30000 egz.
1485. THEMERSON Stefan: *Generał Piesc i inne opowiadania.* Warszawa. Czytelnik. 16° ss. 272, nlb. 4. 20 000 egz. – Siedem opow., w tym dwa fantast.: *Bayamus.* s. 5–115 i *Hau! Hau! czyli kto zabił Ryszarda Wagnera?* s. 242–273.
1486. VERNE [Jules]: *Tajemnicza wyspa.* T. I–II. Tłum. [z franc.] Janina Karczmarewicz-Fedorowska. Wyd. XII. Warszawa. Nasza Księgarnia. 8° T.I ss. 409, nlb. 7; T. II s. 393, nlb. 7. 50 000 egz. – Na k. tyt. imię aut.: Juliusz.
1487. WEST Morris: *Żeglarz.* Tłum. [z ang.] Adam Szymanowski. Warszawa. Inst. Wyd. Pax. 16° ss. 305, nlb. 3. 10 000 egz. WOLSKI M. – zob. ASF.

cdn.

Przygotował Jacek Izworski

Poza podejrzeniami

Jakże często – z niepokojem, lękiem, obawą pytamy o przyszłość literatury science fiction. Jeśli fantastyka naukowa ukazuje niepewność jutra, jeśli jest metaforą współczesności, jeśli potrafi być eksperymentem myślowym i zarazem sensacją, przygodą, rozrywką – to właściwie dlaczego zalega półki księgarń? A przecież widok to coraz powszechniejszy.

Są jednak książki poza wszelkimi podejrzeniami. Książki potrzebne, poszukiwane, mówiące o dniu dzisiejszym i historii światowej science fiction, trafiające do coraz bardziej wybrednych czytelników. Należy do nich z pewnością antologia radzieckiej science fiction w wyborze znanych tłumaczy: Tadeusza Goska i Sławomira Kędzierskiego, wydana nakładem „Iskier". Nie jest to, co prawda, jak zauważa współautor wyboru, Sławomir Kędzierski, pierwsza prezentacja radzieckich opowiadań fantastyczno-naukowych w Polsce, ukazały się przecież m.in. „Biały stożek Ałaidu" (1961), „Alfa Eridiana" (1962), „W pogoni za wężem morskim" (1967), „Wynalazca wieczności" (1978), „Okno w nieskończoność" (1980), ale tamte pozycje są już na dobrą sprawę cymeliami. Co istotniejsze, nie mieliśmy, jak dotąd, antologii, która s u m o w a ł a b y dorobek radzieckiej, powojennej fantastyki naukowej.

I oto leży przede mną dwutomowe wydanie „Galaktyki", ponad 700 stron druku, kilkadziesiąt tekstów 32 autorów, przełożonych przez 15 tłumaczy, opatrzonych wstępem i notami biograficznymi. W sumie kawał dobrej, solidnej roboty. I jakże potrzebnej.

Jakie są to teksty? Może najpierw – jakich autorów? Pytanie niebagatelne, skoro dotyczy reprezentatywności, uczciwości, świadomości wyboru. I od razu odpowiedź: znaleźli się w antologii chyba wszyscy znaczący autorzy radzieckiej fantastyki. Układ wyboru jest historyczny, chronologiczny, otwierają go opowiadania klasyka radzieckich fantastów Iwana Jefremowa, autora „Mgławicy Andromedy", „Czasu Byka" (ta ostatnia powieść wciąż czeka na polskiego wydawcę!). Dalej idą teksty Kazancewa, Warszawskiego, Dnieprowa, Gansowskiego...wyliczać można by długo, ale lepiej przypomnieć, że znalazły się w antologii opowiadania tak popularnych autorów, jak: A. i B. Strugaccy, K. Bułyczow, D. Bilenkin i W. Szczerbakow. Niektórzy z nich są reprezentowani kilkoma tekstami – pomysł to chyba dobry, bowiem ranga autora polega także na umiejętności łączenia wielu konwencji, bogactwie środków stylistycznych, różnorodności przesłań. Co prawda, zamieszczone teksty były już w części prezentowane polskim czytelnikom, publikowane na łamach czasopism – zastanawiałem się nawet, czy nie uczynić z tego zarzutu autorom „Galaktyki", ale chyba nie, wszak tamte publikacje wymknęły się naszej uwadze, teraz otrzymujemy je w formie uporządkowanej, zwartej, ujęte w jednym zbiorowym tomie. I dalej – zmieniły się czasy, inni są czytelnicy, proszę spojrzeć na ankietę „Fantastyki", iluż jest takich, którzy wzięli to pismo do ręki dopiero w 1987 roku. Problem przemienności generacyjnej w polskiej science fiction, nowych lektur, zainteresowań, zachowania bądź odrzucenia tradycji literackiej jest nader istotny – może ktoś, kiedyś napisze o tym esej podobny szkicowi Davida Hartwella (zob. „Fantastyka" nr 12/87)?

Obok autorów renomowanych, pierwszorzędnych są w antologii Goska i Kędzierskiego pisarze o nazwiskach mniej znanych, tacy jak W. Poliszczuk, M. Puchow, B. Rudenko, A. Pieczeniezski. O takim wyborze zadecydowały, jak twierdzi Sławomir Kędzierski *nie tyle zobowiązania akademickie, ile próba zaprezentowania utworów ciekawych, charakterystycznych dla powojennej fantastyki.* Czy próba ta się powiodła? Oto kolejne pytanie.

Pytanie nader istotne. Rozszerzmy je na zawartość całej antologii. A zatem: jaka jest fantastyka radziecka widziana oczami „antologistów"? A przy okazji – jaka jest wobec fantastyki polskiej, bo to powinno interesować naszego czytelnika.

Nie popełnia chyba błędu Kędzierski twierdząc w swojej przedmowie, że *losy fantastyki w Związku Radzieckim tuż po wojnie były trudne (...).* Podobnie jak fantastyka polska, radziecka science fiction miała świetne tradycje: w latach dwudziestych zajmowali się nią Aleksy Tołstoj i Michał Bułhakow (dodajmy, że utopie techniczne pisali wcześniej W. Odojewski, A. Kuprin – u nas Adam Mickiewicz, później Jerzy Żuławski, a w dwudziestoleciu: Antoni Słonimski). Niemniej, przy obowiązującej w ZSRR poetyce realizmu socjalistycznego wydawało się, że nie ma tam miejsca na coś takiego, jak maszyny czasu, podróże kosmiczne czy spotkania z innymi cywilizacjami. Polska fantastyka borykała się z podobnymi problemami na mniejszą skalę. W ZSRR „teoria granicy", „fantastyki bliskiego zasięgu", fantastyki na miarę... kolejnych planów gospodarczych trwała aż do wystąpienia Iwana Jefremowa (nawiasem mówiąc, przydałby się w antologii chociaż jeden tekst Niemcowa czy Ochotnikowa dla konfrontacji!). Znacznie trudniej było radzieckim fantastom przełamać kanony obowiązującej polityki kulturalnej, wykroczyć poza narzucony (!) model literatury popularnej spod znaku vernowskiej utopii, znacznie trudniej przejść pod znak antyutopii, rzeczywistego eksperymentu myślowego. W Polsce to przejście dokonywało się już w latach pięćdziesiątych, w ostatnim tomie trylogii Borunia i Trepki, w „Katastrofie na »Słońcu Antarktydy«" Adama Hollanka, w rozrachunkowej fantastyce Lema („Eden", „Bajki robotów"). W ZSRR fantastyka naukowa, porzucając swą „krótkodystansowość" zaczęła rozwijać się w kilku kierunkach – powstawały utwory o klasycznych tematach i konwencjach, ale także opowiadania o przesłaniach filozoficznych, na wpół prawdopodobne, poetyckie historie W. Szefnera, fantastyka humorystyczna I. Warszawskiego, proza K. Bułyczowa. Nie było w tej literaturze autora na miarę Stanisława Lema (poza braćmi Strugackimi, rzecz jasna). Dobrze to i źle zarazem. Źle, bo przełamywanie starych wzorców dokonywało się wolniej, z mniejszą pasją, jak gdyby bez „ideowego przywódcy". Dobrze – ponieważ łatwiej było sięgać do rozwiązań własnych, ważyć się na konfrontację z równorzędnymi pisarzami. Może dlatego fantastyka radziecka była inna niż nasza, miała swoją specyfikę – poza tym, że z dużą otwartością nawiązywała do rosyjskiej tradycji literackiej (teksty Szukszyna).

Była to po pierwsze fantastyka pomysłu, idei, problemu; znacznie mniej liczył się w niej eksperyment literacki, sposób przekazywania treści, od niej samej. Po drugie, była i jest to wciąż jeszcze (nawet w tekstach prozaików lat siedemdziesiątych) fantastyka „cudownego wynalazku", pełna technicznych pomysłów, aczkolwiek zmieniła się wymowa tych utworów: pisarze zastanawiają się teraz nad problemem współdziałania człowieka z przyrodą, implikacjami „niezwykłych odkryć", ekologicznymi, społecznymi kosztami przeobrażania świata, z nieukrywaną ironią patrzą na naukowców, metody ich działania. Sławomir Kędzierski zwraca uwagę na nurt „fantastyki ostrzegającej" pisząc, że to, co w owej literaturze najważniejsze zawiera się w pytaniu o człowieka, że niekiedy błaha forma tych opowiadań skrywa niebłahą treść. To prawda. Coś szalenie ważnego dzieje się w fantastyce radzieckiej ostatnich lat: losy jednostki, subiektywnego przeżywania świata wypierają spojrzenie zbiorowe, społeczne – futurologia ustępuje literaturze „zamiast" atakującej pośrednio, ostrożnie, a jednak zauważalnie trudne problemy współczesności. Z drugiej strony daleko jeszcze prozaikom radzieckim do porywających wizji Zajdla, drapieżności tekstów Oramusa, generacyjnych przeczuć „czwartej generacji", która narastała w Polsce w latach osiemdziesiątych. Choć, podobnie jak u nas, do literatury SF zbliżają się prozaicy nurtu głównego: Szukszyn, Jakubowski, Szczerbakow, Łapin... Rozszerza się także mapa środowisk literackich: już nie tylko autorzy moskiewscy czy leningradzcy mają dziś w fantastyce radzieckiej głos decydujący (tę mapę nakreślą kolejne tomy „Galaktyki").

Czy anotologia Goska i Kędzierskiego zyska uznanie czytelników? Chyba już ją zyskała. Wstrzymałem się z oceną tej pozycji do końca roku. Od jej wydania upłynęło kilka miesięcy. Nakład obu tomów jest przeciętny: 30 tysięcy egzemplarzy. Cena spora: 500 i 450 zł. A jednak antologii w księgarniach nie ma. Jest ta książka na giełdach, czasem w antykwariatach, po znacznie wyższej cenie. I nie jest to bynajmniej „zupełnie inna historia".

Zygmunt D. Buszniewski

Galaktyka I i *Galaktyka II* – Radziecka fantastyka naukowa. Wybór: T. Gosk i S. Kędzierski. Iskry; Warszawa 1987. Cena 500 zł i 450 zł.

W labiryncie znaków

Trudno się dziwić znacznemu zainteresowaniu, jakie wzbudziło pojawienie się w księgarniach bestselleru Umberto Eco „Imię róży". Autor ten, znany również czytelnikom „Fantastyki" (patrz nota o autorze i esej o SF w numerze 4/87) to światowej sławy semiotyk. „Imię róży" stanowi jego pierwszą próbę literacką, która przełamuje utarty pogląd, że teoretyk i krytyk jest w stanie rozłożyć dzieło na części, ale daleko mu do artystycznej duszy pisarza.

Książka zdobyła wielką popularność wśród czytelników, a i krytycy wypowiadają się o niej w samych superlatywach. Sławę pisarza podbudowuje jeszcze ekranizacja dokonana z talentem i smakiem przez Jean-Jacquesa Annauda.

Akcja „Imienia róży" obejmuje ostatni tydzień listopada 1327 r., a wszystkie zdarzenia przebiegają w benedyktyńskim opactwie w Alpach Zachodnich. Ta średniowieczna dekoracja nie dziwi, gdyż Eco to również znany mediewista.

Narracja powieści opiera się na schemacie opowieści szkatułkowej, dzięki odnalezionym materiałom autor relacjonuje opowieść benedyktyńskiego mnicha – Adsa z Melku o przejmujących wydarzeniach, które spotkały go w młodości. Zakwalifikowanie gatunkowo „Imienia róży" przysparza niemałych kłopotów; nasuwają się na myśl: kroniki średniowieczne, kryminały, alegorie czy powieści z kluczem. Akcja zogniskowana jest wokół tajemniczych morderstw w opactwie, ale stwierdzenie to, dla znających książkę, objawia całą swoją schematyczność i ubóstwo.

Popularność „Imienia róży" tkwi zapewne w jej wieloaspektowości. Wielbiciel zawikłanej intrygi będzie śledził z zapartym tchem tajemnice kolejnych morderstw, miłośnik historii zanurzy się w atmosferze średniowiecznego klasztoru, teoretyk literatury będzie odnajdywał fragmenty teorii Eco odciśnięte w tekście. Czytelnik lubiący po prostu dobrą książkę powinien zostać również usatysfakcjonowany, gdyż „Imię róży" to dobrze napisana, interesująca beletrystyka.

Poziom intrygi stanowi jednak tylko powierzchnię struktury powieści, odczytywanie utworu przypomina średniowieczne studiowanie Biblii, które odbywało się na czterech poziomach: dosłownym, moralnym, alegorycznym i mistycznym. Pełnię wiedzy, a zarazem przyjemności, można uzyskać wnikając we wszystkie sensy dzieła, również te bardziej skrywane.

Odbiorca może przeistoczyć się w badacza minionych wieków. Fabuła powieści odsyła do rzeczywistości autentycznej. Wiele przecież w „Imieniu róży" historycznych postaci biorących udział w akcji lub przywoływanych w rozmowach: Roger Bacon, Bernardo Gui, Ubertino da Casale, Michele da Cesena, Fra Dolcino itd. Fikcyjne zdarzenia są dopełniane autentycznym średniowiecznym tłem akcji. W dysputy i rozważania wnikają najważniejsze problemy ówczesnej Europy: inkwizycja, a wraz z nią zagadnienie winy i kary, walka papiestwa z Cesarstwem czy doktryny ubóstwa Kościoła wywołujące liczne herezje. Klimat minionych wieków stwarzają nie tylko autentyczne postacie i zdarzenia, ale również zastosowana perspektywa narracyjna. Świat przedstawiony utworu jest ukształtowany z punktu widzenia benedyktyńskiego mnicha. Cała powieść to próba odtworzenia i przybliżenia średniowiecznego sposobu myślenia. Nowicjusz Adso zostaje wprowadzony w skomplikowany świat ówczesnej myśli i sztuki przesycony symbolizmem i alegorycznością tak dalece, że nawet zagadkę kryminalną próbuje się rozwiązać według wskazówek zaczerpniętych z Apokalipsy św. Jana.

„Imię róży" również pełne jest cytatów, aluzji i odniesień. Imiona mnichów przypominają znane postacie literackie i rzeczywiste. Niektóre fragmenty powieści są niemal wiernymi cytatami dzieł filozoficznych, teologicznych czy mistycznych (nie tylko zresztą średniowiecznych).

Wszelkie intrygi i wydarzenia prowadzą do wielkiego Labiryntu-Biblioteki, w którym następuje kulminacja i rozwiązanie akcji. Labirynt ma wielkie znaczenie w planie zdarzeń, ale stanowi również pewną figurę stylistyczną, oddaje wyobrażenie o schemacie strukturalnym całego utworu. Poszukiwanie śladów tajemniczych wypadków, rozważania teologiczne i filozoficzne rozwijają się odrębnie, aby w końcu, krzyżując się i przenikając, stworzyć jednorodną całość.

Labirynt ten komplikują liczne cytaty i zapożyczenia, które odsyłają czytelnika do historii, historii literatury i samej literatury w postaci książek. W ten sposób utwór nie ma końca, jest uwikłany w nieustanny proces odniesień i związków. Takie ukształtowanie tekstu wiele ma wspólnego z amerykańskim postmodernizmem, który zdecydowanie podkreśla niemożność istnienia literatury w próżni; książki mówią o książkach, zazębiają się i cytują wzajemnie.

Eco wypełnia swój labirynt znakami. Stanowią one przedmiot wielu rozważań zawartych w tekście. Znaki mają przecież niebywałe znaczenie dla detektywa szukającego rozwiązania zagadki. Są one punktem centralnym skupiającym wszystkie płaszczyzny struktury utworu. Eco ujawnia tu swoje zafascynowanie semiotyką, która wcale nie jest dziedziną nową, a tkwi głęboko korzeniami w europejskim średniowieczu. Autor podkreśla wagę znaku; wszelka komunikacja międzyludzka ma charakter semiotyczny, wszystko co nas otacza może stać się znakiem. Żyjemy wśród znaków, mówimy znakami i o znakach.

Twórca „Imienia róży" nie pozostawia czytelnika bezradnym w stworzonym przez siebie labiryncie. Drogowskazem w nim są dołączone do tekstu „Glosy do »Imienia róży«". Jest to jeden z tych esejów, w których artyści starają się przedstawić odbiorcy proces twórczy, przybliżyć motywy nimi powodujące, ułatwić poruszanie się w obszarze dzieła. W „Glosach" Eco porusza problem już przez niego podnoszony, a mianowicie odrębność dzieła literackiego od rzeczywistości, czym zarazem pomniejsza rozłam pomiędzy literaturą realistyczną a fantastyczną.

Tworzenie literatury to w ujęciu Eco problem niemalże kosmologiczny. Twierdzi on, że napisanie powieści musi poprzedzać ukształtowanie pełnego fikcyjnego uniwersum, niezależnie czy będzie się ono opierać na prawach realnego świata, czy też konie będą w nim latać, a ogórki śpiewać. W każdym z takich światów musi panować bezwzględna własna logika. „Glosy..." to relacja z problemów pisarza poświęcającego się takiej właśnie stwórczej działalności. Tym samym powinny stać się lekturą obowiązkową dla wszystkich początkujących pisarzy SF i fantasy, bo ukształtowanie takich światów jest często sprawą trudniejszą niż odmalowanie świata opartego na realnej rzeczywistości. Niestety utwory pojawiające się w księgarniach świadczą często o prawdziwości tego stwierdzenia. Nie każdy może wymyślić „Imię róży" czy choćby „Hobbita".

Wypada więc polecić „Imię róży" jako przykład wart naśladowania, gdyż po odrzuceniu przesądów gatunkowych, można odnaleźć w tym utworze ślady charakterystyczne dla literatury fantasy.

Małgorzata Skórska

Umberto Eco: *Imię róży*. Przełożył A. Szymanowski. PIW, Warszawa 1987. Cena 900 zł.

Dziwna baśń

Hugo Hiriart to pisarz jak najbardziej nam współczesny (ur. 1942), lecz jego opowieść, którą już „dziad pradziada" starych papug „wyśpiewywał, siedząc na swej huśtawce", zdaje się sięgać aż do początków wypełniania Nowego Starym Światem i być „dokumentem" fascynacji oddalającą się Europą, żywym wtedy jeszcze mitem błędnego rycerstwa i egzotycznymi zwierzętami, takimi jak struś, hipogryf czy żyrafa.

To nie pomyłka. Szkoda „Galaora" li tylko dla napisanej w XX wieku przewrotnej wersji starego romansu rycerskiego czy nawet dla psychoanalitycznej interpretacji wzorowanej na analizach Brunona Bettelheima, skoro można odetchnąć oswojoną już cudownością Ameryki i „rzewnej historii o śpiącej królewnie-mumii i księciu Galaorze" wysłuchać wśród pierzastych tarcz herbowych i drzew o liściach w kształcie mieczy.

„Galaor" wygląda jak baśń, ale bardzo dziwna baśń, która grzecznie doprowadzając do konstytutywnego dla niej „bilansu zerowego" (dobro zostaje nagrodzone, zło ukarane), jednocześnie wzbogaca konwencję o winę tragiczną (być może w odczuciu niektórych ten bilans burzącą) pewnej małej księżniczki: „Długo jeszcze trwać będzie pamięć o chrzcinach", przy kołysce „zgromadziły się wróżki, by uroczyście ofiarować" mądrość, dobroć, piękny głos i elokwencję. I spełniło się. „Dzięki działaniu czarów mała księżniczka przeszła metamorfozę: jej głowa, aby pomieścić wielką mądrość, urosła ponad wszelką miarę; jej twarzyczka o harmonijnych przedtem rysach...", jej szyja i ręce... Czym jesteś, „Galaorze"?

Wydaje się, iż nie na próżno przez całą opowieść przewija się motyw poprawiania natury, ingerowania w niedostępne ludziom decyzje Pana Wszelkich Zdarzeń. Przed uprawianiem magii „bez głębokiego zrozumienia wszystkich przyczyn i skutków" ostrzega swoje młodsze koleżanki wróżka Walet Pik. Tytułowy bohater rozmawia z innymi rycerzami o wolności w podporządkowaniu się prawom błędnego rycerstwa, o dziedziczności i przeznaczeniu i o niemożności odkrycia tych w pełni prawdziwych znaczeń dokonywanych czynów. Historia Nieodgadnionej Anny, tragiczny los budowniczego Ogrodu Trzystu Dróg, żałosny koniec szalonej działalności mistrza kuglarzy, czy gwałtowny protest Galaora po wysłuchaniu ostatniego żołnierza wojny nad wojnami uzupełniają obraz.

Podsumowując swoje doświadczenie Galaor dochodzi do wniosku, iż musi po prostu żyć, żyć mocno i świadomie, musi naginać rzeczywistość do własnych pragnień, gdyż tylko w chwili stawania się czyny mają uchwytny sens, i że nie należy zabierać się za poprawianie świata, gdyż dostrzeżenie zbawienności jego pozornego chaosu przekracza poznawcze zdolności człowieka.

Bardzo ważne słowa wkłada Hiriart w usta Galaora: „Sztuczny świat Diomedesa od początku był mi wstrętny; (...) nienawidzę niewoli". Niewoli, zamknięcia w świecie zbudowanym na naszą tylko miarę, w którym bez niewiadomych, a więc i bez nadziei, ze świadomością bezsensu marzeń i tęsknot, żylibyśmy uszczęśliwieni na siłę. Tak właśnie, jak przyjdzie żyć małej księżniczce.

Ponieważ literatura iberoamerykańska dała się już poznać jako zainteresowana intelektualną grą i ponieważ Hugo Hiriart jest z wykształcenia filozofem, niełatwo wyczerpać zawarte w jego opowieści odwołania do różnych epok i kultur. Zostało do odkrycia jeszcze bardzo wiele, zapraszam więc was, błędni rycerze, marzący o uszczęśliwianiu świata, do wędrówki śladami dzielnego Galaora, gdyż naprawdę warto posłuchać toczonych przez rycerzy rozmów i obejrzeć świat tej dziwnej baśni.

Magdalena Szmit

Hugo Hiriart: *Galaor*. Wydawnictwo Literackie, Kraków 1987. Cena 190 zł.

Przy końcu roku 1987 red. Maciej Iłowiecki wybrał się na trzy miesiące do Stanów Zjednoczonych, między innymi w poszukiwaniu materiałów do swej nowej książki. W czasie jego nieobecności, w miejsce felietonu „Z tamtej strony lustra", proponujemy Państwu zapis długiej, dwuczęściowej, rozmowy, jaką z Maciejem Iłowieckim przeprowadził tuż przed jego wyjazdem Maciej Parowski.

Szczeliny (1)

z Maciejem IŁOWIECKIM rozmawia Maciej Parowski

Maciej Parowski: – *Podchwytliwe pytanie: Czyta pan prozę fantastyczną, czyta pan „Fantastykę", czy tylko pan w tym piśmie drukuje?*

Maciej Iłowiecki: – Bardzo lubię fantastykę i „Fantastykę", jestem od początku wielkim zwolennikiem pisma. Mam obszerny zbiór książek z tego gatunku. I ciekawi mnie, nawiasem mówiąc, polaryzacja postaw wokół science fiction. Bardzo mało jest ludzi, mających do fantastyki stosunek obojętny. Albo jej nienawidzą, odsadzają fantastykę od czci i wiary, jak choćby pan Stanisław Lem, który uważany jest za głównego jej twórcę; podobnie deklaruje żywiołową niechęć do fantastyki wielu znanych mi polskich naukowców. Z drugiej strony widzi się tysiące bezkrytycznych wielbicieli, którzy czytają wszystko, bez żadnej selekcji, dając pole literaturze niskiego lotu. A przecież chciałoby się, żeby fantastyka była zawsze zapładniająca myślowo. I ta dobra fantastyka jest taką i spełnia ważną rolę społeczną. Bo głównym zadaniem fantastyki jest chyba kształcenie wyobraźni. Moim zdaniem, zresztą nie tylko moim, bo także na przykład Einsteina (więc mam dobrych poprzedników), wyobraźnia jest ważniejsza nawet od wiedzy. Fantastyka w cudzysłowie i bez mogłaby więc spełniać rolę korygującą wobec modelu oświaty współczesnej, nastawionego przede wszystkim na wiedzę, na zdobywanie informacji. Może uczyć stawiania podstawowych, dziecinnych pytań, które dziś też okazują się bardzo ważne dla naszego rozumienia nauki i świata.

– Informacji – barwnych, intrygujących, zadziwiających informacji – też nie brak w pana felietonach. Czy mógłby pan zdradzić szczegóły dotyczące felietonowej kuchni?

– To pytanie często pada na spotkaniach z czytelnikami. Każdy ma inną metodę chłonięcia tych rzeczy, pompowania się wiedzą, ale podstawą, wydaje się, jest dobre archiwum. To znaczy czytam niezliczone ilości pism naukowych i popularnonaukowych polskich i zagranicznych i potem gromadzę setki wycinków w teczkach dotyczących różnych tematów. Widzi pan tutaj u mnie – np. grzyby, kosmos, życie roślin, koniec Wszechświata, zmiana płci, dzieci z probówki, filozofia Wschodu, zmęczenie, język i rzeczywistość... Z pism zagranicznych czytuję stale, bo jestem w tej szczęśliwej sytuacji, że dostępne są w archiwum „Problemów", choć z powodów finansowych i ta pula się zmniejsza: „Scientific American", „New Scientist", „Science News", „Discover", „Science et Vie", „La Recherche", „Priroda", „Psychologic Today" itp. Mam też olbrzymi własny zbiór książek na różne tematy. Z wyjazdów zagranicznych przywożę kilogramy papieru... W USA w przeciwieństwie do Wiktora Osiatyńskiego, który robił bardzo ciekawe rozmowy z amerykańskimi profesorami, siedziałem przede wszystkim w bibliotekach, przywożąc potem stamtąd walizy materiałów. Tam idzie się po prostu do Wielkiej Biblioteki Nowojorskiej i przegląda, i robi notatki, bądź za parę centów odbija stronice książki czy czasopisma na ksero. No a Amerykanie szczególnie umieją sprzedawać swoje odkrycia, im chodzi przecież o sensacyjność ujęcia, żeby pisma były kupowane. Jest to więc świetnie robione i ja się tam po prostu pompuję pomysłami, które potem mogę tu sprzedawać. Z tego żyję. Moją ulubioną dziedziną jest biologia, nauka o życiu i medycyna. Interesuję się też fizyką i mam tu pewne podstawy, bo ukończyłem wydział jednak nauk ścisłych (biochemia), a jednocześnie nietypowo ścisły, bo nie jest to czysta fizyka czy astronomia, ale biologia. Myślę, że to się okazało ważne w mojej felietonowej praktyce – sposób myślenia wyrobiony na tych właśnie studiach, stosunek do źródeł, do archiwów.

– Praca w „Polityce", w „Problemach" umożliwia stałe kontakty z wieloma polskimi naukowcami. Czy można sobie wyobrazić, że pisze pan felieton wyłącznie na podstawie opracowań i dokonań naukowców polskich? Czy dałoby się z tego wyżyć?

– Trzeba powiedzieć, że gdybym musiał, to najprawdopodobniej bym wyżył, ale byłoby mi trudniej. Z paru powodów. Jeśli chce się wiedzieć, co naprawdę dzieje się w nauce, to trzeba mieć orientację, co dzieje się u najsilniejszych. A dziś centra, w których tworzy się wielka nauka to USA, kraje najbardziej rozwinięte i ZSRR. Tam mają przyrządy, tzw. warsztat, środki na naukę, wspaniałe banki informacji. U nas natomiast skrępowanie nauki nie wynika, jak sądzą niektórzy, z ograniczeń doktrynalnych – badać i pisać można dziś wszystko – tylko z braku możliwości czysto materialnych, a także z braku dostępu do informacji. To jest groza, co nas czeka w polskiej nauce, jeśli nic się nie zmieni pod tym względem. Ale jest i drugi problem. Zauważam także, iż polscy uczeni z coraz większym trudem, czy coraz gorzej potrafią sprzedawać swoje osiągnięcia. Kiedyś fizycy jak Leopold Infeld, Władysław Natanson, Arkadiusz Piekara, filozofowie jak Władysław Tatarkiewicz czy Tadeusz Kotarbiński... umieli w niezwykły i piękny literacko sposób przedstawiać i to co się dzieje w nauce i własne przemyślenia. Potrafili pisać piękne eseje, z których ja jako laik mogłem czerpać wiele do myślenia, uczyć się na tym. Natomiast dziś – nie wiem – czy pogłębienie specjalizacji, czy przywiązanie do formalizmu, czy strach przed śmielszą syntezą, przed pytaniami ogólnej natury, sprawia, że nasi naukowcy piszą mało i najczęściej nieprzystępnie. Zapewne jest w tym też lęk przed narażeniem się środowisku (mam stale na myśli tzw. popularyzację nauki i wiedzy). Zauważam wyraźną zmianę atmosfery i obawę przed tym, żeby się nie wychylić, nie narazić na śmieszność. Do tego dochodzą sprawy finansowe. Pisanie książek popularnonaukowych jest nieopłacalne, a porządnie zrobiona popularyzacja to przecież ciężka robota. Ale jestem zdanie, że jeśli ktoś nie potrafi wyjaśnić, czym się właściwie zajmuje tak, żeby go każdy zrozumiał, to znaczy, że on sam nie do końca to rozumie. Można oczywiście znaleźć i przykłady na tezę przeciwną. Podobno Einstein nie potrafił popularnie wyjaśnić swej teorii...

– Może dlatego, że wiele z jego wyjaśnień zawierało się w matematycznych równaniach. Domyślam się, że zaprzyjaźnieni naukowcy mają do pana żal o felietony u nas. Poważny popularyzator pisze dla młodych ludzi w „niepoważnej" „Fantastyce" o Yeti, Minotaurze, trzecim oku...

– Ma pan rację. Bronię się tym, że jeśli chcę do młodych ludzi trafić z naukowymi problemami, to należy to robić w takim właśnie piśmie, które jest przez młodych czytane i lubiane. Według starej zasady – bawić ucząc, uczyć bawiąc. Po drugie, przyznaję się zawsze, że pisanie w „Fantastyce" jest dla mnie wielkim odprężeniem psychicznym i rodzajem zabawy. Pisząc do was mam przed oczyma krytycznych, młodych ludzi, którym nie mogę wtykać waty, dlatego sprawdzam zawsze wszystkie informacje bardzo dokładnie. Jeśli powołuję się na fakty wyglądające zbyt fantastycznie czy niepoważnie, to piszę, że to było na przykład w „Nature" lub w „Science", czy w innym poważnym czasopiśmie naukowym. I rzeczywiście kilku znakomitych profesorów ma mi za złe pisanie w „Fantastyce". Mówią – gdzie pan tam włazi, na te pogranicza, skoro jeszcze nie wiadomo, czy to jest prawda czy nie? A może okażą się bzdurą? Odpowiadam, że przecież zawsze się zastrzegam, co jest tylko pomysłem, co mocno nawet czasem krytykowaną, ale ciekawą koncepcją, a co już hipotezą uznaną powszechnie w nauce! Oni się krzywią, a ja z uporem maniaka powtarzam tezę o kształceniu wyobraźni. Choć oczywiście w żadnym razie nie chciałbym zamulać młodych umysłów czy szerzyć tzw. irracjonalizm.

– Miałbym nieco inne spostrzeżenie dotyczące cyklu „Z tamtej strony lustra". Dla „Fantastyki" pisze pan felieton o charakterze ciekawostkowym, dość konsekwentnie unikając syntez. To są niemal zawsze kurioza, barwne, ciekawe przypadki, których pan nie podsumowuje, zostawiając sprawę otwartą. Pamiętam piękny pana felieton w „Odrze" o Tamie Assuańskiej, o krachu pewnego uzurpatorskiego stosunku do przyrody – rzecz zamkniętą, stawiającą kropkę nad „i". U nas inaczej. Zatrzymuje się pan na progu pewnych rozstrzygnięć, podprowadza czytelnika do ciekawych tez, ale ich nie stawia. Cytuje pan na przykład Roberta Dicke mówiącego, że świat wygląda na zrobiony po to, żeby „wydać człowieka", ale nie wprowadza hipotezy Boga, mimo że wisi ona w powietrzu. Rozdaje pan pokerowe karty i mówi – a teraz grajcie sami. Oczywiście jest jedno zbiorowe przesłanie, które można według mnie odczytać z pańskich felietonów: w naszym świecie, w dotychczasowym



Marek Załęski

tzw. naukowym widzeniu świata rysują się ostre szczeliny, czy białe plamy niepewności, z którymi coś trzeba będzie zrobić.

– Trafnie pan odczytuje moje intencje, nie chcę niczego przesądzać. Chcę zdać się na krytycyzm młodych ludzi, pozwolić im wybierać, ale ogólne przesłanie moich felietonów jest zgodne z tym co pan mówi. Właśnie o te szczeliny mi idzie. Natomiast felietony w „Odrze" mają charakter bardziej publicystyczny, traktujący o problemach zbliżonych do szeroko rozumianej polityki – społecznej, gospodarczej. W „Fantastyce" przyjąłem założenie, może niesłuszne, że potrzebna jest informacja o tym co się dzieje we współczesnej nauce, ale młodym ludziom należy te sprawy sprzedawać w otoczce pewnej sensacyjności. Należy ich uczyć krytycznego myślenia, czy przekazywać treści informacyjne w lżejszy sposób. Dlatego często wybieram takie dziwne tematy. Na przykład – wampiry, które wyglądają na stworzenia wymyślone (nawiasem mówiąc powtarzające się legendy o wampirach to specjalność słowiańsko-litewska), a mimo to istnieją możliwości wyjaśnienia tego przypadku w granicach współczesnej nauki jako pewnej choroby krwi. I wtedy dziwny wygląd „wampirów", ich niechęć do czosnku, ich krwiożercze instynkty, w ogóle ich istnienie jako ludzi chorych – można uznać za fakt, nie za mit. Powtarzam – można. Wyjaśnienie może być inne.

– Czytając od lat pana felietony, oczekiwałbym jednak, także u nas, sformułowanej wprost deklaracji czy refleksji syntetycznej. Nauka ma dziś kłopoty z sobą samą, zmienia się, zmienia się też nasz stosunek do nauki. Ot, choćby takie wyznanie: kiedy dwadzieścia parę lat temu zaczynałem pisać felietony o nauce, myślałem, że... A tymczasem...

– Tu rzeczywiście wiele się zmieniło. Z przesadnego entuzjazmu, który kiedyś żywiłem razem chyba z całym moim pokoleniem, z takiej pełnej ufności wiary w to, że nauka wszystko załatwi i wszystko rozwiąże, wpadamy dziś w przeciwne nastawienie. Zresztą tylko częściowo słusznie, bo na przykład w sprawach AIDS, czy nowych źródeł energii, czy wypraw na Księżyc, czy problemów z żywnością, czy biotechnologią – wsparcia nadal możemy oczekiwać wyłącznie od naukowców. Ale jest nowa, skrajna, bardzo uaktywniająca się dziś postawa, którą lepiej niż kiedyś rozumiem, że nauka jest wszystkiemu winna, że to właśnie jej postęp sprowadza na nas różne nieszczęścia. Gdyby nie było nauki, nie byłoby bomby atomowej, inżynierii embrionalnej, wszystkich kłopotów i niebezpieczeństw związanych z programowaniem własnej ewolucji, tzn. z wkroczeniem człowieka we własną naturę biologiczną. Myślę, że jak często bywa, najsłuszniejsza jest postawa „w środku", przyznająca, że wiele jeszcze możemy dobrych rzeczy oczekiwać od nauki, ale jest wiele innych problemów, których nauka nie rozwiąże, bo nie jest do tego powołana. Będziemy musieli rozwiązać je sami, we własnym sumieniu. Jest to sprawa różnych wartości, którym należy służyć albo je odrzucać. I w tych wyborach nauka nie może nam pomóc lub może pomóc niewiele.

– Bo nauka z definicji nie zajmuje się wartościami tylko faktami?

– Tak. I z tego powodu mogą być z nauką różne, coraz większe kłopoty. Nauka wchodzi teraz na tzw. obszary zastrzeżone – kiedyś zastrzeżone dla Stwórcy. Tworzy żywe organizmy. Krzyżuje gatunki na przykład człowieka z małpą (co jest w projekcie). Wkraczamy w szalenie niebezpieczny etap traktowania człowieka jak plasteliny, z której wszystko można zrobić, poprawić nasz niedoskonały wizerunek biologiczny lub psychiczny. Czy rzeczywiście można? – to znaczy, czy nam wolno? Nawet jeśli intencje będą dobre, to może się to skończyć tragicznie. Dlatego, że po pierwsze to naprawdę bardzo mało wiemy o tym, co jest dobre dla człowieka. Po drugie jest zawsze więcej skutków naszych działań niż ten jeden, do którego zmierzamy i zwykle te skutki uboczne są niekorzystne. Myślę, że nie dotyczy to tylko biologii, lecz w ogóle wszystkich przedsięwzięć ludzkich, także społecznych, technicznych. I po trzecie – krocząc bez żadnych skrupułów po drodze rozwoju nauki zaczynamy przekraczać zasady i zakazy ustalone w historycznym rozwoju ludzkości, zasady, które były dobre. Sprawdziły się. Na przykład zasada – nie zabijaj...

– ...Nie współżyj (nie krzyżuj się) ze zwierzętami. Więc może nauka da się częściowo przynajmniej uzgodnić z religią, lub religiami, które przez długie wieki okazywały się niezawodnymi strażniczkami wartości? Jak to jest – czy światopogląd naukowy i religia rzeczywiście są skazane na konflikt? Słyszy się o naprawdę wielkich naukowcach, dla których ten konflikt nie istniał i nie istnieje.

– Było jednak takie przekonanie, czy model w głównym nurcie XX-wiecznej nauki, że jest ona sprzeczna z wiarą. Teraz to się zmienia. Ja reprezentuję pogląd, że nauka jest jednym z najlepszych może źródeł wiedzy o świecie nas otaczającym i o nas samych, ale nie jedynym. I mało tego, że nie jedynym – jest również źródłem niewystarczającym. Równie ważne są literatura, filozofia, religie, sztuka, intuicja wewnętrzna, wewnętrzne przekonanie. Na przykład właśnie sumienia, które mówi nam, że to można robić, a tego nie wolno – nie da się dziś uzasadnić naukowo. Właściwie są próby wywodzenia na przykład zasady „nie zabijaj" z jakichś ewolucyjnych zachowań, ale to ciężko idzie. Zresztą wolałbym, żeby nie znaleziono na przykład „Wzoru na Dobro", na zachowania altruistyczne – wolę myśleć o tym jak o danej tylko nam istocie człowieczeństwa. Dlatego myślę, że nie ma między nauką i wiarą takiej sprzeczności, jak się uważało w wieku XIX, z którego wyrósł model scjentyzmu, odrzucającego wszystko co nie jest weryfikowalne naukowo.

– Scjentyzm – to słowo brzmi jak epitet. Niemal wszyscy odżegnują się dziś od scjentyzmu. Mówi się natomiast o nowym stylu uprawiania nauki, o idącym do nas nowym paradygmacie. Co to takiego?

(dokończenie za miesiąc)

Maciej IŁOWIECKI

Ur. 28 II 1935 r. Ukończył biochemię na Wydziale Biologii Uniwersytetu Warszawskiego, gdzie cztery lata pracował jako asystent. Potem porzucił biologię na rzecz dziennikarstwa. Wieloletni kierownik działu nauki i oświaty tygodnika „Polityka" (od 1959 r.). W 1964 r. pojawił się na łamach tego pisma pierwszy felieton Iłowieckiego z cyklu „Nasz wiek XX", mówiący o rozszyfrowaniu struktury DNA, tzw. podwójnej spirali.

Od 1983 r. felietony „Nasz wiek XX" ukazują się w miesięczniku „Odra". Ich autor kieruje obecnie działem nauk biologiczno-medycznych w miesięczniku „Problemy", publikując także felietony w „Fantastyce" („Z tamtej strony lustra") i w „Małej Fantastyce" („Z krainy zdziwienia"). Wydał zbiory felietonów z „Polityki": „Nasz wiek XX" i „Nowy, niezbyt wspaniały świat" (Wiedza Powszechna 1972 i 1974), a także „Dzieje nauki polskiej" (Interpress 1981) i „Z tamtej strony lustra" – wybór do roku 1984 („Alfa" 1987).

Czytelnicy „Fantastyki" w redakcyjnych plebiscytach dwukrotnie wybierali Macieja Iłowieckiego ulubionym autorem pisma na lata 1984/1985 i 1986.





MUCHA

W 1958 r. Kurt Neumann nakręcił film pt. „Mucha", uważany dzisiaj za jeden z klasycznych obrazów grozy. Scenariusz wykorzystywał popularny temat SF: naukowiec-dziwak (łagodniejsza forma szalonego naukowca) dokonuje epokowego odkrycia, udaje mu się zbudować maszynę do transmisji materii. Kiedy przeprowadza próbę na sobie, do komory urządzenia przypadkowo dostaje się mucha – efektem eksperymentu staje się człowiek z głową i ramionami owada oraz mucha z głową człowieka. Obie istoty, na szczęście, giną, jedna w hydraulicznej prasie, druga w śmiertelnych uściskach pająka.

Korzystając z pomysłu Neumanna, kanadyjski reżyser David Cronenberg zrealizował w 1986 r. s w o j ą „Muchę". Ale choć utwór utrzymany jest w konwencji filmu grozy, tematem który naprawdę pasjonuje twórcę jest namiętność i miłość.

Już pierwsza scena, w której główny bohater Seth Brundle (Jeff Goldblum) spotyka na przyjęciu zorganizowanym przez firmę finansującą jego eksperymenty, dziennikarkę z „Particle Magazine" – Veronicę Quife (Geena Davis) nie przebiega zgodnie ze stereotypem. Szalony naukowiec jest po prostu mężczyzną usiłującym zwrócić na siebie uwagę kobiety. Z kolei Veronica czując, że to jej kobiecość interesuje Setha, nie wierzy opowieściom o tajemniczym wynalazku, który ma zmienić świat. Traktuje jego słowa jako niezręczną próbę zbliżenia.

Jednak genialny wynalazek istnieje

Nie zdradzę tajemnicy ujawniając na czym to wielkie odkrycie polega, bowiem reżyser trzyma się wiernie scenariusza z 1958 r.: po opatentowaniu wspomnianego urządzenia nie będziemy musieli tłoczyć się w pociągach, autobusach, samochodach; wystarczy wsiąść do „budki telefonicznej" (jak ochrzciła to urządzenie Veronica), żeby wysiąść po chwili z dr[illegible] oddalonej o setki kilometrów. Wszystko [illegible] wspaniale, gdyby nie mucha, która i tym r[illegible]jdzie się z wynalazcą w tej samej kabinie [illegible] czasie teleportacji.

Film zbudowany jest na zasadzie dwóch przeplatających się wątków: historii naukowca i historii mężczyzny. Kiedy spotykamy go po raz pierwszy, Seth jest całkowicie oddany nauce, nie ma własnego życia. Jest niewinny. Ale jego „czystość" jest przeszkodą w poznaniu. Kolejny próg wiedzy będzie mógł przekroczyć dopiero po zerwaniu owocu z drzewa dobrego i złego. Romans z Veronicą pozwoli mu zrozumieć czym jest ciało i umożliwi stworzenie komputerowego programu przeprowadzenia teleportacji żywego organizmu.

Karą, zarówno za stratę niewinności, jak i za przekroczenie granicy wiedzy dostępnej ludziom (przy czym jedno wynika z drugiego – temat to aktualny od momentu wygnania z Raju), będzie przemiana w potwora.

Reżyser ujawnia swój stosunek do seksu, w momencie kiedy pokazuje widowni Brundle'a, który – sam nie będąc tego świadom – stał się Brundle'em-muchą. Pierwszym objawem degeneracji jest wzmożona aktywność seksualna.

Reżyser konsekwentnie pokazuje, że u źródeł każdego działania leżą przeżycia uczuciowe i emocjonalne, niewiele mające wspólnego z posłuszeństwem wobec chłodnego umysłu. Seth przeprowadza na sobie doświadczenie próbując zemścić się na wyimaginowanej wiarołomności Veroniki. Jego nieszczęśliwe i w dodatku pijane ego pragnie dowodu własnej siły.

Dopiero świadomość tego, co się z nim naprawdę stało (gdy stygną emocje budzi się rozum) zmieni euforyczny nastrój bohatera, zmieni też klimat filmu, który nieoczekiwanie nabierze w tym momencie ciepła, wypełni się uczuciem, które niewiele będzie miało wspólnego z ciałem.

Reżyser, przez pokazanie stosunku uczuciowego Veronici do Setha-muchy, narzuca nam sposób patrzenia na stworzoną przez siebie postać. Siedząc na widowni dzielimy z nią obrzydzenie podczas ewolucji Brundle'a-muchy, jednak współczucie przeważy nad wstrętem i nie pozwoli jej opuścić głęboko nieszczęśliwego człowieka.

Uczucie ma też głęboki wpływ na Setha. Podczas gdy stopniowo traci swoje człowieczeństwo przekształcając się w owada (choć wciąż jeszcze łudzi się, że uda mu się ten koszmarny proces odwrócić), odrzucając egoistyczną, choć naturalną, potrzebę dzielenia z kimś swego nieszczęścia – stanie się tym bardziej człowiekiem. Gdy czuje, że natura owada zaczyna brać nad nim górę, każe Veronice odejść.

Jednak nawet miłość nie zdoła go uratować. Zmieni się w monstrum, które będzie błagać o łaskę śmierci, pozostawiając Veronikę z jej brzemieniem, noszonym w łonie dzieckiem (lub dzieckiem-muchą), będącym karą za zniszczenie jego niewinności.

Chociaż zazwyczaj filmy grozy traktuje się jako kino rozrywkowe, tym razem mamy niewątpliwie do czynienia z wyjątkiem. Refleksyjny nastrój obrazu podkreśla jego koloryt: czerń, biel, sepia, zmatowiała zieleń. Twórcy filmów science fiction nader często starają się pokazać futurystyczną wizję świata, jednak „Mucha" Cronenberga jest zapisem stylu roku 1986 i to nie tego z ulicy, lecz prosto z pism dyktujących modę. Zdjęcia Veronici mogłyby znaleźć się w „Vogue", a miejsce akcji, pozostawiające w pamięci wspomnienie szarości i brązu, nagie ściany laboratorium, surowość pomieszczeń również odpowiada modzie w fotografii. Film ma zatem również zaletę zbliżania nas do tego, co modne w sztuce użytkowej.

Epatowanie dosłownością, naturalnością zbliżającą się do brzydoty wyraża się w tym filmie wieloma scenami, które mogą w widzu budzić obrzydzenie i wstręt. Żeby dotrzeć do sedna myśli Cronenberga trzeba przedzierać się przez straszliwą powłokę.

Dorota Malinowska

MUCHA (The Fly). Reżyseria: David Cronenberg. Scenariusz: Cahrles Edward Pogue i David Cronenberg na podstawie opowiadania George'a Langne'a Caana. Obsada: Jeff Goldblum, Geena Davis, John Getz, Joy Boushel. USA 1986.

David CRONENBERG

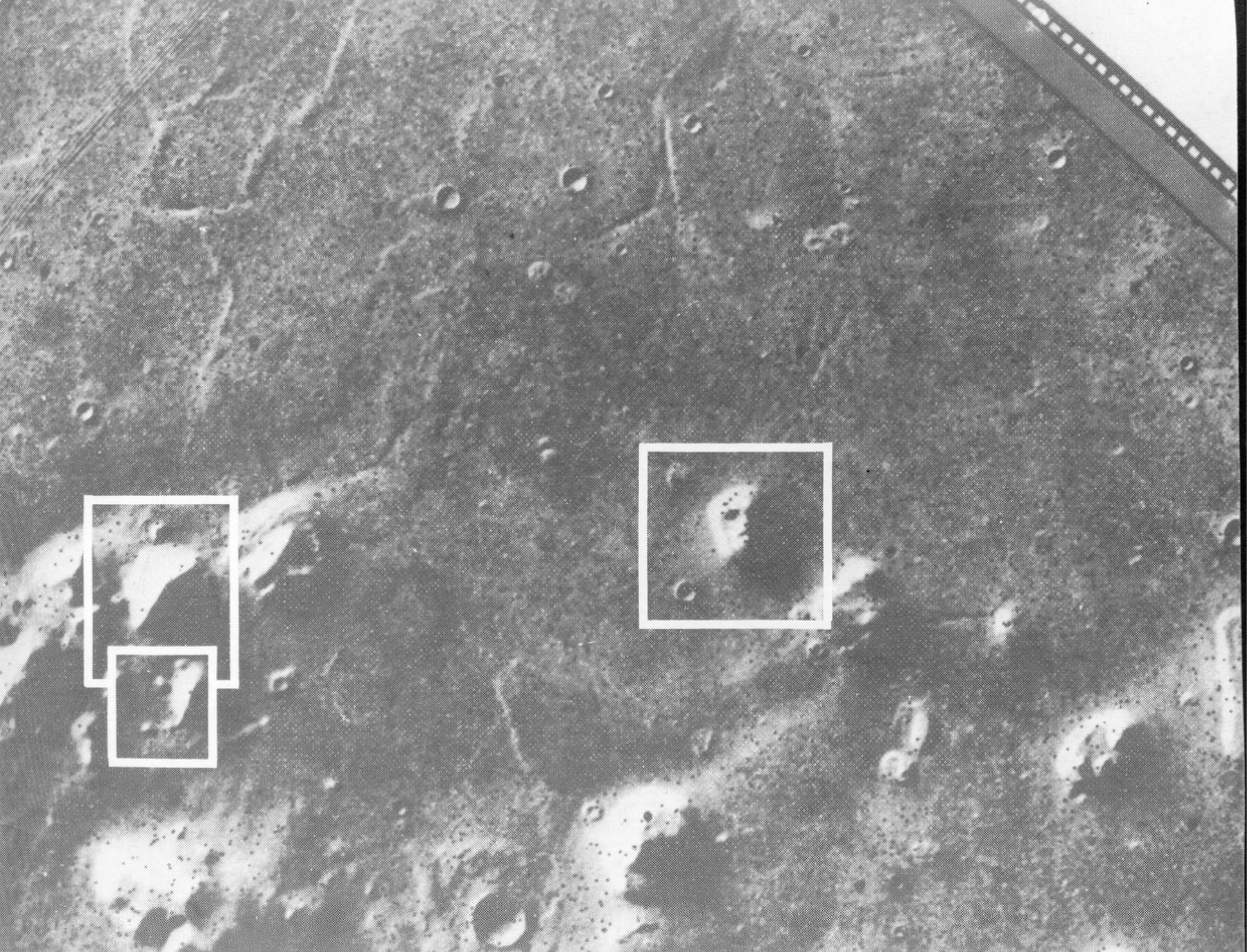
Scenarzysta i reżyser specjalizujący się w SF podążającej w kierunku horroru. Talent w ukazywaniu na ekranie scen szokujących zapewnił mu wysoką pozycję w czołówce reżyserów tego podgatunku, wśród tuzów tej miary, co George Romero czy John Carpenter. Filmy Cronenberga wzbogacają konwencję SF o charakterystyczne dla jego pokolenia spojrzenie na naukę, jako siłę wysługującą się złu. Charakterystyczna jest też dla nich fascynacja seksem.

Cronenberg urodził się w 1944 r. w Kanadzie. Jest absolwentem uniwersytetu w Toronto, gdzie zrealizował w 1970 r. przy pomocy kolegów swój pierwszy film „Crimes of the Future" – opowieść o chorym umysłowo lekarzu, będącym jednocześnie manifestem artystycznym młodego reżysera.

Pierwszym obrazem komercyjnym Cronenberga był „They Came From Within" (1975), pokazujący inwazję kosmicznych pasożytów, zmieniających ludzi w opętane seksem monstra. Następny był „Rabid" (1977), film o wampirach, w którym zagrała Marilyn Chambers – królowa filmów porno („Rabid" przyniósł swym twórcom ogromne zyski).

Kolejne filmy to: „The Brood" (1979) opowiadający o dzieciach-mutantach oraz „Scanners" (1981) o osobach dysponujących destrukcyjną siłą psychiczną. Film ten był dużym sukcesem, zarówno komercyjnym, jak i artystycznym. W 1983 r. powstaje „Videodrome" i wreszcie w 1986 r. „The Fly" (Mucha) pierwszy film tego reżysera prezentowany w naszych kinach.

(D.M.)



Fot. NASA

Uzupełnienie do „Marsjańskiej metropolii"

Ponad dwa lata temu, w „Fantastyce" nr 1/86, ukazał się artykuł „Marsjańska metropolia" tłumaczony z amerykańskiego czasopisma „Omni" przez Jarosława Włodarczyka. Artykuł ten omawiał hipotezy, jakie wysunęła grupa trzydziestu badaczy amerykańskich po powtórnym przeanalizowaniu zdjęć powierzchni Marsa dokonanych w 1975 r. przez sondy „Viking" I i II. Zdjęcia te pozwoliły dostrzec teraz zdumiewające struktury, które owa grupa badaczy, a przede wszystkim jej rzecznik, Richard Hoagland, uznała za struktury sztuczne, będące zapewne tworem jakiejś inteligencji. Szczególnie dwa spośród nich wzbudzają zainteresowanie: jeden określony jako „ludzka twarz" oraz drugi, na zachód od niej, uznany za piramidę.

Nie zamierzam powtarzać tu tych wszystkich argumentów, które zdaniem Hoaglanda i jego kolegów przemawiają za „sztucznością" tych struktur, jak też nie będę wyliczał kontrargumentów, którymi szermują ich przeciwnicy, a szczególnie prof. Harold Masursky. Wobec tego jednak, że zamieszczony w „Fantastyce" artykuł nie był wówczas ilustrowany, załączam odpowiednią fotografię. Otrzymałem ją od NASA. Ta właśnie fotografia jest głównym przedmiotem sporu. W katalogu NASA

Tymczasem sprawa ewentualnego życia na Marsie nadal absorbuje uwagę naukowców. Dwie nowe przesłanki, które ostatnio się ujawniły, uczyniły ją jeszcze bardziej zagadkową.

Przede wszystkim warto przypomnieć, że trzy lata temu odnaleziono na Antarktydzie (głęboko w skorupie lodowej) odłamki skał, których analiza bez żadnej wątpliwości wykazała, że pochodzą one z Księżyca i z Marsa. Na temat tych znalezisk, o których w swoim czasie rozpisywano się – ostatnio raczej cicho. Jeżeli idzie o odłamki skał z Księżyca uczeni doszli do wniosku, że uderzenie dużych rozmiarów meteorytu w powierzchnię naszego satelity mogło spowodować oderwanie się od niej jakiegoś odłamka skały. Jeśli uderzenie było bardzo silne, ów odłamek mógł znaleźć się w przestrzeni kosmicznej i trafić (przypadkowo) na Antarktydę. Powiedzmy... Ale co z odłamkiem pochodzącym z Marsa? Tutaj już podobnego argumentu użyć się nie da. Skała z Marsa jako coś bardzo niewygodnego spoczęła w jakimś akademickim muzeum.

Ale to nie wszystko. Okazuje się bowiem, że i sprawa życia na Marsie nie jest taka jasna. Jak wiadomo, przeprowadzone podczas lotu „Vikingów" doświadczenia

tej planecie jest niemożliwe. Kilku badaczy wpadło jednak na pomysł, aby na Antarktydzie, w rejonach, gdzie warunki klimatyczne i glebowe są identyczne z panującymi na Marsie, przeprowadzić serię takich samych doświadczeń, jakie na powierzchni czerwonej planety przeprowadziły sondy „Viking". I oto okazało się, że takie same doświadczenia dały identyczne wyniki! Inaczej mówiąc, gdyby mieszkaniec jakiejś odległej planety wysłał sondy na Ziemię i sondy te przeprowadziłyby tu doświadczenia takie, jak „Viking" na Marsie – okazałoby się, że na naszej planecie życie jest niemożliwe.

Tak to wszystko mniej więcej dzisiaj wygląda. Od hipotez do stwierdzeń bardziej kategorycznych będzie można przejść dopiero wtedy, kiedy pierwsze ekspedycje z Ziemi wylądują na Marsie, czyli za jakieś ćwierć wieku. A więc – trochę cierpliwości i dowiemy się, czy twarz na Marsie to twarz i czy piramida to piramida. No i jak z tym życiem... Natomiast co do odnalezionych na Antarktydzie skał z Marsa, czekamy na ogłoszenie w prasie: „Astronauta sprzed piętnastu tysięcy lat zgubił na Antarktydzie odłamki skał z czerwonej planety. Łaskawy znalazca zechce je odnieść za wynagrodzeniem do..." Do kogo? Gdzie? Ba!

Siudmak ·004·

